

PATRICK QUENTIN

*Powrót na wyspy*

Tłumaczyła IZABELLA KULCZYCKA

## Rozdział 1

Wielki luksusowy transatlantyk zatrąbił majestatycznie i skierował dziób przez lśniące wody Bermudów - do molo. Kay Winyard stała wsparta łokciami o żelazną barierę pokładu pasażerskiego.

„Nie ma najmniejszego sensu bać się - powtarzała sobie w duchu, po raz setny chyba - Ivor przestał dla mnie istnieć. Niczym już nie może mnie zranić ani dotknąć”.

Pasażerowie tłoczyli się ze wszystkich stron do barier, wesoło pokrzykując i wymachując do stojących w dole opalonych krewnych i przyjaciół. Przed oczami Kay roztaczała się wspaniała panorama Hamilton, stolicy Bermudów, z białymi, podobnymi do zabawek domami, ulicami rojącymi się od wehikułów, rowerzystów i wczasowiczów.

Kay zdawała sobie sprawę, że za chwilę czeka ją ciężka próba. Miała uczucie, że w ciągu jej trzyletniej nieobecności czas jakby się zatrzymał, że Bermudy są takie same, jak owego pamiętnego letniego dnia... ten sam niefrasobliwy tłum, który stał wówczas na nabrzeżu, powiewając przyjaciółom chusteczkami na pożegnanie... Wyjeżdżała wtedy przepojona goryczą i nienawiścią do ich sennego piękna, do wszystkiego, co jej przypominało Ivora. Przysięgała sobie uroczyście, że już nigdy, przenigdy tu nie wróci. I oto... znalazła się znowu! I nagle przejął ją strach.

To było szaleństwem z jej strony przyjechać tu, żeby na Bermudach podjąć walkę z Ivozem. Było to już niebezpieczne wówczas, kiedy był jej kochankiem - a będzie jeszcze tysiącokrotnie bardziej niebezpieczne, kiedy ma się stać jej wrogiem. Smukłe palce Kay zacisnęły się mocniej na barierze.

Usiłowała zmusić się do myślenia wyłącznie o tym, co czuła, wyjeżdżając ze Stanów, a czuła gniew i mocne postanowienie zachowania równowagi. Pomyślała o dziwnej depeszy siostry. Kilka zaledwie słów, pozostawiających jednak tak wiele do myślenia, a przede wszystkim wskrzeszających przeszłość, która nagle stała się teraźniejszością i przyszłością. „Elaine wychodzi za Ivora Drake, ślub tu na Bermudach w przyszłym tygodniu. Czy możesz przyjechać? Maud”. To było wszystko, co wiedziała. Żadnych szczegółów - najmniejszej wzmianki na temat, jakim cudem nadwyrężone finanse Chilternów umożliwiły im wypoczynek na Bermudach.

Ani również słowa o tym, w jaki sposób poznali Ivora.. Ivor zeni się z Elaine Chiltern, córką Maud, jedyną siostrzenicą Kay! Nie! Nie można do tego dopuścić! Ona nie może wyjść za tego człowieka. Cokolwiek miałoby się stać, jakiegokolwiek miałyby ponieść ofiary, Kay nie może pozwolić na to małżeństwo.

Tłum kolorowych tragarzy wyrzucał bagaże na brzeg - wysunięto trap dla pasażerów, którzy weseli i roześmiani schodzili tłumnie do na pół zacienionego urzędu celnego.

Obserwując tę gwarną, kolorową scenerię, Kay przypomniała sobie pamiętnik Rosemary Drake, oprawiony w zieloną skórę, spoczywający na dnie jej walizki, który dostała od młodej żony Ivora, tuż przed jej tragiczną śmiercią. Myśl o tym przywróciła jej siły. Była przekonana, że po zapoznaniu się z jego treścią, Maud i Gilbert Chilternowie nigdy nie dopuszczą do małżeństwa swej jedynej córki z Ivorem.

W dole, na przystani, jakiś młody chłopiec z rozwianą, gęstą, wypłowiałą od słońca czupryną przeciskał się przez tłum do trapu. Zobaczywszy go, Kay zaczęła machać ręką i wołać:

- Terry! Terry!

W parę chwil później stała już na dole, a Terry Chiltern, jej siostrzeniec, śmiesznie wielki i chudy, obejmował i ścisnął ją mocno, jak młody, rozhukany niedźwiadek.

- Kay, kochana! To wspaniale, żeś przyjechała. Śmiejąc się serdecznie, wyswobodziła się z jego uścisków i zaczęła uważniej oglądać tego dwudziestolatka, który - młodszy od niej zaledwie o osiem lat - zabawnym zbiegiem okoliczności, był jej najrodzeńszym siostrzeńcem. Miała nadzieję, że potrafi wyczytać z twarzy siostrzeńca wszystko, co się wydarzyło Chilternom w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, kiedy musiała się z nimi rozstać i powrócić do pracy projektantki kostiumów w pewnym atelier hollywoodzkim. Bankructwo Gilberta Chilterna, który nigdy nie był zbyt zamożny - a potem tragiczny atak paraliżu, w następstwie którego pozostał inwalidą - wycisnęły swój ślad i na jego synu. Terry i dawniej przypominał ojca swą szczerą wyrazistą twarzą i wysoką, smukłą sylwetką. Teraz jednak chłopiec wyrósł na mężczyznę o szerokich barach i wysportowanej, atletycznej prawie budowie.

- No i co? - spytał wesoło. - Co o mnie sądzisz? Zdałem w twoich oczach egzamin?

- Nawet celująco! Przystojny, niebezpieczny, w średnim wieku... siostrzeniec!

- Oraz przystojna, niebezpieczna, o wiele za młoda na ciotkę - Kay! - odparł tym samym żartobliwym tonem chłopiec, obejmując ją w talii. - Załatwmy szybko formalności celne... Elaine czeka na nas. Umiera z niecierpliwości.

I nie zwracając uwagi na zaczepne spojrzenia kobiet, Terry zaczął przepychać ciotkę przez tłum turystów aż do sali urzędu celnego. W stosunkowo niedługim czasie udało mu się tak oczarować celnika, że dokonał odprawy celnej nie otwierając bagażu. Następnie sprowadził bagażowego, a sam wrócił do Kay uśmiechnięty.

- Wyjdźmy z tej duchoty - powiedział, ale po chwili uśmiech zgasł na jego wargach.

- Przypuszczam, że płoniesz z ciekawości usłyszenia ostatniego biuletynu o tej rodzinnej aferze sercowej?! Czarujący narzeczoną przebywa chwilowo w Nowym Jorku, ale jutro wraca. Ślub wyznaczono na wtorek. Przygotuj się na to, że wystąpisz jako starsza družba...

Kay spojrzała z lekkim niepokojem na chłopca, nic jednak nie wyczytała w jego twarzy. Znaczyłoby to, że Ivor, z jakichś, jemu tylko wiadomych powodów, nie wspomniał Chilternom, że się już znają, co zresztą Kay także starannie przed nimi ukrywała.

Żywo rozmawiając, wyszli tymczasem na zalaną słońcem główną ulicę i zaczęli się przeciskać między zaparkowanymi rowerami i bryczkami, zaprzęgniętymi w spokojne, zamysłone konie ustrojone w zabawne, słomiane kapelusze.

Potem dostrzegła jeszcze śmieszna, czerwono pomalowaną zabawkę, którą tu nazywają pociągiem, czekającą na zakręcie ulicy.

Oto jest ojczyzna Ivora!... Bermudy! - tak je pamiętała - odświętne, leniwe, jakoś dziwnie oddalone od świata. I znów wszystko ożyło w jej pamięci. Słońcem zalane uliczki, mała mahoniowa motorówka Ivora, słony smak wody na wargach. Szaleńcza, gwałtowna, zapamiętała miłość Ivora... I raptem wydało się jej wprost niewiarygodne, że oto znowu jest na Bermudach, w towarzystwie Terry'ego, który opowiada jej o bliskim ślubie Elaine, a ona, Kay, ma być na tym ślubie starszą družką!

Przed nimi przeciskał się tragarz, popychając na wózku walizki Kay. Terry przeprowadził ciotkę przez ludzką ciżbę ku cementowym schodkom, wiodącym do przystani motorówek.

- A oto i nasza motorówka - powiedział. - W komplecie. Z Elaine i sternikiem.

- Po co wydawałeś pieniądze na wynajęcie motorówki, Terry? - zwróciła się z wyrzutem do siostrzeńca.

- Wynajęcie?! Droga, naiwna cioteczko! Jak to? To ty nic nie wiesz? Wychodzimy za męża za motorówkę, jacht wyścigowy, żaglówkę, dwa kajaki i... jednym słowem za całą flotę. Brak chyba tylko łodzi podwodnej!

- A więc to motorówka Ivora! - Coś zaczynało jej świtać w głowie.

- Czy to ma znaczyć - spytała po chwili zatrzymując się - że... że mieszkanie w domu Ivora?

- A jak myślałaś? Oczywiście! - Terry również przystanął; jego młodą twarz wykrzywił uśmiech całkiem pozbawiony humoru. - Jak sądzisz! W jaki inny sposób skromni Chilternowie byliby w stanie spędzić luksusowe cztery miesiące na Bermudach?

W głosie jego przebijał cień goryczy. Zdziwiło ją to i zastanowiło. Tak samo jak usłyszane od niego nowiny zdziwiły ją i przstraszyły. Powinna przecież wiedzieć, że cała jej rodzina nie byłaby w stanie wyjechać na Bermudy bez czyjejś pomocy finansowej. Ale jak mogła Maud przyjąć tego rodzaju pomoc od Ivora? Maud, która była zawsze tak uparcie niezależna!

Doszli wreszcie do przystani. Tuż przed nimi, przycumowana do brzegu, huśtała się na falach luksusowa motorówka z czarną kabiną. Tragarz podawał walizki młodemu sternikowi o krótko przyszyżonych włosach, podczas gdy stojąca z boku dziewczyna przyglądała się temu. Smukła, z długimi, opadającymi aż na ramiona ciemnymi włosami ubrana była w nieskazitelnie białą sukienkę, przepasaną w talii zielonym szerokim paskiem.

- Kay! Kochanie! - zawołała na widok Kay i pospieszyła ku zbliżającej się parze. Pocałowała Kay lekko w policzek.

Miniony rok spowodował jeszcze większą zmianę w Elaine aniżeli w jej bracie. Ta dziesiętnastoletnia dziewczyna, ze swoją chłopcęją figurą, delikatnym profilem i zielonymi oczami o długich rzęsach, była tak piękna, że zapierało dech w piersiach. „Nic dziwnego - pomyślała Kay - że chce ją zdobyć Ivor, który zawsze pożył doskonałości i nieuchronnie ją potem niszczył”.

Elaine pociągnęła ze sobą Kay w stronę motorówki, a przechodząc obok sternika, powiedziała oficjalnym tonem:

- Pojedziemy prosto do domu, Don. Możesz tu wrócić po tamte bagaże z cła.

Terry siedział już w kabinie, oparty o ścianę i brzdąkał na gitarze ozdobionej pękiem kolorowych wstążek.

- Skomponowałem na twoje przywitanie, Kay, taką jedną piosenkę - i zaczął śpiewać niskim, miękkim barytonem:

O, wróć na Bermudy! Powróć na wyspy! Miłości szczęścia czas. Tu czeka nas...

Przy dźwiękach tej wdzięcznej i przypadkowo tak aktualnej piosenki, zwinna motorówka odbiła od brzegu i pomknęła w szafir Wielkiego Zunddu. Elaine usiadła przy Kay i podciągnawszy pod brodę długie, smukłe nogi, oplótła kolana rękami. Teraz dopiero Kay dostrzegła na jej palcu zaręczynowy pierścionek z ogromnym, najczystszej wody szmaragdem. Widok ten przywrócił ją nagle do gorzkiej rzeczywistości. Był to ten sam pierścionek, który dał jej Ivor... Jej, Kay Winyard, w tę szaloną księżycową noc, kiedy obiecała, iż zostanie jego żoną. Ten sam szmaragd rzuciła mu histerycznie pod nogi w lokalu rozrywkowym, kiedy dowiedziała się już całej okropnej prawdy o Rosemary i przejrzała wreszcie na wskroś prawdziwą, przewrotną naturę fascynującego, czarującego Ivora Drake'a.

Mknęli teraz przez przezroczystą wodę laguny. Nieco dalej widniała linia wybrzeża: białe domy, krzewy różowych oleandrów i ciemne drzewa cedrowe. Ona jednak prawie nie widziała tego wszystkiego, całkowicie zatopiona w myślach.

Zbyt żywo widziała w wyobraźni obraz Ivora przy Elaine; jego pocałunki; palce pieszczące gładkie ciało dziewczyny.

Jakie ma szanse Elaine wobec bogactwa Ivora? Jakim cudem zdoła - podobnie jak biedna, wielbiąca bohaterów Rosemary - rozwikłać skomplikowany rodzaj jego wyrachowanego okrucieństwa, tak wyraźny jednak dla tych, co mieli ostry wzrok. Głos Elaine przerwał cichą melodię piosenki nuconej przez Terry'ego.

- ...tym samym okrętem przyjechała moja ślubna suknia i cała moja wyprawa. Powiedz, Kay, czy to nie cudowne?!

Jej ślubna suknia!

Nareszcie minęli most i mknęli ku najdalszemu zakrętowi wąskiego, pagórkowatego półwyspu, gdzie willa Ivora „Sztorm” wyłaniała się spoza zielonej ściany cedrów i tamaryszków białą fasadą i cytrynowymi roletami.

- No, to już jesteśmy w domu! - zawołał Terry.

Kay patrzyła jak urzeczona; przypominała sobie każdy najmniejszy szczegół białego domu, zielone trawniki, drewniany pomost wysuwający się daleko w wodę.

Kiedy motorówka zrobiła ostry zwrot w lewo, zmierzając do przystani, spoza bujnych tropikalnych kwiatów wypłynął mały kajak, a w nim, leniwie poruszając wiosłem, siedziała młoda dziewczyna w kąpielowym kostiumie koloru lawendy; na ramiona spływały jej kasztanoworude włosy.

- Halo, Simono! Poczekaj na mnie! - zawołał Terry do dziewczyny. Szybko zrzucił sandały i niebieską koszulkę polo, chwilę stał nieruchomo na burcie motorówki, a potem skoczył do wody.

- Co to za dziewczyna, Elaine? - spytała Kay.

- To Simona Morley z Nowego Jorku, mieszka tam, w tym białym domu, po przeciwnej stronie zatoki.

Wargi Elaine zacisnęły się, a jej zielone oczy, patrzące na brata, przybrały jakiś dziwny, pełen napięcia wyraz. Nie przemówiła ani słowa, póki dziób motorówki nie dobił do przystani. Wówczas, szybko, nim sternik zdołał jej podać rękę, wyskoczyła na niewielką drewnianą platformę. Potem podała rękę Kay.

- Don! Możesz zaraz zawrócić do Hamilton i odebrać moje rzeczy z cła - powiedziała dziwnie suchym, sztucznym tonem.

Sternik zajęty przycumowaniem motorówki, odwrócił się raptownie i spojrzał ostro na dziewczynę.

- To niech mi pani da trochę forsy - powiedział. - Chyba pan Drake zapłacił nie tylko za suknię, ale i za koszty przesyłki?

Zaskoczona Kay uważniej przyjrzała się sternikowi Ivora. Na pierwszy rzut oka wydał jej się najbrzydszym mężczyzną, jakiego widziała - kwadratowa głowa o krótko ostrzyżonych włosach, perkaty nos, muskularne ramiona i krępa postać. Uważała, że jest podobny do jasnowłosego goryla. Spoglądał na Elaine pół drwiąco, pół gniewnie.

- No i co? Czy pani uważa, że to ja mam zapłacić cło? Cała krew odpłynęła z policzków Elaine. Gwałtownym ruchem, drżącymi palcami otworzyła białą torebkę, wyjęła z niej kilka banknotów i rzuciła je do motorówki. Potem, z rozwianymi na plecach czarnymi włosami, odwróciła się i pobiegła szybko w stronę domu. Sternik zebrał spokojnie banknoty i wcisnął je, zmięte, do kieszeni. Potem spojrzał na Kay i mruknął:

- I to się nazywa dobrze wychowana panienska, prawda? Ale bardzo panią przepraszam... nikt nie uważał za stosowne przedstawić mnie pani. Nazywam się Don Baird, sternik, odpowiednio zakwaterowany w pomieszczeniu dla niewolników - tu wskazał gestem głowy niewielki, biały domek ukryty wśród cedrów i dodał, śmiejąc się: - Niech się pani nie boi, jestem całkiem przyzwoitym chłopcem, jak to się zwykle powiada, takim „z towarzystwa”. Trzeci rok prawa na uniwersytecie Columbia. To tylko moje wakacyjne zajęcia...

Uśmiech nagle znikł z jego twarzy, która przybrała teraz dziwny wyraz.

- Pani mnie nie pamięta? - spytał.

Kay, zmieszana, nie wiedziała, co ma odpowiedzieć - wreszcie powtórzyła za nim: - Czy pana pamiętam?

- Bo ja panią doskonale. Takiej dziewczyny, jak pani, łatwo się nie zapomina - przypatrywał się jej z niekłamanym zachwytem. - Trzy lata temu spędzałem wakacje z Rosemary i jej rodziną w tamtym domu, po drugiej stronie zatoki, gdzie teraz mieszka Simona Morley.

Lekko zaniepokojona Kay przypomniała sobie jak przez mgłę niebrzydkiego siedemnastolatka o zaraźliwym śmiechu, kręcącego się stale przy Rosemary i Ivorze.

- Ach, to pan! Teraz już sobie przypominam! Chłopak z wędką na czerwonej żaglówce?

- No właśnie! Widzi pani! - uśmiechnął się, pokazując białe jak u wilka zęby. - Śmieszny chłopak na czerwonej żaglówce. Wydaje mi się, iż miewałem wówczas także i

śmieszne pomysły. Kiedy Ivor Drake był jeszcze kawalerem, często w księżycowe noce przepływałem tędy i marzyłem, że jestem przystojny i bogaty, jak on... Czasem odbywały się w tym domu huczne zabawy z pięknie wystrojonymi damami i z muzyką. A innym razem widywałem go tylko we dwoje z piękną dziewczyną... Miał się podobno z nią żenić...

Urwał na chwilę, a później dokończył cicho:

- Z piękną dziewczyną, która nagle okazuje się ciotką innej pięknej dziewczyny, z którą Ivor Drake ma się żenić...

Kay, zafascynowana, nie była w stanie się poruszyć.

Oczy jej nie mogły się oderwać od tej dziwnej, nieregularnej twarzy, wyrażającej taką siłę wewnętrzną. „A więc on wie - pomyślała w duchu - a jeżeli on wie, to znajdują się tu i inni, którzy mnie pamiętają i wiedzą o niej”. o Ivorze...”

Don, jak gdyby czytając w jej myślach, powiedział:

- Niech pani będzie spokojna. Nie powiem Chilthernom ani słowa. Chcę wiedzieć, po co pani tu wróciła? Jakie są pani zamiary? Nie przypuszczam, że pani chce odzyskać to... to bydlę dla siebie! Pani go przecież przejrzała na wylot, prawda? Nie zechce pani przecież dopuścić do tego, żeby on się - ożenił z Elaine. Czy pani przyjechała tu po to, żeby uniemożliwić to małżeństwo?

Było wprost nie do pomyślenia, żeby sternik Ivora mówił do niej w ten sposób. Ale nie potrafiła teraz logicznie myśleć.

- Ja... ja sama jeszcze nie wiem, co zrobię - bąkała niezdecydowana. - Nie powzięłam jeszcze żadnego konkretnego zamiaru.

- Ale pani musi coś postanowić! Przecież Elaine jest pani siostrzenicą. Nie może pani dopuścić, by spotkał ją los Rosemary?

- Co pan wie o Rosemary?

- Doskonale wiem, jak Ivor wówczas z nią postąpił. Wówczas, kiedy pani tu była... nim się z nią ożenił. I wiem także że ją zabił! Później, kiedy pani go rzuciła, a ona była na tyle szalona, że wyszła za niego... - Roześmiał się ochryple. - Starano się upozorować jej śmierć. Mówiono, że to wypadek, że wypadła z tego hotelowego okna przez nieuwagę, ale i ja, i pani doskonale wiemy, jak było naprawdę. Wskoczyła umyślnie, odebrała sobie życie, nie mogąc dłużej znieść tego piekła, jakim było jej małżeństwo z Ivozem Drake. - Jego kwadratowa postać zdawała się zajmować całe jej pole widzenia - drzewa tamaryszkowe i oblaną słońcem wodę zatoki.

Skąd on to wszystko wie? Kto może coś wiedzieć oprócz niej? Kto przeczytał zielono oprawny pamiętnik Rosemary i dowiedział się z niego strasznej prawdy?



- Czy może pani dopuścić, żeby to samo stało się z Elaine? Jeżeli pani nie przeszkodzi temu małżeństwu, to ja to zrobię! Chociażby kosztem czyjegoś życia!!

Ciepłe deski pomostu zdawały się ugiąć pod jego krokami.

Don Baird nagle zawrócił i odszedł w stronę motorówki. Kay teraz dopiero zobaczyła Terry'ego i dziewczynę w kostiumie kąpielowym. Stali na skraju pomostu, a po ich twarzach nietrudno było się domyślić, że słyszeli całą rozmowę. Simona Morley spoglądała za oddalającym się sternikiem, przesuając palcami ciężką srebrną bransoletę, podobną do kajdan niewolnicy. Z tą masą rudokasztanowych włosów i zmiennymi zielonymi oczami wyglądała niesłychanie pociągająco, egzotycznie.

W pewnej chwili Don Baird przystanął i odwróciwszy się w stronę stojących na pomoście, powiedział głośno i wyraźnie:

- Nie udawajcie takich naiwniaków! Doskonale wiem, co w gruncie rzeczy myślicie o tym człowieku! I jeżeli to nie ja go wykończę, to tylko dlatego, że któreś z was mnie uprzedzi!

## **Rozdział 2**

Chwila, kiedy tak stali wszyscy czworo, patrząc na siebie nawzajem, pełna była nieznośnego napięcia. Aż nagle, kiedy Kay poczuła, że ta niesamowita cisza za chwilę musi wybuchnąć jak bomba - za jej plecami rozległ się spokojny głos Maud.

Podeszła bliżej i musnęła chłodnymi wargami policzek Kay.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu! Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle.

Jej szare oczy - które pod lekko podniesionymi brwiami nadawały jej zawsze wygląd łagodnej ciekawości - przeniosły się na inne osoby.

- Jak się masz, Simono... oczekujemy ciebie na lunchu - powiedziała. - Don, bądź tak dobry i zanieś rzeczy panny Winyard do jej pokoju, dobrze? Terry, kochanie, tyle razy ci mówiłam, żebyś się nie kąpał w szortach!

W jednej krótkiej chwili Maud rozładowała pełną napięcia atmosferę, traktując całą czwórkę jak małe, lekkomyślne dzieci, stale wymagające jej opieki. Maud zresztą zawsze wywierała takie wrażenie, nawet na Kay, którą uważała raczej za córkę niż za siostrę młodszą o piętnaście lat.

Kiedy Don ruszył z walizkami przodem, Maud wzięła siostrę pod rękę i poprowadziła cienistą ścieżką w stronę domu.

- Gilbert czeka z niecierpliwością, żeby cię zobaczyć. Musiał pojechać dzisiaj z pielęgniarką do szpitala na okresowe badanie, ale po lunchu będzie już z powrotem. Biedny

Gilbert! Doktor Thorne nie robi wielkich nadziei, żeby mógł jeszcze kiedykolwiek normalnie chodzić, a pamiętasz, jaki Gilbert zawsze był czynny i ruchliwy. Trzyma się jednak bardzo dzielnie - a poczciwy Ivor sprowadził ze Stanów swoją daleką kuzynkę, dyplomowaną pielęgniarkę, żeby się Gilbertem opiekowała.

Dotarli wreszcie do szerokiego tarasu, ocienionego krzewami kamelii i palmami. Tu znowu opadły Kay wspomnienia o Ivorze. Wydało się jej nie do uwierzenia, że właśnie Maud, nikt inny, rezyduje w tym domu i rozprawia o Ivorze jako o filantropie z wrażliwym sercem. Minęły luksusowo urządzony hall, później salon i weszły na pięknie rzeźbioną klatkę schodową z drzewa cedrowego. Długim, chłodnym korytarzem doszły do zalanego słońcem pokoju, w którym Don postawił walizki Kay u stóp szerokiego łóżka, o czterech kolumnkach.

Maud jeszcze raz ucałowała serdecznie siostrę i powiedziała:

- Zostawiam cię na razie samą, bo chcę, żebyś się pospieszyła z przebraniem, za chwilę podadzą lunch. Poplotkujemy sobie za to później.

Powrót do tego domu wywołał w duszy Kay mnóstwo sprzecznych uczuć. Nim się tu znalazła, była zupełnie zdecydowana porozmawiać szczerze z Maud i zburzyć ten sztuczny gmach wygody i luksusu, w jakim tutaj żyli Chilternowie. Teraz jednak nie była tak całkiem pewna siebie. Po lunchu, spożytym w ukwieconym patio Ivora, a następnie po leniwej sjeście na małej plaży, ukrytej za przystanią, poczuła, że silne postanowienie jeszcze bardziej słabnie. Dopiero pod koniec dnia, gdy zbliżała się pora obiadowa, czar zaczął słabnąć. Młodzież się gdzieś ulotniła - Elaine poszła do siebie, a Terry z Simona na narty wodne. Kay znalazła się pierwszy raz sam na sam z siostrą. Leżały obie wygodnie wyciągnięte na leżakach i spoglądały na oddaloną o mniej więcej dwieście metrów wysepkę, strojną w kwiecie hibiscusa. Kay widziała stąd wyraźnie między krzewami biały, spiczasty dach pawilonu, zbudowanego specjalnie przez Ivora jako miejsce wypoczynku. Nim zdążyła się zastanowić, jak zacząć rozmowę z Maud, usłyszała swoje własne słowa, skierowane do siostry, jakby to nie ona mówiła, lecz ktoś inny.

- Maud... chciałabym z tobą pomówić o Elaine. Czy naprawdę jesteś zadowolona z tego małżeństwa?

Maud, która w tej chwili coś uważnie haftowała, podniosła oczy znad robótki i spojrzała na siostrę.

- Co masz na myśli? Że Ivor był już raz żonaty? Albo że jest między nimi tak znaczna różnica wieku?

- Może i jedno, i drugie. No i... że Ivor nie cieszy się najlepszą opinią...

Maud wybrała z koszyczka motek włóczki o różowożółtym odcieniu i starannie nawlekała igłę.

- Gdybyś go znała, nie mogłabyś brać mu za złe jego postępowania - powiedziała powoli.

- Widzę, że i ty jesteś zaślepiona. Musisz go naprawdę bardzo lubić i cenić, skoro nie zawahałaś się zwalić mu na kark całej rodziny.

Ledwie wymówiła te słowa, a byłaby je najchętniej cofnęła.

Maud zaczerwieniła się lekko i odparła:- Na kark, to może niezupełnie odpowiednie określenie, może zbyt złośliwe. Gilbert zarządza od wielu, wielu już lat majątkiem Drake'ów. Przedtem ojca Ivora, teraz jego. Pochłaniało to sporo czasu, tak że stopniowo Gilbert musiał zrezygnować ze wszystkich innych zajęć. Ivor zawdzięcza mu bardzo wiele... i teraz stara się w ten sposób, częściowo chociażby, za wszystko zrewanżować.

Igła biegła szybko i zwinnie po płótnie, podczas gdy Maud mówiła spokojnie dalej:

- Po ataku Gilberta lekarze i kuracja pochłonęły prawie całą naszą gotówkę, tak że zostaliśmy niemal bez grosza, a równocześnie lekarze orzekli, że Gilbertowi potrzebne jest słońce i wypoczynek na świeżym powietrzu. Gdyby Ivor nie wysłał nas tutaj, kto wie, czy Gilbert by jeszcze żył. A życie Gilberta jest dla mnie ważniejsze niż wszystkie plotki na temat Ivora i tego, czy kieruje się on takimi, czy innymi względami.

Maud nagle podniosła wzrok, w którym widniało jak gdyby wyzwanie.

Cóż miała Kay odpowiedzieć? Jak mogła przekonać Maud, że dobre uczynki Ivora wcale nimi nie były; że wtedy tylko rozkwitał i prosperował, kiedy mógł odgrywać rolę pana i władcy przed ludźmi, którzy bez niego nie mogliby egzystować.

- No tak... - powiedziała z wahaniem. - Ale widzisz... to bardzo, bardzo niedobrze dla Terry'ego, Maud. Przyzwyczajają się niepotrzebnie do lenistwa i luksusu i nie wiesz, jak będzie się czuł, kiedy mu przyjdzie rozejrzeć się za skromną posiadłość za dwadzieścia dolarów tygodniowo..

- Terry nie będzie potrzebował na razie rozglądać się za pracą, moja droga. Ivor obiecał Gilbertowi, że po ślubie wyznaczy nam niewielką rentę, mnie i Gilbertowi. To nam umożliwi sfinansowanie ostatniego roku studiów Terry'ego.

- Maud - zawołała impulsywnie Kay, patrząc z niedowierzaniem na siostrę - nie mogłaś chyba przyjąć podobnej propozycji! To Gilbert... to on cię tak przekabacił. Powiadasz, że porzucił wszystkie inne prace prawnicze dla Ivora - w gruncie rzeczy jednak chcesz powiedzieć, że nie miał żadnych innych klientów. Twój mąż nigdy nie umiał sobie radzić, a teraz dla własnego bezpieczeństwa sprzedaje własną córkę!

- Jak możesz mówić coś podobnego! - oburzyła się Maud, a jej oczy rozbłysły gniewem. - Wiem, że nigdy nie lubiłaś Gilberta, ale on szczerze kocha Elaine, a ona odpłaca mu takim samym uczuciem. Wolałby raczej umrzeć, niż widzieć Elaine żoną nieodpowiedniego człowieka!

- A ty jesteś przekonana, że Ivor jest właśnie tym odpowiednim dla Elaine człowiekiem... tak?

- Ivor był i jest dla nas zawsze niesłychanie dobry... Owszem, przyznaję, że może trochę za dużo pije.

- Pije!... Gdybyż to chodziło tylko o picie! Czy uważasz, że był dobrym mężem dla Rosemary?

- Rosemary? - powtórzyła cicho Maud. - Ivor opowiadał mi wszystko o Rosemary. Biedne, nerwowo chore stworzenie! Rosemary już w chwili zamążpójścia była nieźrównoważona. Nie możesz więc winić Ivora za to, co się stało potem.

- Aha! Więc Ivor ci mówił, że Rosemary była nieźrównoważona? Jak on śmiał? Kiedy Rosemary wychodziła za niego, była tak samo zdrowa, młoda i śliczna, jak twoja Elaine! To on zrobił z niej złamaną, neurotyczną histeryczkę, która wolała wyskoczyć przez okno, niż znosić dłużej takie życie... To on doprowadził ją do takiego stanu. Ma to już we krwi, żeby niszczyć. I ze mną stałoby się to samo, gdybym nie potrafiła wyrwać się z jego szponów dość wcześnie!

- Ty? Kay!... O czym ty mówisz, na miłość boską?!

- Mówię po prostu o Ivorze i o sobie. Poznałam go tu przed trzema laty. Wydał mi się najcudowniejszym człowiekiem na świecie i był zakochany we mnie bez pamięci. Obiecałam nawet, że wyjdę za niego - i dał mi wtedy ten piękny pierścionek ze szmaragdem, który nosi Elaine. Och! Byłam zupełnie szalona! Zaślepiąca! Chwilami orientowałam się już nawet w sytuacji, ale było mi wszystko jedno, nie chciałam wiedzieć, że Ivor pije rano, w południe i wieczorem i że mnie w to pijaństwo wciąga, nie zastanawiałam się, co ma na myśli, mówiąc, że istnieją na świecie rzeczy bardziej podniecające niż alkohol. - A ja... ja byłam taka zaślepiona... że nie przeczuwałam nawet nieszczęścia wtedy, kiedy się potknęłam i upadłam na skały. I wtedy, wtedy zobaczyłam jego oczy - oczy błyszczące jak u węża, którymi wpatrywał się w krew spływającą z mojego nagiego ramienia. Dopiero dzięki Rosemary przejrzałam... - Kay mówiła dalej gorączkowo, odgarnawszy do tyłu włosy. - Rosemary była tu wówczas cały czas. Na razie myślałam, że to tutejsza dziewczyna, a bywała tu często, bo mieszkała w sąsiedztwie. Ale pewnego dnia przyszła i oskarżyła mnie, że kradnę jej Ivora, z którym jest zaręczona. A przez cały ten czas Ivor adorował mnie i nadskakiwał mi w jej

obecności umyślnie, celowo, bo rozkoszował się jej udręką i cierpieniem, jakie przeżywała. Próbowałam powiedzieć to Rosemary, ostrzec ją, otworzyć jej oczy na prawdziwego Ivora, ale ona była młoda i tak w nim zakochana, że przekonała się o tym dopiero, gdy już było za późno.

- Kay! To wszystko nieprawda! To bezwstydną, wyrafinowane kłamstwo!

- Mówisz, że to kłamstwo? A więc dobrze! Może uwierzysz, jeżeli usłyszysz prawdę z ust samej Rosemary! Mam w pokoju jej pamiętnik, który mi przysłała tuż przed popełnieniem samobójstwa. Przyniosę ci go!

Maud pochylała się nagle silnie do przodu i położyła ostrzegawczo dłoń na ramieniu siostry. Od końca tarasu słychać było jakiś ruch i głosy.

- To Gilbert - powiedziała Maud szeptem. - Nie mów teraz nic więcej!

Gilbert Chiltern zbliżał się do nich w swym inwalidzkim wózku, którego koła sam popychał obiema rękami. Obok wózka kroczyła wysoka, koścista kobieta w stroju pielęgniarki.

- Kay - powiedziała trochę niepewnym głosem Maud - pozwól przedstawić sobie pannę Alicję Lumsden, kuzynkę Ivora. Alicjo, to moja siostra, Kay.

Głęboko osadzone, podejrzliwie oczy pielęgniarki spojrzały badawczo na Kay. Skinęła jej lekko głową, po czym zwróciła się do Maud.

- W szpitalu stwierdzono, że stan pana Chilterna, o ile chodzi o zdolność poruszania się, nie zmienił się na lepsze. Nie wykluczają jednak, że wkrótce będzie mógł się zacząć ćwiczyć w pływaniu.

Mówiąc to, wygładziła automatycznie poduszkę pod głową inwalidy i po chwili wyszła, szeleszcząc nakrochmaloną spódnicą.

Gilbert Chiltern uśmiechnął się do Kay z leciutkim odcieniem sarkastycznej nieco galanterii, z jaką ją zawsze traktował. Zawsze aż do przesady staranny w ubraniu i teraz miał na sobie wytworny ciemnozielony jedwabny szlafrok, a pod nim jasnozieloną piżamę - także jedwabną. Wózek inwalidzki obity był również jasno - i ciemnozieloną skórą.

Mimo paraliżu nóg, które były nadmiernie cienkie i wychudzone, te żywe kolory jego ubrania robiły ogólnie wesołe wrażenie. Z przedwcześnie posiwiałymi, białymi teraz jak śnieg włosami, ciemnymi żywymi oczami i atletyczną górną połową ciała, Gilbert wyglądał równie pięknie i arystokratycznie jak zawsze.

- Salve, o piękna Kay, w naszym raj! - powiedział z galanterią. - Jedyne, co mam do zarzucenia Ivorowi to twarz jego ubogiej krewniaczki... mógł doprawdy wybrać jakiś smakowitszy kąsek.

Kay chciała mu odpowiedzieć w tym samym frywolnym tonie, ale nie była w stanie prowadzić teraz lekkiej, towarzyskiej konwersacji - tak więc pod pretekstem zmęczenia i konieczności rozpakowania walizek poszła do siebie na górę. Drżącymi rękami otworzyła walizkę i spod stosu bielizny wyciągnęła mały, oprawny w zieloną skórę pamiętnik. Na tytułowej stronie wypisane było ozdobnie: „Pamiętnik Rosemary Drake”, a pod tytułem drżącą, niepewną ręką słowa:

*Droga Kay, przeczytaj to. Chcę, żebyś przeczytała i przekonała się, jak bardzo miałaś rację. Ale nie pokazuj nikomu, chyba że znalazłaby się jakaś następna Rosemary Drake.*

Kay przerzucała drżącą ręką kartki pamiętnika, zatrzymując się dłużej tu i ówdzie.

*...Ivor wie, że zawsze będę go kochać. Wie, że nigdy nie zdobędę się na to, żeby od niego odejść. I to daje mu tę nieograniczoną władzę nade mną. Kiedy ją, tę Kay, przyprowadził, wiedział, że jestem w pokoju obok, ale nie zdobędę się na to, żeby się im pokazać, wiedział, że będę siedziała bezwolna i słuchała... słuchała.*

Czytając po raz setny te przejmujące zwierzenia, Kay znowu poczuła ogarniającą ją falę oburzenia i gniewu.

*...Mam wrażenie, że Ivor wie o tym, iż noszę się z zamiarem samobójstwa. Czytam to niekiedy w jego oczach. Och! Poznałam go już teraz tak dobrze! Wie... ale nie ruszy palcem, aby temu zapobiec... Może od początku na to właśnie czekał...*

Kay zamknęła głośno pamiętnik i odwróciła się gwałtownie w stronę drzwi.

Od drzwi rozległ się niski, trochę niepewny głos.

- A oto zjawia się na scenie panna młoda!

Przez chwilę myślała, iż Elaine jest jakąś wizją wyczarowaną przez jej własną wyobraźnię. Nie, to zbyt okrutne... zbyt gorzko ironiczne.

Siostrzenica Kay stała w otwartych drzwiach, strojna w prześliczną suknię ślubną z cieniutkiej białej koronki. Na ciemnych włosach miała upięte zwoje pajęczego, białego tiulu.

- Nadeszła moja ślubna toaleta - powiedziała Elaine. - No? Jak ci się w niej podobam?

Piękna twarz Elaine była rozpromieniona i uśmiechnięta, w miarę jednak jak patrzyła na ciotkę, wyraz ten uległ zmianie.

- Dlaczego mi się tak dziwnie przyglądasz? - spytała wreszcie.

- Bo... bo widzisz, Elaine - zaczęła Kay i nagle urwała.

- Nie potrzebujesz mówić ani słowa więcej - powiedziała dziewczyna, a jej zielone oczy pociemniały z gniewu. - Słyszałaś, jak Don mówił, że to Ivor płaci za tę toaletę, jak zresztą za całą moją wyprawę!

- Ależ, kochanie... ja tylko...

- Myślisz podobnie jak wszyscy, że wychodzę za Ivora tylko dla jego majątku - głos Elaine brzmiał wyzywające, niemal histerycznie. - Terry także tak myśli. Terry zawsze mnie kochał, ale teraz mnie nienawidzi. Gardzi mną, bo jest przekonany, że się sprzedaję, że chcę być bogata. Ale ja gwizdę na to, co wy wszyscy o mnie myślicie! Co mnie to obchodzi? Owszem, tak... Ivor jest bardzo bogaty, jest dużo ode mnie starszy! Był już przedtem żonaty... ale dlaczego nie miałabym go kochać? Kocham go! Cieszę się, że jest taki bogaty i może tyle zrobić dla papy. To przecie nie grzech wyjść za mąż za człowieka bogatego, prawda? Dlaczego jednak nie miałabym go kochać?

Urwała raptownie, gdyż drzwi znowu się otworzyły i ukazała się w nich Simona Morley. Na kostium kąpielowy narzuciła jaskrawozielony płaszcz, a wspaniałe, kasztanoworude włosy, teraz jeszcze trochę wilgotne, odgarnięte miała z czoła.

- Właśnie wróciliśmy z Terryem z nart wodnych - powiedziała obracając palcami srebrną bransoletkę w kształcie podkowy na ręce. - Słyszałam, że ma się odbyć kostiumowa próba generalna, więc przyszłam się pogapić. Ivor na pewno każe bić we wszystkie dzwony podczas tego waszego spacerku do ołtarza, prawda? - Jej uśmiech, rozchylający wargi, zdawał się obejmować lekką ironią także i osobę Kay.

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie, w którym czuło się jakiś odcień wrogości. Jak przez mgłę Kay patrzyła na obie piękne dziewczyny - gdy nagle usłyszała na dole w hallu jakieś głosy i niezwykle ruch. Po, chwili ktoś zaczął szybko biec po schodach i w drzwiach pokoju ukazał się wysoki, smukły młody mężczyzna w nieskazitelnie białym, doskonale skrojonym letnim garniturze.

Kay poczuła nagły zawrót głowy, a Elaine skoczyła w jego kierunku z okrzykiem:

- Ivor!

- Tak, to ja, kochanie. Ja - dzięki usłudze Panamerykańskich Linii Lotniczych i wynajętej w Hamilton motorówce.

- Ależ my spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro! Nieco skośne oczy Ivora Drake przeniosły się powoli z Elaine na Simone Morley, a wreszcie zatrzymały się na Kay. Nie zdradzając najmniejszego zmieszania czy zakłopotania, wycedził wolno i wyraźnie:

- Cóż za cudowne spotyka mnie przywitanie! Kay Winyard, Simona Morley i Elaine Chilern - połączone w jedną dziewczęcą powitalną grupę! Trzy Gracje!... a może raczej... trzy Parki?

Zawiesił na chwilę głos, a potem dokończył:

- Przeszłość... Teraźniejszość... i Przyszłość?

### **Rozdział 3**

Nie wiadomo dlaczego uwaga Kay była w tych pierwszych chwilach skoncentrowana na Simonie Morley. Dziewczyna patrzyła na Ivora z rozpromienioną twarzą.

- Na razie będą panu musiały wystarczyć dwie Parki - powiedziała - ja wracam do domu.

Ivor uklonił się jej lekko, niedbale, po czym podszedł do Elaine i położył jej obie ręce na ramionach.

- Kochanie! Jesteś jeszcze piękniejsza aniżeli w moich, marzeniach - powiedział i pocałował ją delikatnie w usta. Przesunął dłonie po miękkiej tkaninie ślubnej sukni i dodał żartobliwie:

- Piękny i godny pochwały pośpiech pokazania się w roli panny młodej.

Elaine stała nieruchomo.

- Ja tylko chciałam pokazać suknię Kay, dlatego ją przymierzyłam... Zdaje się, że się już znacie... prawda?

- Owszem, poznaliśmy się kiedyś, przed laty. Dopiero po tych słowach Ivor zwrócił się wprost do Kay.

Zdumiała się, że tak zupełnie nie zmienił się w ciągu tych trzech lat. Musiał mieć już teraz blisko czterdziestkę - a nie wyglądał na więcej jak dwadzieścia pięć, najwyżej dwadzieścia osiem lat, dzięki wysmukłej figurze i opalonej, gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy, na której tylko wyraz ust zdradzał przeżyte doświadczenia. I te niebezpieczne brązowe oczy, którym nigdy nie uszedł najmniejszy ruch w pokoju ani zmiana nastroju. W głowie Kay myśli tańczyły dziką sarabandę. Czy Ivor przyspieszył przyjazd o jeden dzień dlatego, że dowiedział się o jej wizycie? I czy podejrzewa, czy domyśla się, co ją skłoniło do przyjazdu? W pewnej chwili wzrok Ivora zatrzymał się na małym zielonym notesiku, który Kay ciągle jeszcze ścisnęła w dłoniach. Czy wiedział, co on zawiera? Z lekkim odcieniem drwiny w głosie powiedział:

- Jestem szczerze zachwycony perspektywą zyskania w pani osobie nowej... cioci, panno Kay.

- A ja tym, że będę miała okazję być obecna na pana ślubie - odpowiedziała takim samym tonem Kay, nie czując już zakłopotania ani zażenowania... Odczuwała w tej chwili przede wszystkim własną wrogość ku niemu - a jeszcze bardziej wrogość, emanującą od niego w jej kierunku

- Nigdy bym sobie nie darowała, że opuściłam okazję uczestniczenia w pańskim kolejnym ślubie!...

Oczy Elaine w nagle pobladłej twarzy były szeroko otwarte i wyrażały zdumienie.



- Kay będzie moją starszą družką, Ivorze - powiedziała.

- Już mi to raz mówiłaś, kochanie - w oczach Ivora zapaliły się dziwne ogniki. - Kay Winyard - druhną! Któż mógłby być bardziej odpowiedni? - powiedział i objął talię Elaine ramieniem. - Chodźmy, kochanie! Twoja szanowna ciocia pragnie się z pewnością przebrać do obiadu, zostawmy więc ją na razie w spokoju.

Przy drzwiach Ivor przystanął na chwilę i spojrzał przez ramię na Kay.

- Mam wrażenie, że to znakomite zalecenie dla przyszłych ciotek i siostrzeńców, zostawić się wzajemnie w spokoju. Nie sądzi pani?

To już było wyraźne wyzwanie - i Kay je podjęła. Mimo że nie powzięła jeszcze żadnego konkretnego planu, czuła się dziwnie pewna siebie. Wsunąwszy mały zielony notesik do szuflady komody, wyjęła z szafy białą wieczorową suknię, do której wybrała zielone sandaalki. Ze stojącego przy tapczanie wazonu wyjęła kwiat i przypinała go sobie do włosów według panującej na Bermudach mody, kiedy rozległ się gong, wzywający na obiad.

Po cocktailach, których dużo wypił Ivor, podano obiad, tak jak przedtem śniadanie, w biało malowanym patio w tylnej części domu. Paliły się tu już świece w wysokich, chroniących od wiatru kloszach.

Skoro tylko wszyscy zajęli miejsca przy stole, Kay odczuła zmianę, jaka zaszła w nastroju całej rodziny z chwilą pojawienia się Ivora. Zmiana ta była może pozornie niedostrzegalna, a jednak Kay odczuła ją wyraźnie. Wszyscy prześcigali się w okazywaniu uprzejmości i zainteresowania nieoczekiwanemu gościowi. Mimo to jednak pod maską towarzyskiego poloru odczuwało się jakieś napięcie. Ivor nie stanowił tu wyjątku - u niego jednak nastrój ten objawiał się w aż przesadnym roztaczaniu swego czaru. Zastanawiające to było u człowieka, który nigdy nie robił nic bez wyraźnego celu. W miarę jak wspaniałe przyrządzony obiad dobiegał końca, Kay coraz bardziej upewniała się, że to na jej benefit Ivor jest dzisiaj tak czarujący - chciał jej dać odczuć, jak cała jej rodzina jest pod jego urokiem i - jak się to mówi - je mu po prostu z ręki. Po jakimś czasie zaczęła się jednak orientować, że coś tu nie gra... coś jest nie w porządku. Obserwując uważnie Ivora, zauważyła najpierw zmianę w nim samym - jego uśmiech stał się teraz lekko bezczelny i zaczepny, a głos pieszczotliwie miękki. U tego człowieka nie wróżyło to niczego dobrego. Zaczęła po trochu rozumieć przyczynę tej w nim zmiany. Z niezrozumiałego na razie powodu, ale całkiem wyraźnie, Chilternowie teraz nie reagowali na jego zachowanie tak, jak tego pragnął i jak się spodziewał. Najpierw Elaine, urocza i podobna do egzotycznego kwiatu w białej, podobnej do sukni Kay toalecie, popadła w jakieś apatyczne milczenie. Terry także bujał myślami gdzie indziej, a nawet Maud, mimo usiłowań Ivora, by wzbudzić jej

zainteresowanie, także głęboko się zamyśliła. Zdenerwowanie Kay rosło z minuty na minutę. Znała Ivora tak dobrze, iż rozumiała, że niereagowanie na jego czar towarzyski, i nieobjawianie zachwyty - zwłaszcza ze strony osób tak mu podporządkowanych - doprowadza go do pasji i że znalazłszy się w takiej sytuacji straci tę cieniutką warstwę poloru towarzyskiego. Obserwowała jego rosnące podniecenie i gniew oczekując jakiegoś histerycznego, kobiecego niemal wybuchu. Ale gdy rzeczywiście wybuch nastąpił - gwałtowność jego zaskoczyła ją samą.

Patrząc przez całą długość stołu na Maud, Ivor spytał w pewnej chwili:

- Nie wiesz, Maud, czy łóżko w pawilonie na wyspie jest już posłane?

Maud, jak gdyby wyrwana ze snu, odpowiedziała z lekkim zakłopotaniem:

- Terry sypiał na wyspie, ale jeżeli ty sobie życzysz tam spać, powiem Donowi, żeby zmienił pościel.

- To podobno przynosi nieszczęście, jeżeli narzeczony sypia przed ślubem pod jednym dachem z narzeczoną - powiedział lekko Ivor i jego posępny, a równocześnie ironiczny wzrok spoczął na Terry. - Wołałbym więc nocować w pawilonie, o ile oczywiście Terry zechce mi go ustąpić - dokończył złośliwie.

Terry podniósł na niego znad talerza oczy i spytał obojętnie:

- Oczywiście... dlaczegoż nie miałbym ci go ustąpić?

- No... bo to takie urocze ustronie na wyspie - Ivor wzruszył ramionami. - A wystarczy sześć minut, żeby dopłynąć do willi Morleyów!

Oczy Terry'ego stały się twarde jak stał.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz - powiedział zimno.

Kay zauważyła, że wargi Ivora rozchyliły się w szyderym uśmiechu, ukazując ostre, białe zęby.

- No, no, Terry!... Nie udawaj! Jesteś już przecie dorosły! A może się mylę? Bo Bermudy to jedyne na świecie miejsce do przeżywania romantycznych epizodzików... a Simona jest piekielnie atrakcyjną dziewczyną! Mam wrażenie, że... hm... że posunęłaby się dość daleko, żeby otrzymać w prezencie jeszcze jedną taką srebrną bransoletę niewolnicy.

Terry wstał powoli z krzesła, a jego wysoka smukła postać dominowała nad całym towarzystwem siedzącym przy stole.

- Jesteś świnia, Ivor! Podła, kłamliwa świnia! Zdumiewające, jak ta warstwa poloru mogła tak nagle i tak kompletnie pęknąć! A jeszcze bardziej zdumiewająca była pasja i wściekłość Terry'ego.

Ivor patrzył na chłopca dziwnie błyszczącymi oczami, a jego długie, cienkie palce ścisnęły kurczowo nóżkę kieliszka.

- Nie powiem, żeby to było uprzejme nazywać mnie podłą, kłamliwą świnią pod moim własnym dachem - wycedził powoli, a nozdrza lekko mu drgały. - Podobało mi się ułatwić i wygodnie zorganizować życie twoich rodziców... mógłbym także finansować twoje wyższe studia. Nadal też mam zamiar poślubić Elaine, ale nie uważam za konieczne przelewać na ciebie prawa własności mojego domu!

Przy wymawianiu tych ostatnich słów oczy Ivora skrzyżowały się na moment ze wzrokiem Kay. W nagłym olśnieniu odgadła powód tego brutalnego ataku. Ivorowi nie udało się zademonstrować jej naocznie, jak bardzo Chilternowie są pod jego władzą - niechże przynajmniej pokaże Kay, z jakim powodzeniem potrafi ich upokorzyć!

Dłuższą chwilę Terry stał kompletnie bez ruchu. Potem nagle, bez żadnego ostrzeżenia, skoczył ku Ivorowi, przewracając stojące za sobą krzesło. Elaine zerwała się z miejsca z twarzą pobielającą jak płótno i podbiegła, żeby ich rozdzielić. Pochwyliła Terry'ego za ramię.

- Terry! Uspokój się! Nie bądź szalony!

- Szalony? - chłopiec zwrócił wykrzywioną wściekłą twarz ku siostrze. - A może wolałabyś, żebym powiedział: „Dziękuję panu pięknie, panie Drake!”? Żebym tak, jak ty i cała reszta, lizał mu buty i skakał przed nim na dwu łapkach niczym tresowany piesek dlatego tylko, że jest bogaty, a wy boicie się, żeby się nie rozmyślił i nie przestał podreperowywać naszej nadszarpniętej fortuny... tak?

Odwrócił się gwałtownie i ignorując zupełnie Ivora utkwiał gorejące oczy w obojgu rodzicach.

- Jesteście przecież moimi rodzicami! Winienem wam poważanie i szacunek! Szacunek! Dobry Boże! Wolałbym raczej zdechnąć pod płotem, aniżeli postępować tak, jak wy!

Potem znowu spojrzął na Elaine i strząsnął jej rękę z ramienia.

- I ty także - powiedział gorzko. - I ty... Marna, mała awanturnico, spekulująca na bogaczach! Wiedz przynajmniej, co o tobie myślę! - Przy tych słowach podniósł drżącą rękę i wymierzył siostrze policzek. Wśród kompletnej ciszy, jaka teraz zaległa, słychać było jego krótkie, urwane łkania, kiedy, potykając się, pół idąc, pół biegnąc, dopadł drzwi patio, gwałtownie je otworzył i zniknął w ciemnościach.

Powoli, jak gdyby we śnie, Elaine podniosła rękę do zaczerwienionego policzka. Jej zielone oczy, pozbawione wszelkiego wyrazu, wpatrywały się gdzieś przed siebie, w próżnię. Po krótkiej chwili powiedziała ledwie dosłyszalnie:

- Przepraszam... pójdę do siebie - i gwałtownie „Wybiegła z patio. Maud chciała w pierwszej chwili pójść za nią, ale zatrzymała się w pół drogi. Ivor, zupełnie spokojny i opanowany, usiadł z powrotem na krześle, jak gdyby nic się nie stało.

- Maud, kochanie, jedźże swoje crepes suzettes, bo ci całkiem wystygną, a naprawdę są znakomite! - powiedział.

Jego wyzywająca wprost bezczelność wydała się Kay nie do zniesienia. Wstała i pospiesznie wyszła z pokoju.

Mimo tej niewiarygodnej sceny czuła nagły przypływ tryumfu. Terry stawiał czoła Ivorowi - miał odwagę powiedzieć mu w oczy prawdę o całej sytuacji.

Na dworze, w szybko zapadającym mroku, zobaczyła smukłą sylwetkę Terry'ego, szybko zdążającego przez trawnik w stronę przystani. Musi go dopędzić. Musi mu powiedzieć całą prawdę - że słusznie postąpił. Kiedy wreszcie dotarła do przystani, zobaczyła wprawdzie kołyszącą się na wodzie motorówkę z przyczepionym z tyłu akwaplanem. Na żelaznej barierze pomostu suszyły się jeszcze kostiumy kąpielowe, wyglądające z daleka jak jakieś duchy. Ciemny, ledwie widoczny kostium Maud, obok niego srebrnobiały, błyszczący niemal kostium Elaine z małym połyskliwym srebrzystym czepkiem kąpielowym, zatkniętym groteskowo na żelazny słupek. Rytmiczne uderzenia wiosła przypominały jej, że przyszła, żeby porozmawiać z Terryem. Był już dość daleko w płytkiej łodzi i wiosłował w stronę żaglówki, która odbijała się kontrastowo białym żaglem od ciemniejącej za nią wyspy.

- Terry! - zawołała. - To ja, Kay! Wracaj!

Ale chłopiec wiosłował uparcie dalej. Chciał widocznie być sam. Biedny Terry! Jak doskonale go rozumiała! Chodziło przecież nie tylko o brutalne przytyki Ivora do Simony - gwałtowny wybuch Terry'ego pozwolił Kay zajrzeć w głąb duszy chłopca i dostrzec tam całe piekło wstydu i wstrętu, jakie przeżywał, z powodu postępowania rodziców i ukochanej siostry. Musiało mu się ono wydać haniebne i niegodne...

Tymczasem Terry dopłynął już do żaglówki, a Kay zawróciła w stronę domu, wzdłuż majaczących w mroku przybrzeżnych skał, gęstych agaw i biało kwitnących krzaków jukki dochodzących aż do samej plaży.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rozległ się za nią jakiś głos:

- Chwała Bogu! Jednak przyszłaś!

Gwałtownie odwróciła się na miejscu i zobaczyła sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Nim zdolała wymówić słowo, ramiona jego oploty ją w tali i mocno przygarnęły do siebie. Gorące wargi znalazły jej usta i przywarły do nich w długim, gwałtownym pocałunku. Kay była tak zaskoczona i oszołomiona, że nie mogła zebrać myśli ani też krzyknąć czy wyswobodzić się z jego ramion.

Wreszcie usta oderwały się od jej warg, a głos szorstki i nagły szepnął jej do ucha:

- Przeżywałem piekielne męki, oczekując na ciebie! Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz!

Wtedy dopiero Kay poznała go - poznała ten, szorstki głos i skupioną, pełną wyrazu twarz sternika motorówki. Równocześnie poczuła, że ramiona jego opadły, a całe ciało zeszywniało; odsunął się od niej. Dopiero teraz, kiedy minął pierwszy szok, rozumiała wstrząsającą prawdę. Starając się nadać głosowi normalne brzmienie, powiedziała:

- Mam wrażenie, że pan się pomylił, drogi panie Baird!

- Biała suknia - zaczął się jąkać zmieszany. - Ona też ma dzisiaj białą suknię i...

- Pan mnie wziął za Elaine - powiedziała Kay spokojnie, nie mogąc się jednak oswoić z nową sytuacją. - Pan i Elaine?!

- Mówiłem przecież, że nie dopuszczę do tego małżeństwa - powiedział urywanym głosem - teraz już pani wie dlaczego.

- Umówiła się tu z panem? Tak? Musi mi pan powiedzieć prawdę. Elaine pana kocha?

- Czy mnie kocha? - W półmroku oczy jego błyszczały dziko. - Jeżeli rozumie, co jest dla niej dobre, a co złe, to powinna mnie kochać!

- Ale wobec tego... dlaczego wychodzi za Ivora?

- Myśli pani, że mogę to zrozumieć? Że mogę się zorientować, co się dzieje w tej nieprzytomnej głowie? Ivor jest bardzo bogaty, prawda? A przy tym szalenie przystojny... a ona - młoda, niemądra i boi się biedy. W ogóle zresztą zupełnie tego wszystkiego nie mogę pojąć i dlatego właśnie prosiłem, żeby się tu ze mną spotkała po obiedzie. Przed obiadem udało mi się z nią porozmawiać, błagałem, żeby się zastanowiła, żeby zmieniła postanowienie. Mówiłem, że powinna rzucić to wszystko i pojechać ze mną w świat. Wprawdzie nie mam grosza przy duszy, musielibyśmy więc przeczekać w Nowym Jorku, aż coś zarobię... Oczywiście moje dalsze studia musiałyby wziąć w łeb. Wiem, że taka propozycja to cholernie mało dla takiej dziewczyny, ale jednak warte zachodu. Stokroć lepsze aniżeli małżeństwo z tym... z tym...

Nie dokończył i schwycił ją nagle za ramię. Jakieś dwadzieścia kroków za nimi, na ścieżce, wiodącej od domu, zamigotał czerwony ognik papierosa, a za nim ukazała się wysoka, szczupła sylwetka Ivora Drake. Po chwili był już przy nich.

- Don - powiedział - nocuję dzisiaj w pawilonie na wyspie. Przygotujesz mi pościel i łóżko. A przy okazji mógłbyś też przenieść i rozpakować moje rzeczy. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy.

Jego ciemne oczy, widoczne wyraźnie w świetle papierosa, przeniosły się teraz na Kay.

- A propos - dorzucił w stronę Dona - mam nadzieję, że ci się przyjemnie rozmawiało z panną Winyard, ale, niestety, była to ostatnia wasza rozmowa. Płacę ci za pracę, nie za zabawianie moich gości!

Don patrzył przez chwilę na niego z kurczowo zaciśniętymi szczękami, potem powiedział bardzo spokojnie: - Okej - i oddalił się w stronę domu.

Kiedy już zniknął im z oczu, Ivor odrzucił nie dopalonego papierosa i podszedł bliżej do Kay. Każdy nerw dygotał w niej jeszcze po rozmowie z Donem - a teraz poczuła nagły przypływ strachu.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej, Kay - powiedział cicho. Ręce jego wyciągnęły się ku niej. Chciała się cofnąć, odepchnąć go, lecz nie była w stanie się poruszyć..

- Jeszcze piękniejsza... ale równie niezepsuta i niedoświadczona.

Palce jego błędziły po jej nagich ramionach.

- Byłem wówczas zbyt lekkomyślny, prawda? Podniecałem cię zamiast uszanować dziewczęcą skromność. Wobec tego sklasyfikowałaś mnie jako potwora, pożerającego młode dziewczęta. A teraz przyjechałaś, żeby ratować siostrzenicę przed losem gorszym niż śmierć... Czy tak?

Widziała jego białe zęby, odsłonięte w uśmiechu.

- Ale ja na twoim miejscu, Kay - mówił dalej - rozkoszowałbym się raczej słońcem i pięknem przyrody. Bo zamiar twój ci się nie uda, kochanie!

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Skąd ta pewność, że mi się nie uda?

- BO uważam Elaine za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkałem. Bo chcę ją mieć za żonę. I będę miał!

- A ona chce cię poślubić?

- To, moja droga, jest bardzo ciekawe pytanie. No, ale i sama Elaine jest bardzo ciekawą i skomplikowaną osobą. Pieniądze ją fascynują... a także... jest zafascynowana moją osobą.

- I... czy ona kocha ciebie?

- Czy mnie kocha! - roześmiał się cynicznie. - Czy sądzisz, że po Rosemary ożeniłbym się znowu z kobietą, która by mnie kochała?

Księżyc, podobny teraz do żółtego dysku, wisiał nad spokojną wodą zatoki. W jego łagodnym blasku widziała wyraźnie twarz Ivora - jego pełne ironii oczy i wargi skrzywione cynicznym uśmiechem.

- Biedna, mała Kay... Wy, porządne dziewczyny, jesteście takie wzruszająco naiwne! Wyobrażasz sobie, że doprowadziłem Rosemary do śmierci wyłącznie dla samej rozkoszy patrzenia na jej cierpienia - nigdy natomiast nie zrozumiesz, że to ona mnie zawsze prześladowała! Ta przerażająco zachłanna kobieca miłość! Wierz mi, Kay, to po prostu cud, że” nie ja, a Rosemary wyskoczyła oknem!

Kay patrzyła na niego i czuła, że go nienawidzi.

- Przypuszczam, że wiesz, iż Rosemary spisywała wszystkie wydarzenia swego małżeńskiego pożycia - powiedziała Kay. - Nim popełniła samobójstwo, przysłała mi swój pamiętnik.

- Zdawało mi się, że piastowałaś ten mały, zielony tomik w chwili, kiedy wszedłem niespodziewanie do twego pokoju...

:- Może cię to zainteresuje, jeżeli ci powiem, że mam zamiar dać go do przeczytania Maud - i to nie później jak dzisiaj wieczorem.

- Ach, więc jeszcze go nie pokazałaś! - Ivor znowu się roześmiał. - Bardzo mi przykro, że cię rozczaruję, ale muszę cię, niestety, uprzedzić, że ta bomba pozostanie niewypałem. Twoja siostra ma zbyt wiele rozsądku i instynktu samozachowawczego, więc woli jeść chleb grubo posmarowany masłem, a zwierzenia jakiejś nerwowo chorej histeryczki nie zrobią na niej większego wrażenia.

- To podłe, co mówisz, Ivorze! Fakt, że Maud toleruje twoje „dobrodziejstwa” okazywane Gilbertowi, nie upoważnia cię jeszcze do...

- Uroczą Kay! Wcale nie powiedziałem, że kupiłem sobie twoją siostrę za kilka drobnych przysług, okazanych jej mężowi. Twierdziłem tylko, że ani Maud, ani Gilbert nie staną mi na drodze, jeżeli idzie o moje małżeństwo z Elaine - i to bez względu na to, co zrobisz. Pozostań więc w roli rozsądnej i taktownej siostry i nie zwracaj; Maud głowy bardziej, niż to jest koniecznie potrzebne.

- Dokąd ty właściwie zmierzasz, Ivorze? Podszedł do niej bliżej.

- Nie chcę być brutalny czy chociażby nietaktowny, kochanie. Zmuszasz mnie jednak do wygłaszania niezbyt przyjemnych sądów o twoich ukochanych Chilthernach, a potem mówisz, że jestem nikczemny i gruboskórny. I

Ramiona Ivora oplotył silnie Kay - przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Ale jej krótki moment oszołomienia wspomnieniami już bezpowrotnie minął... Wsunęła się stanowczym ruchem z jego ramion. Ivor spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Hm... Mam wrażenie, że rapsodia już... przebrzmiała, prawda? Nie zamierzam konkurować z moim własnym najemnym sternikiem.

Opanowana gwałtowną falą gniewu, Kay zawróciła w miejscu i zaczęła biec w stronę domu. A jednak mimo że zostawiła go tam przy zatoce, uczucie goryczy tkwiło w niej w dalszym ciągu jak trucizna zatruwająca krew. Znalazła się na oblanej światłem księżycowym werandzie, minęła ją i weszła do saloniku. Maud siedziała tu całkiem samotnie. Na widok siostry szybko wstała i podeszła do niej zaniepokojona.

- No i co, Kay? Znalazłaś Terry'ego?

- Nie, nie dopędziłam go. Odpłynął żaglówką na morze. Widocznie chciał być sam.

- Kay!... Ty na pewno gardzisz mną, prawda? - spytała Maud przerywanym głosem. - Uważasz, że jestem ślepa albo jeszcze gorzej. Jakże mogę ci to wytłumaczyć, kochanie... jak zdołam przekonać, że nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy... nie rozumiem, co Ivor... to znaczy, czym to wszystko było dla mojego syna.

Patrzyła wprost w oczy siostrze, a Kay odnalazła w jej twarzy wyraz, jakiego nigdy dotychczas u niej nie widziała.

- Bardzo cię przepraszam za moje dzisiejsze słowa - mówiła dalej Maud niemal z pokorą. - Strasznie żałuję za wszystko i czuję, że zaczynam sobą gardzić. Chcę przeczytać ten pamiętnik... Przynies mi go do pokoju, wieczorem, kiedy już cały dom będzie spać.

Za chwilę drzwi się otworzyły i do salonu wkroczył uśmiechnięty, beztrudny Ivor.

- Ho, ho! Widzę, że nasza młodzież poszła gdzieś się zabawić, a kochany inwalida udał się na spoczynek. Nie pozostaje więc nam, starszym, nic innego, jak zagrać w brydża.

Zaskoczone Maud i Kay nie protestowały, wobec czego Ivor zaprosił jako czwartą Alicję Lumsden, pielęgniarkę Gilberta. Ivor trzymał wszystkie trzy panie przy zielonym stoliku chyba wieki całe! Grał ze zwykłą u niego werwą i błyskotliwością i obserwował partnerki z trochę rozbawionym, trochę ironicznym uśmiechem. Widać było, że lubuje się w coraz bardziej rosnącym nastroju niepokoju i napięcia.



W pewnej chwili podeszła do Alicji Lumsden pokojówka i powiedziała, że panna Elaine pomoże panu położyć się do łóżka, pielęgniarka nie będzie mu więc potrzebna.

Nic ważniejszego się już przy brydżu nie zdarzyło. Ale Kay zauważyła tego wieczora coś innego. W miarę postępu gry, coraz bardziej była zainteresowana osobą dalekiej kuzynki Ivora, Alicji Lumsden. Ilekroć Ivor zwracał się do niej z jakimś słowem, pospolita twarz dziewczyny dziwnie się rozjaśniała, stając się niemal ładną, a głęboko osadzone oczy śledziły każdy jego ruch z wyrazem psiego niemal uwielbienia i uległości. „Aha, więc to tak sprawy wyglądają - powiedziała sobie w duchu Kay może to dlatego pielęgniarka zdaje się nienawidzić całej rodziny Chilternów? A więc Alicja Lumsden to jeszcze jedna jego ofiara!”

Dopiero o wpół do dwunastej Ivor zaproponował zakończyć grę i krótko odprawił pielęgniarkę. Życzył ironicznie Kay dobrej i spokojnej nocy, a wreszcie oplótł czule ramieniem plecy Maud, mówiąc żartobliwie:

- Maud... bądźże dobrą teściową i odprowadź mnie! Pomachasz mi ręką na dobranoc, nim odjadę.

Skoro tylko zniknęli za drzwiami patio, Kay pobiegła spiesznie na górę do siebie. Była podniecona, a równocześnie zaniepokojona. Maud wyraziła chęć przeczytania pamiętnika - to już część zwycięstwa. Ivor jednak przepowiadał, że spowiedź Rosemary wywrze na Maud jedynie taki skutek, że poczuje się głęboko dotknięta i przygnębiona. Czy miał rację? A może tylko po prostu bluffował? Z lekkim wahaniem wysunęła szufladę komody, w której ukryła pamiętnik, schodząc na obiad. Zanurzyła rękę głęboko pod starannie ułożoną bieliznę i nagle zeszytniałaś Pamiętnik Rosemary Drake zniknął.

Spojrzała na otwarte okno i zaczęła sobie w duchu wyrzucać własną lekkomyślność. Czemuż nie zamknęła na klucz szuflady! Zrozumiała, co się musiało stać. Mówiła przecież Ivorowi, że ma zamiar pokazać pamiętnik siostrze - on zaś widział mały, zielony tomik w jej ręce w chwili, kiedy wchodził do jej pokoju przed obiadem. Wszystko zatem jasne. Kiedy zostawiła go na przystani, wszedł ukradkiem do jej pokoju i zabrał pamiętnik. Twierdził, że sprawa pamiętnika Rosemary jest mu całkiem obojętna, a zrobił to tylko dlatego, żeby odwlec moment pokazania go Maud. W tej chwili pamiętnik jest w jego ręku. Kay postanowiła, że musi go za wszelką cenę odzyskać, i machinalnie podeszła do drzwi. Równocześnie jednak usłyszała warkot motoru oddalającej się motorówki. Wróciła znowu do okna. Niewyraźnie ujrzała ciemny kontur motorówki, szybko zmierzający w stronę wyspy. Ivor zdążył już odpłynąć!

Ale fakt ten powstrzymał Kay tylko na krótką chwilę - pamiętała, że widziała na przystani mały kajaczek - dostanie się nim z łatwością na wyspę! Szybko zrzuciła białą

wieczorową suknię i przebrała się w granatowy sportowy kostium, mniej widoczny w świetle księżyca. Spojrzała jeszcze na zegarek: za dziesięć dwunasta.

Kay ostrożnie wysunęła się na korytarz, a gdy mijala drzwi pokoju Elaine, nagle zastanowiła się, czy Elaine siedziała tu przez cały wieczór. A co robi Terry? Gdzie może teraz być? Czy jeszcze tuła się samotnie po zatoce?

W Salonie nie było już nikogo. Kay wyszła na oświetloną księżycowym światłem werandę, a potem przebiegła szybko trawnik. Na odgłos czyichś kroków ukryła się za krzewem hibiscusa. To Maud, pożegnawszy się z Ivorem, wracała do domu. Kay mpgała już teraz ruszyć w dalszą drogę. - Niebawem dotarła do żelaznej poręczy pomostu, na której rozwieszono były kostiumy kąpielowe. Machinalnie stwierdziła tu jakąś zmianę - ale dopiero po chwili zorientowała się, że to znikł srebrzystoplatynowy czepek kąpielowy Elaine. Przycumowany do pomostu, chwiał się na fali piękny jacht Ivora - a obok niego, jak maleńka łupinka - kajak. Brakowało tylko żagłówek. To znaczy, że Terry jeszcze nie wrócił.

Wsiadając po cichu do kajaka, odwróciła się jeszcze, by spojrzeć na „Sztorm”. Willa pograżona była w zupełnej ciemności z wyjątkiem jednego tylko oświetlonego okna saloniku. Na lewo, na skale nad zatoczką, rozróżniła mały domek, gdzie mieszkał sternik. Okno było oświetlone - widocznie Don jeszcze czuwał.

Kay odbiła od brzegu i skierowała kajak w stronę wysepki, na której wyraźnie widać było zarysy letniego pawilonu Ivora. W całej zatoce panowała kompletna cisza - tylko dalej, na morzu, jakiś plusk przeplatał się z miarowymi uderzeniami wiosła Kay. O... znów ten plusk... Czyżby jakiś pływak trenował o tak późnej porze w zatoce? Może raczej ryba, wyskakująca nad wodę, by zaczerpnąć powietrza... Plusk nie powtórzył się więcej, tylko Kay usłyszała daleki warkot motoru.

Kay przyspieszyła tempo i już po chwili dobijała do maleńkiej przystani. Przywiązała byle jak kajak i pobiegła w górę po kilku cementowych schodkach, wiodących z pawilonu do przystani. Po drugiej stronie portu zobaczyła przywiązany drugi, kajak - nigdzie jednak śladu motorówki, którą odpłynął Ivor. I znowu daleki warkot motoru - dziwny warkot - niby daleki, a równocześnie bardzo jakby bliski. To z pewnością gdzieś na zatoce pływa motorówka Ivora. Chciał widać jeszcze odbyć niewielki spacer po zatoce przed snem - a pamiętnik ma ze sobą, na łódce. Będzie musiała poczekać na jego powrót. Poszła więc w kierunku jasno oświetlonego pawilonu, a gdy otworzyła drzwi, stanęła jak wryta.

Pośrodku luksusowo urządzonego saloniku stała Simona Morley. Kasztanowate włosy spadały jej na ramiona, a głębokie wycięcie czarnej wieczorowej sukni odsłaniało nagie plecy. Dziewczyna spoglądała na Kay z wyrazem nie ukrywanej ironii.

- O! Jak się pani ma, panno Winyard! - powiedziała. - Więc to pani jest dzisiejszym nocnym... „specjałem” Ivora! - Jej czerwone wargi wykrzywił zagadkowy, trochę cyniczny uśmiezek. - Bardzo mi przykro, że wpadłam tak nie w porę!

- Bardzo się pani myli, przypuszczając, że przyjechałam tu z Ivorem - odparła zimno Kay.

- Czyżby? - powiedziała przeciągle Simona. - Gdzież więc jest w takim razie Ivor? Nie dalej jak przed kwadransiem słyszałam, jak jego motorówka odbiła od brzegu. Później warkot motoru ucichł.

- Ivor musi być gdzieś na zatoce. Wchodząc po schodkach, słyszałam motor...

- Słyszała pani motor? - Simona podeszła do okna, a po chwili i Kay się do niej przyłączyła. Znow usłyszały przytłumiony oddalony warkot motoru.

Simona odwróciła się nagle ze zmienioną twarzą.

- To nie od strony zatoki słyhać ten warkot. To bliżej, znacznie bliżej... i motorówka stoi w miejscu. Coś jest nie w porządku...

Powiedziawszy to Simona wybiegła z pokoju. Szła szybko wzdłuż nisko schodzących skał, nad oceanem, po lewej stronie przystani. Kay machinalnie podążała za nią.

Dziwne to było uczucie spieszyć tą wąską, krętą dróżką w ślad za Simona, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dokąd i po co. Poruszone wiatrem cedry wyglądały jak jakieś fantastyczne sylwetki zjaw w tym księżycowym świetle.

Nagle Simona zatrzymała się, a - Kay w kilku krokach ją dopędziła. Tuz przed nimi ciągnął się wąski, regularny pas piaszczystej plaży. Warkot motoru był tu głośniejszy i koncentrował się jak gdyby w niewielkim półkolu zatoczki.

- Motorówka Ivora... widzi pani? O, tam! Wyciągnięta na brzeg...

Kay także zobaczyła jakiś ciemniejszy punkt na samym brzegu plaży. Simona zsunęła się po łagodnym stoku na plażę, a Kay tuż za nią. Kiedy znalazły się po chwili na miękkim, suchym piasku, zaczęły biec ku motorówce”.

Leżała w płytkiej wodzie, z wzniesionym w górę sterem i do połowy zaryta dziobem w piasek. Stercząca jeszcze ciągle z tyłu deska akwaplanu wyglądała jak mały, opuszczony maszt. Rytmiczne pulsowanie motoru odbijało się echem o pobliskie skały.

Simona wskoczyła do motorówki i zniknęła na chwilę w kabinie. Zgasła motor i wyszła z powrotem.

- W kabinie nie ma Ivora. Nie rozumiem, dlaczego nie zgasił motoru. Go pani o tym wszystkim myśli... co...

Nagle urwała w środku zdania, a całe jej ciało wyprężyło się i znieruchomiało. Z głęboką uwagą wpatrywała się w lśniąca wodę zatoki.

- Widzi pani? - schwyciła konwulsyjnie rękę Kay. - Widzi pani? Tam!... Co to?

Gestem wskazała jakiś punkt na wodzie, tuż przy burcie motorówki - zaledwie kilka kroków od plaży.

I Kay również, cała rozdygotana, zobaczyła jakąś niewyraźną czarno-białą plamę - to zanurzoną w wodzie, to znów wynurzającą się z niej powoli - jak gdyby ktoś pływał. Simona weszła do wody, nie zrzucając nawet wieczorowych pantofelków na wysokich obcasach i nie zważając, że jej długa suknia zanurza się w wodzie. Kay bez namysłu poszła w jej ślady. Simona kroczyła przodem, zanurzona po pas - spódniczka Kay oblepiła się wokół jej bioder.

Wreszcie dotarły do celu Simona pochyliła się nisko nad lustrzaną taflą. Walcząc z uczuciem rosnącej paniki. Kay także usiłowała przebić wzrokiem wodę. Nagle zobaczyła biały smoking, skręconą dziwacznie rękę, a wreszcie majaczącą w wodzie niesamowitą twarz. Zanurzyła ręce i dotknęła czegoś zimnego... śliskiego.

I nagle zdało jej się, że na całym świecie nie ma nic poza tą straszliwą, koszmarną, zimną twarzą pod jej palcami... Daleki, nierealny głos Simony wypowiedział słowa, które tłukły się pod jej własną czaszką.

- To Ivor... Wielki Boże! On nie żyje!

#### **Rozdział 4**

Jakby w jakimś koszmarnym, nie kończącym się śnie, Kay i Simona zaczęły powoli holować ciało Ivora do brzegu. Nagle stwierdziły, że dalej już posuwać się nie mogą, bo coś odciąga je w tył. Kay przystanęła, a Simona powiedziała wysokim, histerycznym głosem:

- To jego noga... Zaplątała się w coś... Może to...

Nie dokończyła, tylko weszła znowu głębiej w wodę i przyklękła przy nogach Ivora. Kay patrzyła na nią jak urzeczona, po czym przeniosła oczy na skrawek wody, dzielący ją od Simony. Coś mignęło w wodzie tuż przy zwłokach - coś lśniącego, srebrzystego. Odwrócona plecami do Simony, Kay schyliła się nisko i zanurzyła rękę w wodę. Dotknęła palcami ręki Ivora i przesunęła je dalej na to coś, co Ivor zaciskał kurczowo w martwej dłoni. Tłumiąc szloch, wyciągnęła to coś z wody wpatrując się w oświetlony księżycem przedmiot. Trzymała w ręce czepek kąpielowy, srebrnoplątinowy czepek kąpielowy Elaine!

W drobnym ułamku sekundy myśli jej wróciły do momentu, kiedy biegnąc za Terrym, zauważyła machinalnie na żelaznej barierce pomostu suszące się kostiumy kąpielowe - a między nimi, zatknięty na słupek, srebrnoplątinowy czepek Elaine. A potem drugi, nagły przebłysk świadomości... Kiedy teraz, przed chwilą, znalazła się na przystani - widziała

suszące się kostiumy, ale nie było już czepka Elaine... I oto teraz tkwi on w dłoni Ivora... a Ivor jest zimny... nie żyje!

Posłuszna jakiemuś instynktowi, wsunęła czepkę do kieszeni żakietu. Simona wyciągnęła coś z wody i rzuciła na plażę obok motorówki.

- Linka - powiedziała zadyszana - któraś z linek akwaplanu musiała się okręcić dookoła nogi Ivora. Pewnie zaplątał się w nią, spadając przez burtę.

Simona znów stanęła przy Kay i powiedziała rzeczowym tonem:

- Zbliży się przyływ, musimy wciągnąć ciało wyżej na piasek.

Wspólnym wysiłkiem zdołały jakoś podciągnąć zwłoki na brzeg. Ivor Drake leżał teraz sztywno wyciągnięty na srebrzystym piasku plaży.

- A jednak nie możemy być całkiem pewne, że on naprawdę nie żyje - szepnęła po chwili Simona. - Skąd mamy mieć pewność?

I jak gdyby jej własne słowa dodały jej odwagi, przyklękła na piasku przy zwłokach i z gorączkową energią zaczęła stosować sztuczne oddychanie. Kay stała nieruchomo, przypatrując się temu.

Jej straszliwe nerwowe napięcie zaczynało powoli ustępować. Oto Ivor, Ivor, którego kochała i nienawidziła. Ivor, którego piękność zdawała się niezniszczalna - a który teraz jest niczym... ot, politowania godną kupką gałganów na piasku. Żadne wysiłki Simony nie zdołają przywrócić go do życia. Kay wiedziała o tym, czuła to jakimś niezawodnym instynktem. Ivor Drake zaplątał nogę w linki akwaplanu, wypadł przez burtę motorówki i... utonął. Oto niewiarygodny, straszliwy fakt!

Utonął przypadkowo. Czepiała się tej myśli rozpaczliwie, usiłując odpędzić wszystkie inne, kłębiące się pod czaszką. Oczywiście, że zaszedł tragiczny wypadek. To musi być wypadek!... Ale ten czepkę kąpielowy? Czepkę Elaine? Prawdopodobnie spadł ze słupka na przystani, a przyływ przyniósł go aż tutaj, na wyspę. Tak, z pewnością tak to trzeba sobie tłumaczyć. Ivor zobaczył niesiony przyływem czepkę, wychylił się przez burtę, by go wyłowić... wypadł z łodzi i zaplątał nogi w linki, a trzymał już czepkę w dłoni. To wyjaśniałoby wszystko. Ale skoro tak, to dlaczego ona, Kay Winyard, wyszarpnęła czepkę z martwej dłoni Ivora i ukryła go tak starannie przed Simoną? Skoro śmierć Ivora spowodowana była tragicznym wypadkiem, to skąd w niej to przejmujące uczucie lęku - nawet przerażenia?

Kay poczuła, że nie jest dłużej w stanie przyglądać się daremnym wysiłkom Simony, odwróciła się więc w inną stronę i zapatrzyła w srebrzystą od poświaty księżyca zatokę. Nagle zobaczyła w wodzie coś poruszającego się, jakiś wyraźny kształt ludzki, przybliżający

się w ich stronę. Wreszcie stał się niewyraźną ludzką sylwetką. Była to sylwetka dziewczyny w białym kostiumie kąpielowym. Dziewczyna stała chwilę nieruchomo, mocno pochylona i wpatrywała się w przybrzeżne fale, a potem powoli zaczęła zbliżać się do miejsca, gdzie stały Kay i Simona. Wyraźnie nie zdawała sobie sprawy, że nie jest sama i jasne było, że szuka czegoś na brzegu. Kiedy była już dość blisko, Kay poznała w niej Elaine... Elaine bez czepka na głowie. Przyплыnęła tu, szukając czegoś... Co będzie, jeżeli się okaże, iż Elaine przyплыnęła tutaj właśnie w poszukiwaniu swojego czepka? Dlaczego przypuszczała, że właśnie tu go znajdzie? Chyba że...

Niepewnym, słabym głosem Kay zawołała: - Elaine! - Dziewczyna stanęła w miejscu jak wryta.

- Kay!...

Podbiegła do Kay i zobaczyła dopiero teraz Simone.

- O!... I Simona!... Co tu się dzieje? - Simona powoli podniosła się, opuściła ręce i odwrócona plecami do tragicznego widoku, stanęła między Elaine a zwłokami.

- Nic się tu nie dzieje, Elaine - powiedziała. - W każdym razie nic, co by cię mogło zainteresować... To tylko Ivor... Nie żyje... Utonął...

Wstrząsający sens tych słów ogłuszył Elaine - dopiero po chwili jej niepewna, zimna, mokra ręka uczepliła się ramienia Kay i już go nie puszczała.

A potem głos Simony, dziwny, zdyszany, ponownie się rozległ w tej koszarnej ciszy: - Nic nie mówisz, Elaine? Nie udajesz nawet, że cię jego śmierć obeszła?

Drżące palce Elaine, wpijające się w ramię Kay, gwałtownie drżały”.

- Przestań, Simono! Błagam cię, przestań! - wyszeptała Elaine.

- Aha, chcesz, bym oszczędzała twoje uczucia, twoją wielką miłość! Bo przecież szalałaś za Ivozem, prawda? Miałaś wyjść za niego wyłącznie z wielkiej miłości, a to, że był piekielnie bogaty, nie miało dla ciebie najmniejszego znaczenia! O, to było nieważne! To miało być idealne małżeństwo z miłości... z Donem Bairdem na dokładkę! - Oczy Simony, wielkie i świetliste, błyszczały jak u kota. - No i co ci przyszło z tego wszystkiego? Zostałaś wystrychnięta na dudka! Ty i cała twoja dziadowska rodzina zostaliście wystrychnięci na dudków!

Żelazne opanowanie, jakie Simona okazywała dotychczas, prysło nagle jak bańka mydlana. Ostatnie słowa wypowiedziała niemal szlochając.

Kay podeszła do niej, wzięła za ramiona i gwałtownie potrząsnęła.

- Dostyc, Simono! Dostyc! Przestań!

- Ale przecież ona sobie na to gwizdże! - dziewczyna krzyczała histerycznie. - Ivor nie żyje, a Elaine sobie na to gwizdże.

Odwróciła się od nich, podeszła do miejsca, gdzie leżał Ivor, i uklękła przy jego ciele.

Ciszę mąciło tylko urywane, zachryple łkanie Simony podczas gdy Elaine stała przerażająco nieruchoma, jak posąg. Dopiero po chwili, w spokojnym, łagodnym świetle księżycy, oglądając tę okropną scenę, gdzie niewłaściwa dziewczyna opłakiwała śmierć Ivora, Kay przypomniał” sobie tamtą chwilę w swoim pokoju, zaraz po przyjeździe Ivora. Ivor - piękny, pewny siebie i tak przejmująco, tak bardzo żywy! Jak to on wtedy powiedział? „Kay Winyard, Simona Morley i Elaine Chiltern - Trzy Gracje!... a może raczej... trzy Parki? Przeszłość... Teraźniejszość... i Przyszłość”. Te słowa stały się teraz dopiero dla Kay przeraźliwie zrozumiałe: Kay Winyard - to przeszłość; Elaine Chiltern - przyszłość... a więc Simona Morley - teraźniejszość! Kay, ciągle jeszcze nie całkiem przytomna, starała się jakoś zebrać i uporządkować myśli. Trzeba wezwać pomocy... trzeba... co jeszcze trzeba?

W tej chwili, jak gdyby wywołany zaklęciem, jakiś głos przerwał kłębiące się myśli Kay.

O, wróć na Bermudy! Powróć na wyspy...

- Terry! - zawołała jak obudzona ze snu Elaine i brnąc po kolana w wodzie, pobiegła w stronę, skąd zbliżał się głos. Zaczęła wołać gorączkowo:

- Terry! Terry!

Jej głos odbijał się echem od otaczających skał. Kay tymczasem wypatrywała się w dal, w stronę willi Ivora na łódzie, którą nazwał „Sztorem”... Wreszcie rozpoznała niewyraźny, smukły kształt żaglówek, która teraz okrążyła małą wysepkę i kierowała się do przystani lądowej.

Simona, Kay, Elaine - a teraz Terry! Czyżby to tylko zwykły zbieg okoliczności zaaranżował ten dziwny „powrót na wyspy”? Kay zobaczyła, że główny żagiel opada, zwinięty, na dno łodzi - potem rozległ się plusk zarzucanej kotwicy, a wreszcie skok do wody. Po krótkiej chwili głowa chłopca wychyliła się z wody tuż koło plaży, a Elaine podbiegła na spotkanie brata.

- Terry! Chwała Bogu, że jesteś! - zawołała, pomagając mu wydostać się na brzeg. Kay przyłączyła się do nich. Białe, tropikalny smoking, jaki Terry miał na sobie w czasie obiadu, zastąpiły krótkie kąpielówki. Terry przynosił zdziwiony wzrok z Elaine na Kay i z powrotem.

- Co się tu dzieje? Co wy tu robicie? - spytał. Nagle zohaczył Simone. Stała przed nimi całkiem już teraz opanowana i spokojna.

- O! I Simona? Co się tu stało, na miłość boską?! Co...? Simona powoli odsunęła się na bok, tak że Terry mógł widzieć leżące na ziemi zwłoki. Podbiegł szybko do nich, przyklęknął na piasku i dotknął palcami białego smokingu, potem podkurczonych nóg w czarnych spodniach. Po chwili podniósł oczy, a w świetle księżyca widać było jego zmienioną przerażeniem twarz.

- To... To Ivor!... Nie żyje?!...

- Tak - powiedziała cicho Simona - nie żyje.

- Jak to się stało? - pytał głęboko wstrząśnięty Terry.

- Simona i ja znalazłyśmy jego motorówkę na plaży - zaczęła mówić jak automat Kay.

- Motor był nie zgaszony, a Ivor leżał w wodzie przy motorówce. Noga mu się zaplątała w linki akwaplanu. Wy... wyciągnęłyśmy go z wody - dodała z trudem. - Widocznie zatrzymał motorówkę, żeby zejść na brzeg - czy też po coś innego - zaplątał się nogą w linkę i wypadł przez burtę do wody... Utonął. A motorówkę pchnęła tu na plażę fala przypląwu.

Kay przestała mówić i zapadło głębokie milczenie. Nieokreślony strach znowu zbudził się w duszy Kay. Dlaczego nikt nic nie mówi? Ivor zawsze bardzo słabo pływał... Mu siało się z pewnością stać tak, jak powiedziała... To nie zawodnie tragiczny, wypadek. Wreszcie Terry odezwał się lekko zachrypniętym głosem:

- Musimy coś zrobić, trzeba go przewieźć na ląd. Przygotujcie motorówkę, a ją zajmę się nim...

Kay, Simona i Elaine pobiegły w stronę leżącej na piasku motorówki. Przybierające wody przywróciły ster do normalnej pozycji - dziób zaś dalej tkwił lekko wbity w piasek. Wszystkie trzy stały po kolana w wodzie, milczące i wpatrzone tępo w zatokę. Terry podszedł po chwili do nich, niosąc przerzucone przez ramię, jak ciężki worek, zwłoki Ivora. Kay zaczęła szarpać linki akwaplanu, żeby, zrobić miejsce na rufie, ale Terry powstrzymał ją.

- Nie, Kay! Nie ruszaj niczego w łodzi. Zostaw wszystko dokładnie tak, jak było, póki nie zjawi się policja.

Policja! Dlaczego Terry mówi o policji? Terry oparł ciało Ivora na rufie o deskę akwaplanu, motor zawarczał i łódź ruszyła, mijając przycumowaną żaglówkę i kajaki. Mknęli szybko w kierunku jedyne oświetlonego punktu na lądzie - ku willi „Sztorm”. Myśl o policji brzęczała jak dokuczliwy komar w mózgu Kay. Oczywiście, jasne, że policja stwierdzi, iż Ivor utonął przypadkiem. Jasne, że nie będą doszukiwali się niczego więcej...

A jeżeli jednak? Nie mogła pozbyć się i tej drugiej myśli. Jakie wnioski wyciągnęłyby policja, gdyby wiedziała...? Ot, chociażby teraz, w tej motorówce. Jest ich czworo - a każde z nich opuściło dom po północy, każde oddzielnie, każde znalazło się w jakiejś chwili na



wyspie... i każde miało powód, aby pragnąć śmierci Ivora... Przypomniała sobie wybuch nienawiści Terry'ego przy obiedzie i jak potem wypadł jak szalony z patio na przystań... A... ona sama? Jej stanowcze postanowienie, że za wszelką cenę nie dopuści do tego małżeństwa?... Wstrząsający pamiętnik Rosemary, po który przyплыnęła aż tu, do Ivora... w czyich może być w tej chwili rękach? A wreszcie - Elaine. Elaine, która według słów matki i swoich własnych kochała Ivora - a w rzeczywistości - jak mówił Don Baird, a teraz i Simona - kochała Dona, mimo że wychodziła za tamtego. Elaine, która w nocy przyплыnęła na wyspę w poszukiwaniu... czego? Czepka kąpielowego, zaciśniętego w martwej dłoni Ivora, a teraz starannie ukrytego w kieszeni zakietu Kay. Aha... i jeszcze Simona... Simona, której dobra opinia została zakwestionowana przez Ivora podczas obiadu... Simona... lodowato spokojna w chwili znalezienia ciała i histerycznie roztrzęsiona przy konfrontacji z Elaine. Simona... i jej gwałtowne, rozpaczliwe łkania nad ciałem Ivora.

I po co Simona przyплыnęła na wyspę w nocy?

Wśród tych gorączkowych rozmyślań Kay motorówka przybiła do przystani. Kay machinalnie rzuciła okiem na suszące się ciągle kostiumy kąpielowe i ręczniki. Tak, nią było wśród nich czepka Elaine.

- Niech jedna z was pójdzie do Dona - powiedział Terry - i powie, żeby zawiadomił doktora Thorne i policję. Niech po nich pojedzie motorówką, będą tu szybciej!

Na wzmiankę o Donie, Elaine zrobiła machinalnie krok naprzód, ale nagle się zatrzymała. Kay zauważyła jej niezdecydowanie i powiedziała szybko: - Ja pójdę! - i pobiegła w dół wąskim nadbrzeżem wzdłuż niskich skał - i aż do małego domku zajmowanego przez Dona. Kay znalazła po omacku drzwi, pchnęła je i weszła bez pukania do małego, skromnie umeblowanego pokoju.

Don Baird, w białej bawełnianej piżamie, której rozchylona góra odsłaniała silną, mocno obrośniętą klatki piersiową - siedział przy stole, zawalonym książkami. Na odgłos otwieranych drzwi zerwał się z miejsca i zawołał z gniewem:

- Kto u licha...

Zobaczywszy Kay, szybko odsunął się na bok, zasłaniając posłanie. Ale Kay zdążyła już zobaczyć to, co tak starannie chciał ukryć... Rzucona niedbale na poduszki leżała biała, wieczorowa suknia... Suknia Elaine!

Don nie spuszczał z Kay zagniewanych oczu.

- Jestem może tylko najemnym robotnikiem, ale wymagam, żeby szanowano moje prawo do osobistego życia. Jak pani tu przyjdzie następnym razem, radzę pukać!

Intensywnie niebieskie oczy Dona lustrowały od góry do dołu mokry kostium Kay i przemoczone obuwie.

- Co się stało? Wpadła pani do wody?

Kay patrzyła mu śmiało w oczy, a po chwili powiedziała wolno i wyraźnie:

- Ivor nie żyje. Przed chwilą znaleźliśmy jego ciało na wyspie. Simona, Terry, ja i Elaine...

Don przestał się troszczyć o suknię na łóżku.

- To... to niemożliwe! - zawołał. - Nie mogli przecież zabić go - teraz.

- Ja nie powiedziałam, że Ivor został zabity!

- Gwiżdżę na to, co pani powiedziała albo co chciała powiedzieć! Ja wiem swoje! A może to pani była na tyle szalona?

Potrząsnął ją mocno za ramiona.

- Ivor utonął - powiedziała ledwie dosłyszalnie. - Musiał widocznie spaść za burtę i zaplątał nogę w linki okwaplanu. Utonął... A pan jest proszony o wezwanie lekarza i zawiadomienie policji. Terry powiedział, że najlepiej, żeby pan pojechał po nich motorówką, bo to będzie prędzej.

Błyszczące oczy Dona ciągle wpatrywały się w Kay.

- To pani wersja, prawda? Okej. - Sięgnął przez stół po słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer.

- Doktor Thorne? - spytał. - O, to ty, Tim! Tu Don. Jesteś lekarzem sądowym, prawda? Musisz tu zaraz przyjechać. Drake nie żyje. Znaleziono jego ciało na wyspie. Utonął... tak! Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? Nie? Dobrze.

Odłożył słuchawkę i powiedział do Kay:

- Doktor zaraz tu będzie. Przywiezie ze sobą majora Clifforda, szefa miejscowej policji. Przyjadą na rowerach. A gdzie reszta towarzystwa?

- Na przystani. Przywieźliśmy... przywieźliśmy ze sobą ciało Ivora.

Don wziął ze stołu latarkę elektryczną i ruszył boso do drzwi. Kay szła tuż za nim - przy drzwiach jednak przystanął, blokując wyjście.

- To suknia Elaine - powiedział. - Nie było mnie; wieczorem w domu, a kiedy wróciłem, suknia leżała na: łóżku.

Kay skinęła potakująco głową.

- Widocznie musiała tu przyjść podczas mojej nieobecności i przebrała się w kostium kąpielowy. Nie wiem nic więcej ponad to, co pani powiedziałam.

Zawrócił w miejscu i wziął do ręki suknię. Kay poszła-; instynktownie za nim, a kiedy Don podniósł do góry biały kłębek jedwabiu, Kay wydała słaby okrzyk. Suknia była rozdarta od ramienia przez całą niemal długość, a przyj szyci widniała niewielka, szkarłatna plama. Don spojrzał na czerwoną plamę, jak ktoś nagle obudzony z ciężkiego snu. Potem wolno, z całą siłą zmiął w - rękę suknię i spojrzał na Kay oczami pełnymi udreki.

- Nic nie widzieliśmy, panno Kay. Absolutnie nic. Rozumie mnie pani?

Otworzył biurko i wcisnął zwiniętą w kłębek suknię do szuflady, którą zamknął na klucz. Jeszcze raz zwrócił się do Kay z zapytaniem:

- Czy dobrze mnie pani zrozumiała?

Kay wolno skinęła głową, on zaś wsunął jej pod ramię silną, ciepłą dłoń i pociągnął do drzwi. Pośpieszyli w strefę przystani.

Terry, Simona i Elaine stali w tym samym miejscu, na brzegu mola. Kay patrzyła na nich i nagle poczuła, że grunt usuwa się jej spod nóg. Zobaczyła coś, czego dotąd w mdłym świetle księżycy nie zauważyła. Oto od skroni Elaine aż do policzka biegła długa, czerwona krecha, jak gdyby ktoś ją mocno zadrapał.

Nikt nie odezwał się słowem. Don podszedł do pomostu i skierował światło latarki na skurczone na rufie zwłoki Ivora. Zgasił latarkę i zwrócił się do czworga pozostałych:

- Zawiadomiłem doktora Thorne - powiedział. - Będzie tu za chwilę razem z majorem Cliffordem. - Jego oczy, obserwujące uważnie całą czwórkę, zatrzymały się w pewnej chwili na Elaine. Podszedł do niej i stanął bardzo blisko, ująwszy w silną dłoń jej smukłe, białe palce. Było w tym geście coś wzruszającego.

- Wy, dziewczęta, powinnycie pójść do domu i przebrać się - powiedział. - Nie widzę powodu, żebyście tu miały tkwić... Wystarczy, że zostanie tu Terry ze mną...

Urwał i spojrzał - na drózkę, prowadzącą do willi „Sztorm”. Niewyraźna kobieca postać szła w ich kierunku. Kay poznała Maud.

Siostra jej prawie natychmiast doszła również do doku i znalazła się w oświetlonym kręgu latarni. Wysoka, wytworna dama, z ciemnymi włosami rozsypanymi na ramionach i zielonym szlafroku narzuconym na nocną koszulę, wyglądała w tym melodramatycznym otoczeniu zupełnie nie na miejscu.

- Słyszałam głosy - powiedziała spokojnie Maud - i chciałam się przekonać, czy wszystko w porządku.

- Nie bardzo w porządku - powiedział szorstko Don. - Pan Drake nie żyje. Znalaziono jego zwłoki na plaży, na wyspie. Utonął.

Przez pierwsze kilka sekund, kiedy każdy gest, każdy odcień głosu jest tak ogromnie ważny, cała uwaga Kay skupiła się na Maud. Było coś imponującego w jej opanowaniu. Maud podeszła do Elaine i nie zwracając uwagi na stojącego obok Dona, położyła dłoń na ramieniu córki.

- Elaine, kochanie moje - powiedziała ledwie dosłyszalnie. - Moje biedne maleństwo!  
- Na jedną krótką sekundę Kay ujrzała, jak oczy siostry spoczęły na zadrapaniu na skroni Elaine. A potem szybko, głosem, którego ostrość zabrzmiała nader fałszywie, dodała: - Wracaj do domu, dziecko. Przeżybisz się śmiertelnie w tym kostiumie kąpielowym. Kay, pójdź z nią także. I ty, Simono, powinnaś wrócić do domu.

Nikt jednak nie zareagował na jej słowa.

- Zawiadomiłem doktora - powiedział Don. - Będzie tu za chwilę z majorem Cliffordem.

- Bardzo dobrze zrobiłeś, Donie. Pod wzrokiem obecnych Maud odsunęła się od córki; i odeszła w stronę pomostu, do którego przycumowana była motorówka ze zwłokami Ivora. Stała tuż nad nią, ale nie spojrzała w dół - przeniosła natomiast szare oczy kolejno z Simony na Kay.

- A może lepiej nie rozchodźcie się jeszcze - powiedziała spokojnie. - Sądzę, że zanim zjawi się tu policja,; powinniśmy omówić kilka spraw.

Wszyscy stali nieruchomo, wpatrzeni w Maud, ona zaś mówiła dziwnie powoli i wyraźnie..

- Jasne, że nie może być najmniejszej wątpliwości, i chodzi tu o wypadek, tragiczny wypadek. Ale major ze chce prawdopodobnie dowiedzieć się, co każde z nas robiło: i gdzie się znajdowało dzisiaj wieczora. - Zrobiła krótką pauzę i dodała: - W takich przypadkach jak nasz łatwo się spieszyć i wszystko pomieszać. Dobrze więc będzie, jeżeli sobie wszystko przypomnimy i omówimy już teraz.

Kay nie wierzyła własnym uszom. Dlaczego Maud to powiedziała? Chyba, że ona także... Maud zaś ciągnęła dalej, patrząc teraz na siostrę:

- Terry pływał żaglówką po zatoce. O tym wiem. Ale ty, Kay, znalazłaś Ivora. - Głos Maud był aż nie do zniesienia rzeczowy. - W jaki sposób trafiłaś na wyspę?

Kay czuła, że uwaga zebranych skupiona jest teraz na niej. Nie mogła przecież wspominać o pamiętniku Rosemary wobec tych wszystkich ciekawych oczu. Powiedziała więc jak mogła najspokojniej:

- Przypominasz sobie, Maud, o tej... o tej książeczce, o której ci mówiłam? Otóż zniknęła z mojego pokoju, kiedy chciałam ci ją przynieść, i przypuszczałam, że musiał ją chyba zabrać Ivor. Popłynęłam więc kajakiem na wyspę, żeby mu ją odebrać.

Wyraz twarzy Maud nie uległ najmniejszej zmianie.

- I znalazłaś ją, Kay?

- Nie. Jeżeli zabrał ją Ivor, jak przypuszczałam, to musi ją mieć jeszcze przy sobie: a może jest gdzieś w motorówce?

- Musimy ją znaleźć - powiedziała stanowczym głosem Maud. - Jak ona wyglądała?

- Mała, oprawna w zieloną skórę. Po prostu coś w rodzaju notatnika.

- Don, bądź tak dobry i przeszukaj motorówkę. - Dziwne, ale nikomu nie przyszło do głowy kwestionować poleceń Maud. Don zaśwycił latarkę i wskoczył do motorówki.

Nagle rozległ się głos Terry'ego:

- Nie tylko Kay była na wyspie i znalazła Ivora - szczęki miał mocno zaciśnięte, kiedy zwrócił się w stronę Simony. - Simona także tam była.

Cisza, jaka po tych słowach zaległa, pełna była nie domówionych słów. Simona spoglądała przez chwilę w pełne wyzwania oczy chłopca, lecz nic nie powiedziała. Uniosła rękę do piersi, lecz z powrotem ją opuściła.

Idąc za podszeptem jakiegoś niewytłumaczonego instynktu odezwała się teraz Kay:

- Simona była ze mną. Spotkałam ją tu, na tej przystani. Szukała ciebie, Terry. Poprosiłam, żeby popłynęła ze mną na wyspę, bo myślałam, że łatwiej mi będzie znaleźć notatnik, jeżeli ona zajmie Ivora rozmową.

Kay sama nie rozumiała, co jej kazało wymyślić to niej wybredne kłamstwo. Może trochę to, że Simona wydała jej się taka bezbronna - a może zdawała sobie sprawę, jakim ciosem byłoby dla Terry'ego, gdyby wiedział, że wybrała się tam, w nocy, do Ivora sama.

Terry zaskoczony i zmieszany chciał coś powiedzieć, ale Maud przerwała mu pytaniem:

- Czy tak było, jak mówi Kay, Simono? Dziewczyna rzuciła Kay dziwne, nieodgadnione spojrzenie i po chwili wahania odpowiedziała:

- Tak. Pojechałam na wyspę z Kay.

Maud ze schyloną głową przypatrywała się własnym rękom. Nie podnosząc oczu, powiedziała:

- Teraz kolej na ciebie, Elaine... Znowu drwiła wymownej ciszy.

Terry przesunął ręką po mokrej czuprynie i powiedział? szybko:

- Elaine była ze mną na żaglówce, mamó. Zabrałem ją z przystani gdzieś tak około godziny... czy ja wiem? Około jedenastej piętnaście. W każdym razie jeszcze zanim Ivor wyszedł ze „Sztormu”.

Kay była głęboko przekonana, że chłopiec kłamie. Elaine przyплыnęła na wyspę z całkiem innej strony niż żaglówka Terry’ego. Simona musiała także o tym wiedzieć Kay, spojrzawszy na siostrę, upewniła się, że i ona orientuje się w tym szytym grubymi nićmi kłamstwie. Wszyscy jednak milczeli.

Tymczasem Don Baird skończył swoje poszukiwania w motorówce i wskoczył na pomost. Słyszał widać wszystko, bo spoglądał na Terry’ego trochę ze zdziwieniem, a trochę z wdzięcznością.

Dopiero po usłyszeniu tego drugiego, mało przekonującego kłamstwa, Kay zorientowała się w sytuacji. Nikt tu nie usiłował przekonać innych - tak jak nie mógł przekonać siebie, że Ivor zmarł na skutek tragicznego wypadku. O cóż więc chodziło? Była to po prostu starannie opracowana, zamaskowana generalna próba tego, co każdy miał zeznać przed policją.

- No i co? Znalazł pan tę książeczkę? - spytała Maud Dona.

- Nie, proszę pani... niestety. W łodzi jej nie było.

- Trudno - powiedziała krótko Maud. - Skoro więc Ivor nie miał jej przy sobie, nie będzie trzeba w ogóle o tym wspominać... prawda?

Don spojrział na Maud i powiedział nie pytany:

- Jeżeli pani chce wiedzieć, gdzie ja byłem i co robiłem, to oświadczam, że byłem u doktora Thorne, do którego pojechałem o jedenastej piętnaście na rowerze, żeby napić się z nim jednego drinka przed snem. Wróciłem pięć minut przed tym, nim panna Winyard raczyła mnie odwiedzić. Doktor Thorne potwierdzi moje słowa, gdy się tu zjawi.

Wargi Dona lekko wykrzywił sardoniczny uśmiech.

- Skoro już nas pani tak ślicznie rozmieściła w tę noc, sprawi może pani ulgę, gdy się pani dowie, iż - jeżeli chodzi o mnie - posiadam prawdziwe alibi, potwierdzone przez samego lekarza sądowego, alibi właśnie na czas, w którym miał miejsce ten wypadek.

Wyraźny, ironiczny nacisk, jaki położył na słowie „wypadek”, wywarł na wszystkich widomy efekt. Przez chwilę Kay czuła, że cała ta przezroczyście wyreżyserowana komedia runie.

Maud zbyła Dona lekkim wzruszeniem ramion i powiedziała spokojnie:

- Dziewczęta, ale teraz to już naprawdę musicie iść się przebrać. I ty także, Terry, powinienes coś na siebie włożyć. Ja tymczasem pójdę zawiadomić o wszystkim Gilberta.

## Rozdział 5

Don został na przystani, a Kay, Simona, Elaine i Terry odeszli w stronę, domu. W swym pokoju Kay zrzuciła mokre ubranie, wytarła mocno całe ciało grubym ręcznikiem i przebrała się w ciepły sweter i wełnianą spódnicę.

Tam, na przystani, ani na chwilę nie opuszczała jej myśl o kąpielowym czepku Elaine. Teraz wyjęła go z kieszeni i uważniej mu się przyjrzała. Zobaczyła, że jest rozdarty przez całą długość - od czubka aż do dołu. W pierwszej chwili chciała zanieść go od razu do pokoju Elaine i zażądać wyjaśnień, ale obecnie, kiedy lada chwila mogła się zjawić policja, wydało jej się to zbyt ryzykowne. Lepiej będzie poczekać na inną okazję.

Po smutnym doświadczeniu z pamiętnikiem Rosemary nie dowierzała już nie zamykającym się na klucz szufladkom komody. Na gzymsie kominka stał duży wazon z kutej miedzi - tam więc wsunęła nieszczęsny czeppek.

Kiedy zeszła na dół do salonu, zastała tam już resztę domowników, oczekujących przybycia policji. Był tu Terry w grubym golfie, Maud, Gilbert w swoim inwalidzkim wózku z pielęgniarką, Alicją Lumsden, stojącą dyskretnie na uboczu. Wydało się dziwne, że teraz dominującą postacią była nie Maud, lecz raczej Gilbert, wyprostowany w swoim wózku, spokojny i opanowany. Mimo sparaliżowanych nóg, biło od niego jakieś dostojeństwo. Po chwili zjawiły się jeszcze Elaine i Simona. Gilbert przeniósł badawcze spojrzenie na córkę.

- Elaine - powiedział - ty nie musisz przechodzić przez to wszystko.

Twarz Elaine była biała i nieruchoma jak maska.

- Dziękuję, tatusiu - powiedziała - ale ja wolę zostać.

- Doskonale. - Palce Gilberta zastukały w oparcie wózka. - Doktor Thorne i major Clifford są już na miejscu i dokonują właśnie oględzin zwłok. Będą tu lada chwila. - Gilbert zrobił krótką pauzę, nim dokończył: - To okrutny cios dla nas wszystkich. Musimy jednak dołożyć wszelkich starań, żeby ułatwić pracę władzom.

Zanim skończył mówić, drzwi salonu otworzyły się i stanął w nich młody, może trzydziestopięcioletni mężczyzna w sportowej marynarce i szarych flanelowych spodniach. Jego ciemna, opalona twarz, czarne, trochę odpychające oczy i lekko ironiczne skrzywienie ust wydały się Kay jakby znajome. Z uczuciem przejmującego lęku powiedziała sobie w duchu: „Jestem przekonana, że już go gdzieś przedtem widziałam. Wówczas, kiedy tu byłam po raz pierwszy z Ivorem”.

- Proszę, niech pan wejdzie, doktorze - powiedział Gilbert.

„Aha - pomyślała Kay - więc to jest doktor Thorne! Urzędowy lekarz, człowiek, w którego domu przebywał Don w czasie, kiedy miał miejsce ten... wypadek.”

- Major Clifford został jeszcze na przystani - wyjaśnił doktor miękkiem, nieco śpiewnym głosem - ale zaraz się tu zjawi. Bardzo mi przykro, że będziemy musieli państwa niepokoić, ale mamy kilka drobnych pytań.

Alicja Lumsden, stojąca dotąd nieruchomo z bokii i obserwująca wszystko, co się działo, wtrąciła się niespodziewanie do rozmowy:

- Pytań? - spytała przeciągle. - Nie rozumiem, co tu...

- Oczywiście, że będziemy musieli wyjaśnić pewne rzeczy - nie pozwoliła jej dokończyć Maud, jak zawsze spokojna i opanowana. - Zwykle przy tego rodzaju tragicznych wypadkach zachodzi konieczność przesłuchania świadków.

- Pani Chiltern ma słuszość - powiedział doktor Thorne, spojrzawszy uważniej na pielęgniarkę.

- Ale przecież wiadomo, że... Drake utonął?! Czyż nie tak, doktorze? - spytał Terry.

- Oczywiście, że utonął. Co do tego nie ma chyba najmniejszych wątpliwości?

- Nie. Ale zastanawiałem się tylko... myślałem, że może chodzi o co innego... anawryzm serca czy coś w tym rodzaju. Jakiś atak...

- Rozumiem, co pan ma na myśli - powiedział doktor Thorne tonem, którego Kay nie potrafiła sobie wytłumaczyć. W pewnej chwili spojrział na nią przenikliwie.

- Słyszałem, że to pani pierwsza znalazła zwłoki, panno Winyard. Czy to prawda?

Skąd on zna jej nazwisko? I skąd ona zna jego twarz?

- Tak. Właściwie ja i panna Morley.

- Mam kilka niejasnych punktów, które, jako lekarz sądowy, pragnąłbym wyświecić. Czy nie mógłbym porozmawiać z panią w cztery oczy?

Kay wyczula, że wszyscy się w nią wpatrują.

Gilbert rzekł: - Pan orientuje się w tym domu, panie doktorze, proszę przejdźcie wraz z panną Winyard do biblioteki. W bibliotece doktor Thorne zamknął za nimi drzwi. Chociaż pod ścianami stały półki pełne książek, był to raczej pokój bawialny, przeznaczony do zabaw i gier towarzyskich. Na niskich stolikach leżały rozrzucone pisma i magazyny ilustrowane. W jednym rogu na specjalnym stoliku stał duży adapter, a dookoła rozłożone w nieładzie płyty.

Doktor Thorne stanął naprzeciwko Kay i powiedział bez żadnych wstępów.

- My się już znamy, proszę pani.

- Taaak... - Gdybyż tylko mogła sobie przypomnieć, skąd? Było to bardzo męczące uczucie, owa niepewność, a przy tym jego oczy, wpatrujące się w nią jak gdyby z pewną niechęcią, zdawały się oczekiwać, że zada mu to pytanie. Nie czuła się jednak na silach mu odpowiedzieć.



- Doskonale rozumiem, że państwo Chilternowie mogą być zdenerwowani, dlatego wolałem porozmawiać z panią sam na sam. Może zechciałaby pani odpowiedzieć mi tak jasno i krótko, jak tylko można, w jakiej dokładnie pozycji znajdowało się ciało w chwili, kiedy je panie znalazły?

Ach, więc na razie nie musiała wdawać się w zawile wyjaśnienie, dlaczego i z kim udała się tej nocy na wyspę; Poczowała ulgę i zaczęła urywanym głosem opowiadać wszystko, co miało związek z samym makabrycznym odkryciem. Doktor słuchał z kamienną twarzą, nie przerywając żadnym pytaniem. Jego zachowanie wydało się Kay niepokojące. Kiedy skończyła, odezwał się wreszcie:

- Jeszcze jeden drobny szczegół, panno Winyard. Z tego, co od pani usłyszałem, zrozumiałem, że motor szedł... Czy się nie mylę? Zapłon nie był zgaszony?

- Tak. To prawda.

- I pani przypuszcza, że pan Drake zatrzymał motorówkę, chcąc przybić do wysepki, że zaplątał się w linki akwaplanu, stracił równowagę, wypadł przez burtę i utonął. A motorówka, nie kierowana, dryfowała z falą przyływu, który zagnał ją aż na wyspę, tam gdzie ją panie znalazły na plaży.

- Chyba tak... Tak przypuszczam...

- Czy pan Drake dużo pił tego wieczora?

- Kilka cocktaili przed obiadem, a później parę szklanek whisky z wodą sodową.

- Hm... To wszystko wygląda prawdopodobnie - powiedział w zamyśleniu doktor Thorne, a potem zaskoczył ją nagle ostrym pytaniem: - Prawda?

- Co pan rozumie pod określeniem „prawdopodobnie”, panie doktorze?

- Rozumiem, że wszystko wygląda właśnie tak, jak gdyby rzeczywiście tak się zdarzyło, jakby to był wypadek!

- Ależ oczywiście, że to był wypadek!

- Może mi pani wobec tego zechce wyjaśnić jeszcze pewną okoliczność. Dlaczego w takim razie wszyscy w tym domu są przekonani, że Ivor Drake został... zamordowany? - Tych kilka zdawkowych, mimochodem wypowiedzianych słów tak zaskoczyło Kay, iż nie była w stanie zareagować. Z olbrzymim wysiłkiem zdołała dopiero po chwili wykrztusić:

- Nnnie... nie rozumiem, o czym pan mówi, doktorze.

- Droga pani! Nie jestem ślepy! Od pierwszej chwili, w salonie, wyczytałem to wyraźnie ze wszystkich waszych twarzy!

Znów wyczuła w jego tonie dziwną niechęć, jak gdyby do niej osobiście czuł antypatię. Usiłując zachować spokój, odpowiedziała chłodno:

- To, co pan powiedział, doktorze, jest wprost śmieszne. To absurd! I jeżeli panu się zdaje, że uda się panu schwytać mnie w tę niezręcznie zastawioną pułapkę...

- Nie zastawiam na panią żadnej niezręcznej pułapki, proszę pani, i bynajmniej nie staram się pani oszukiwać. Bo i po co? Interesuje mnie tylko i wyłącznie prawda na chwilę zawiesił głos. - Pani zdaje się zapominać, że jestem lekarzem sądowym w tym okręgu i że już dokonałem powierzchownych oględzin ciała.

- Chyba nie znalazł pan tam nic takiego, co mogłoby pana naprowadzić...

- Właśnie chciałem pani powiedzieć, że przeciwnie! Znalazłem!

Przesunął ręką po niesfornej ciemnej czuprynie.

- Może będzie lepiej, jeżeli podzielę się z panią kilkoma moimi spostrzeżeniami. A więc, po pierwsze: na prawej skroni Ivora Drake, tuż pod linią włosów, znalazłem wylew, głębokie zderzenie skóry dość szczególnego, zakrzywionego kształtu. Cios, który ten wylew spowodował, nie był dostatecznie silny, żeby zabić, wystarczył jednak, żeby doprowadzić do utraty przytomności. Pani mi na to odpowie, że Drake mógł przecież uderzyć głową o górny brzeg burty albo o molo, wypadając z łodzi. Ale tak samo prawdopodobne może być, że ktoś zadał mu cios twardym, zakrzywionym narzędziem... - prawda?

- Mmmożliwe... ale...

- Po drugie: na twarzy i szyi widać liczne sińce i ślady zadrapań. No, cóż! Wiadomo, że korale na Bermudach bywają bardzo ostre - wzruszył sceptycznie ramionami - a jednak... jednak mam wrażenie, że te ślady powstały przed śmiercią Ivora i zrobiły je czyjeś palce czy paznokcie.

Kay z nagłą, przejmującą ostrością przypomniała sobie zadrapany policzek Elaine i rozdartą suknię wieczorową... A nade wszystko ową, jakże wymowną plamę przy dekolcie...

Niewzruszony doktor Thorne ciągnął dalej:

- O ile nie zostanie ujawnione w toku śledztwa, że Drake stoczył tego wieczora jakąś bójkę, trudno będzie wyjaśnić pochodzenie tych znaków.

- Ależ... ależ... zadrapania i sińce - powtórzyła za nim jak echo zrozpaczona Kay - to śmiesznie kruche poszlaki! A poza tym... Chyba nie przypuszcza pan, że ktoś z Chilternów mógł dopuścić się morderstwa?! Przecież Ivor... przecież mieli mu tyle do zawdzięczenia.

- Tyle do zawdzięczenia! - powiedział z nie ukrywaną gorzką ironią doktor Thorne. - A więc pani koniecznie chce, abym podał i motyw tej zbrodni?!

Mówiąc to, sięgnął ręką do kieszeni tweedowej marynarki i wyjął z niej coś, co podsunął Kay: mały, w zieloną skórę oprawny notesik..

Pamiętnik Rosemary!

- Czy nie uważa pani, że to mogłoby stanowić... motyw?

Przez chwilę nie była w stanie zebrać myśli, nie mogła wprost uwierzyć. Zdawało się jej całkiem niemożliwe, żeby ta mała zielona książeczka, która w tak tajemniczy sposób zniknęła z szuflady jej komody, mogła się obecnie znajdować w posiadaniu tego wrogo nastawionego, zdumiewającego młodego człowieka, który chociaż sam nie był policjantem, to jednak stał zdecydowanie po stronie prawa.

- Z notatki umieszczonej na pierwszej stronie pamiętnika, a zaadresowanej przez Rosemary do pani, należałoby wnosić, że zeszyt jest własnością pani - mówił doktor Thorne niezwykłym głosem. - Należy również przypuszczać, że zabrała go pani ze sobą na Bermudy w jakimś konkretnym celu. Domyślam się, że w celu niedopuszczenia do małżeństwa Ivora Drake z pani siostrzenicą.

Raptem, zupełnie nieoczekiwanie, ukazał w uśmiechu białe, równe zęby i dodał:

- No, i cóż! Małżeństwo to zostało z całą pewnością udaremnione, prawda?

Patrzyła na niego bezradnie.

- Bo pani celowo przywiozła ze sobą ten pamiętnik na Bermudy, prawda?

Skinęła potakująco.

- Ale jakim cudem... gdzie pan to znalazł? - wyjąkała.

- Znalazłem to przed chwilą, na plaży. Kończyłem właśnie oględziny ciała, gdy policjant odwołał majora Clifforda, chcąc mu coś pokazać. Poszedłem za nimi, a wtedy promień mojej latarki elektrycznej oświetlił mały, zielony notes, tkwiący wśród gęstych krzaków jukki. Ktoś musiał go tam rzucić.

- I... i major Clifford także go widział?

- Nie. Major go nie widział.

- Ale... ale pan podzielił się z nim spostrzeżeniami, o jakich tu mówiliśmy?

- Tak. Złożyłem mu raport.

A więc ostatnia słaba nadzieja, że wszystko jakoś się jeszcze ułoży i że wydarzenia dzisiejszej nocy miną bez śladu - prysła nieodwracalnie!

- I powiedział mu pan, że pan podejrzewa... morderstwo? - spytała niemal szeptem Kay.

- Moim obowiązkiem jest złożyć raport policji z oględzin zwłok. Przekazałem zatem majorowi Cliffordowi, miejscowemu komendantowi policji, uwagi, jakie ja, lekarz sądowy, zanotowałem z powierzchownych oględzin ciała. Szczegółowy, pełny raport złożę policji dopiero po dokonaniu sekcji.

Otworzył pamiętnik Rosemary na przypadkowej stronie i zaczął czytać. Po pewnym czasie zamknął powolnym ruchem notes i spojrzął na Kay, zacisnąwszy mocno wargi.

Zdumiała ją zmiana, jaka zaszła w jego twarzy. Zimna wrogość spadła z niej jak maska, ukazując twarz o ostro zarysowanych kościach policzkowych, twarz człowieka, przeżywającego własne, osobiste piekło... Zgrzytliwym jakimś, obcym głosem spytał nagle:

- Pani właściwie nie bardzo sobie przypomina, skąd my się znamy, prawda? Moja twarz wydaje się pani znajoma, ale nie wie pani, gdzie ją umieścić. Zupełnie się nie dziwię. Widzieliśmy się tylko raz... jeden jedyny raz, kiedy pani tu była na Bermudach przed trzema laty. Poznaliśmy się w domu Rosemary Powell.

Zaraz w pierwszych dniach znajomości poszła z Ivorem do Rosemary na cocktail party. Był tam także śniady, ciemnowłosy młody człowiek, który prawie się nie odzywał i wyszedł niemal natychmiast po ich przyjściu.

- Doskonale panią pamiętam - mówił dalej. - Może dlatego, że jest pani wyjątkowo atrakcyjną kobietą, ale głównie dlatego, że Rosemary wiele mi o pani mówiła. To, co słyszałem o pani, nie nastrajało mnie specjalnie życzliwie. Byłem przekonany, że jest pani po prostu jeszcze jedną „z poszukiwaczek przygód. Później, gdy zrozumiałem, że pani przejrzała go na wylot i odeszła, jeszcze mniej panią lubiłem, bo zrywając z Ivorem, rzucała pani Rosemary na jego pastwę.

- Ale... ale ja doprawdy nie rozumiem dlaczego...

- Może mnie pani lepiej zrozumie, jeżeli powiem, że znałem Rosemary niemal od dziecka. I zanim poznała Drake'a...

Urwał na chwilę i spuścił oczy na zaciśniętą w pięść dłoń.

- Zanim go poznała, miałem nadzieję, że wyjdzie za mnie.

Mocniej ścisnął w dłoniach pamiętnik Rosemary.

- Niełatwo mi było patrzeć najpierw na jej cierpienia, jakie przeżywała, gdy pani stanęła między nią a Ivorem, ani później, na to piekło udręki i rozterki... wówczas kiedy pani zdecydowała się wycofać ze sceny.

- Ale przecież ja starałam się ją ostrzec! Robiłam wszystko, żeby jej otworzyć oczy, pokazać, jakim człowiekiem jest w gruncie rzeczy Ivor! Ja... - Urwała zdziwiona i przestraszona dziwnym impulsem, który kazał jej usprawiedliwiać się w oczach tego obcego człowieka.

- Bardzo możliwe - powiedział cicho - ale nie udało się pani przeszkodzić małżeństwu Rosemary tak skutecznie, jak to się pani udało z Elaine Chiltern. Gdy przeczytałem przed chwilą fragment pamiętnika Rosemary i zobaczyłem własną jej ręką napisane potwierdzenie

moich najgorszych przypuszczeń, poczułem, że nienawidzę Ivora bardziej, niż mógłbym przypuszczać.

- Czemu... czemu mówi mi pan to wszystko właśnie teraz?

- Bo czuję, że powinienem to pani powiedzieć. Przez całe długie trzy lata uważałem panią za współwinną, współodpowiedzialną za tragedię Rosemary... a teraz... teraz wydaje mi się, że pomyliłem się w sądzie o pani. Umilkł na chwilę i zwilżył zeschnięte wargi.

- A teraz Drake nie żyje. Moim obowiązkiem jest ustalić, czy nie została popełniona zbrodnia - mówił z lekkim, pozbawionym humoru uśmiechem. - Bo jeżeli tak, to muszę wydać mordercę w ręce sprawiedliwości. To mnie stawia w niezmiernie trudnym położeniu i chciałbym, aby pani o tym wiedziała. Bo widzi pani... jako człowiek prywatny jestem całkowicie po stronie tego, kto go zabił...

Dziwne, że uczucie, jakie teraz wzajemnie do siebie czuli, nie przypominało dawnej wrogości, ale raczej pełną zrozumienia przyjaźń.

- Ale skoro pan w ten sposób odczuwa, to czemu powiedział pan majorowi, że podejrzewa morderstwo?

- Nie powiedziałem wcale pani, że z nim na ten temat rozmawiałem. Powiedziałem tylko, że podzieliłem się z nim moimi obserwacjami jako lekarz. Ale niech się pani nie łudzi, że to ma jakiegokolwiek znaczenie. Major Clifford potrafi znakomicie wyciągać wnioski z faktów.

Kay nie wierzyła oczom, widząc, że wyciąga do niej rękę z pamiętnikiem. Wzięła machinalnie notes i wsunęła do kieszeni.

- Dziękuję panu, doktorze... Doprawdy, trudno mi wyrazić...

Ale nagle to niewyraźne ogniwo sympatii czy przyjaźni, jakie ich przed chwilą łączyło, prysło i stali się znowu parą obcych sobie osób: lekarz sądowy na Bermudach, przesłuchujący amerykańską dziewczynę, jako potencjalną sprawczynię przypuszczalnej zbrodni. Doktor Thorne skinął lekko głową i oświadczył:

- To byłoby chyba na razie wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia - możemy wrócić do reszty towarzystwa.

## **Rozdział 6**

Gdy wrócili do salonu, od razu rzuciła im się w oczy postać majora Clifforda. Ten imponujący olbrzym, w nieskazitelnie białym mundurze, nie mógł zostać nie zauważony.

Kiedy się odwrócił, by spojrzeć na Kay i doktora Thorne szarymi, przenikliwymi oczami spod krzaczastych, siwiejących brwi, wrażenie, iż jest postacią z granitu, jeszcze się

pogłębiło. Szttywne, kwadratowe ramiona, regularne rysy opalonej twarzy miały w sobie coś, co przypominało posąg bohatera z jakiejś wojny.

- To moja siostra, Kay Winyard, panie majorze - wyjaśniła Maud.

- Witam panią, panno Winyard - wykrzyknął major tubalnym głosem. - Widzę, że już rozmawiała pani z doktorem. Proszę, niechże pani siada.

Trochę zażenowana Kay usiadła pod oknem, gdzie Don Baird, blady i ponury, siedział już w towarzystwie Terry'ego i Elaine. Major wrócił do przerwanej rozmowy z Maud.

- No cóż, droga pani! Sytuacja wydaje się całkiem jasna. Drake grał w brydża z panią, pani siostrą i panną Lumsden. Grać zaczęliście państwo prawie zaraz po obiedzie i graliście aż do chwili, kiedy Ivor oświadczył, że udaje się na wyspę motorówką i że tam zanojuje.

- Tak jest, panie majorze - potwierdziła Maud równym, beznamiętnym głosem.

- O której skończył się brydż?

- Mniej więcej o jedenastej trzydzieści.

- Drake poszedł prosto na przystań?

- Tak.

- A pani odprowadziła go do przystani?

- Tak.

- No i oczywiście, widziała pani, jak wsiadł do motorówki?

Maud zawahała się na ułamek sekundy.

- Tak, panie majorze. Pogawędziliśmy jeszcze chwilę, potem powiedziałam mu dobranoc. Pamiętam, że kiedy się odwróciłam, żeby wracać do domu, motor zawarczał i motorówka pomknęła w stronę wyspy.

- Która to mogła być godzina?

- No... jakieś dziesięć minut po skończeniu brydża. Była może jedenasta czterdzieści pięć.

- A co pani robiła później, kiedy już Drake odpłynął?

- Wróciłam prosto do domu.

Kay doskonale pamięta, że przekradając się do przystani, widziała Maud, zmierzającą w stronę domu. Było to co najmniej dziesięć minut po tym, jak ujrzała z okna swego pokoju odpływającą motorówkę Ivora.

Dziesięć minut! A Maud twierdzi, że wróciła natychmiast.

- Jaka szkoda, że nie została pani na przystani trochę dłużej, droga pani! Byłaby pani może świadkiem wypadku pana Drake... usłyszała jego wołanie o pomoc!

Major znowu odchrząknął gromko.

- A więc pani rozstała się z panem Drake około jedenastej czterdzieści pięć. Wypadek musiał nastąpić prawie zaraz po tym.

Przenikliwy wzrok majora przenosił się kolejno z jednej twarzy na drugą. To się stanie teraz - wirowało w głowie Kay. Teraz spyta, gdzie każde z nas było. Tu się zaczyna prawdziwe niebezpieczeństwo. - A więc po odbiciu motorówki od przystani nikt już z państwa nie widział Ivora Drake?

Zaległa pełna napięcia cisza. Wreszcie Kay zdobyła się na odwagę i powiedziała:

- Nie. Nikt, dopóki ja z panną Morley nie natknęliśmy się na plaży na jego motorówkę.

Poczuła przejmujący strach, widząc, że cała uwaga majora skupiła się obecnie wyłącznie na niej.

- Która to była mniej więcej godzina?

- Może dwadzieścia po dwunastej.

Major muskał palcami przystrzyżony, siwiejący wąsik nad wargą.

- Przypuszczam, że pani wyjaśniła już doktorowi Thorne, jakie powody skłoniły panią do przebywania o tak późnej porze na wyspie? - Pod przenikliwym jak promienie Rentgena spojrzeniem majora mała zielona książeczka w torebce Kay zdawała się przepalać skórę.

- Nnnie - wyjąkała - doktor Thorne nie pytał mnie o to.

- Popłynęliśmy z panną Winyard kajakiem, żeby podziwiać księżyc nad zatoką - wtrąciła nieoczekiwanie Simona. - Kiedy byliśmy na wyspie w zatoczce, usłyszaliśmy warkot motoru i poszliśmy się przekonać, skąd dochodzi.

Kay skonstatowała z ulgą, że Simona okazała więcej zimnej krwi i przytomności umysłu od niej.

Teraz przenikliwe spojrzenie zatrzymało się na Donie.

- Pan jest... he... sternikiem, Baird? Chciałbym, żeby mi pan coś wyjaśnił. Czy wszystkie środki wodnej komunikacji Ivora Drake, a więc: pontony, kajaki, żaglówka, motorówka są z reguły zawsze przycumowane przy moło?

Don patrzył śmiało w oczy majora i odpowiedział:

- Tak. W przystani.

- Nie na plaży, gdzie się wszyscy kąpią?

- Może w ciągu dnia tak, o ile ktoś miał ochotę tam popłynąć z przystani. Ale wieczorem nigdy. Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby wszystkie pływające jednostki znajdowały się wieczorem, to jest już po obiedzie, w przystani.

- I dzisiejszy wieczór nie stanowił wyjątku?

- Oczywiście, że nie.

Major Clifford znowu odchrząknął groźnie.

- A czy nikt z państwa nie zostawił na pewno dzisiaj którejs z tych łodzi na plaży?

Nikt nie zabrał głosu.

- A może ktoś z państwa kąpał się wieczorem, po obiedzie, na plaży?

- Dziś po lunchu wszyscy byliśmy na plaży, żeby trochę popływać - odpowiedziała spokojnie Maud.

- Ale mnie chodzi o dzisiejszy wieczór, nie o lunch. O porę po obiedzie, mówiąc dokładniej.

- Ależ nie, majorze! Nikt nie był na plaży! My we czworo graliśmy, jak wiadomo, w brydża - mój mąż bardzo wcześnie kładzie się spać. Terry żeglował po zatoce, a Elaine...

- Owszem. Ja pływałam dzisiaj po obiedzie - wtrąciła drżącym głosem Elaine. - Mniej więcej koło jedenastej podpłynęłam do żagłówki Terry'ego. Ale nie płynęłam od strony plaży, tylko skoczyłam do morza na przystani.

Kay wiedziała, oczywiście, że Elaine kłamie. Było to potwierdzenie kłamstwa Terry'ego wymyślonego przez niego w chwili znalezienia zwłok Ivora - a Elaine teraz się tym kłamstwem posłużyła wobec majora. On zaś spojrzał na zadrapany policzek Elaine.

- Aha... więc pani skoczyła do wody w przystani. I wtedy właśnie zadrapała się pani, prawda? Zreasumujmy więc wszystko jeszcze raz: państwo twierdzą, że żadne z was nie było na plaży wieczorem, to jest po obiedzie?

Major Clifford wyprostował całą swoją długą postać i powiedział:

- Drake był zawsze szczególnie wrażliwy na to, żeby nikt obcy nie szwendał się po jego terenie. Nie tak dawno jeszcze podał do sądu kilku tubylców za przekroczenie tych przepisów - i ja ich sądziłem. Nie wydaje mi się zatem prawdopodobne, aby ktoś obcy ośmielił się przebywać wieczorem na jego plaży, prawda? A teraz bardzo bym prosił, aby ktoś z państwa zechciał pójść tam ze mną.

- Na plażę? - pytanie to padło ostro z ust Alicji Lumsden, która stała przy drzwiach.

- Chciałbym coś państwu pokazać... coś, co jeden z moich ludzi tam zaobserwował.

Major podszedł do drzwi, wiodących na taras, otworzył je i stanął w pozycji na baczność, aby przepuścić innych.

- Sądzę, majorze, że najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy tam wszyscy - powiedział Gilbert i dodał, spoglądając w stronę Kay: - Nie mogę zjechać wózkami po schodach tarasu, ale może mi pomożesz przejechać przez mój pokój.



Podczas gdy wszyscy, trochę zmieszani, wyszli na taras pod wodzą majora, Kay popchnęła wózek Gilberta korytarzem do jego położonej na parterze sypialni, a potem przez drzwi balkonowe, wiodące na płaski, równy trawnik. Tam przyłączyli się do reszty, która pod przewodnictwem majora Clifforda, podobnego w tym księżycowym oświetleniu do monolitu, zmierzała na plażę.

Po drodze przyłączyło się do nich dwu wysokich tubylczych policjantów w białych mundurach, którzy cicho wysunęli się z zarośli. Cała grupa okrążyła gęste, wielkie agawy i jukki kierując się w stronę łagodnego spadku trawnika ku plaży, za słodko pachnącymi oleandrami.

Tutaj major Clifford zarządził postój.

- Przyptyw był dzisiaj o siedemnastej trzydzieści. Przy pełnym przyptywie cała plaża zalana jest wodą, wszelkie więc ślady plażowiczów i kąpiących się, pozostawione tutaj rano, byłyby zatarte. Odptyw nastąpił o jedenastej trzydzieści w nocy. Ślady, które chcę państwu pokazać, biegną od wydmy aż do brzegu, a więc zostały pozostawione prawdopodobnie około jedenastej trzydzieści, a z całą pewnością nie wcześniej. O tej więc porze, kiedy to pani Chiltem hm... widziała pana Drake odbijającego od przystani - zakończył dość ostro. Następnie zwrócił się do jednego z policjantów:

- Sierzancie, proszę latarkę. - Kiedy policjant mu ją podał, major rzucił jasny promień światła na plażę, aż ku brzegowi wody. - Oto ślady, o których wspominałem. Chciałem, żeby je państwo zobaczyli, zanim zatrze je szybko przybierający przyptyw.

Kay zauważyła coś przy samym świetle księżyca, teraz jednak, wciśnięta między Maud i Elaine, schyliła się nisko nad ziemią.

Od miejsca, w którym trawa stykała się z piaskiem, niemal pod ich stopami, aż do samej wody - widać było szeroką, nieregularną ścieżkę, jakby bruzdę. W niepewnym świetle latarki trudno było widzieć dokładnie, ogólne wrażenie jednak było takie, jakby ciągnięto tu jakiś ciężki przedmiot, może worek, od wydmy przez całą plażę, aż do wody.

- Czy ktoś z państwa mógłby mi wytłumaczyć, jakim sposobem powstały te ślady? - spytał major.

Kay stała tuż przy Maud, z ręką opartą na jej ramieniu i czuła, jak to ramię drży.

- Nie wiem, czy państwo widzą wyraźnie, ale mamy, tu niewątpliwie także odciski bosych stóp. Mogły one powstać w ten sposób, że ktoś bosy ciągnął, powiedzmy, pontonową łódkę poprzez plażę do wody. Słyszałem jednak, że nikt z obecnych nie odpływał ani nie przyplwaj tu łodzią - a już z pewnością nie o tej porze, kiedy motorówka Drake'a odbijała od portu. Ja osobiście wątpię jednak, czy ślady te zostawił gumowy ponton, gdyż widać, tu sporo

dołków, przypominających odciski palców. Gdyby ktoś ciągnął łódkę po piasku do wody, nie pozostawiłby przecież odcisków palców, prawda? Wydaje się bardziej prawdopodobne, że ktoś z kąpiącego się towarzystwa zabawił się w ten sposób, że ciągnął kogoś innego po piasku do morza.

Znów zawiesił na chwilę głos, nim oświadczył:

- Ale państwo zapewniali mnie, że wieczorem, po obiedzie, nie było tu żadnego kąpiącego się towarzystwa... Jak: więc można wytłumaczyć te ślady? Może ktoś z państwa, mi pomoże? - dodał gasząc latarkę.

Nikt się nie odezwał.

- Bo mnie osobiście nasuwa się tylko jedno wyjaśnienie - zahuczał major Clifford, gdy nie doczekał się odpowiedzi. - Aha, nie powiedziałem jeszcze państwu, że doktor Thorne dokonał powierzchownych oględzin ciała i zdał mi raport z wyniku tych oględzin. Otóż twarz Drake'a wykazuje liczne zadrapania i sińce, powstałe niewątpliwie, kiedy jeszcze żył. Wyglądałoby na to, że stoczył z kimś walkę... Poza tym na skroni widać niewielki wylew, jak gdyby Drake został uderzony jakimś tępym narzędziem tak mocno, że stracił przytomność.

Major Clifford zrobił gwałtowny zwrot i stanął teraz twarzą do zebranych.

- Powiedzmy, że Drake przyszedł tu, na plażę... że spotkał kogoś, że wynikła sprzeczka, potem bójka i Drake został uderzony w skroń - tak mocno, że stracił przytomność. Siady bosych stóp na piasku... ślady palców.

Gdyby było istotnie tak, jak ja to sobie wyobrażam, osoba, która go zaatakowała, mogła go z łatwością wlec przez plażę do morza, a potem zaholować przez płytką przybrzeżną wodę do przystani. Tam, umieściwszy ciało w motorówce, wystartować z nim w kierunku wyspy, a mniej więcej w połowie drogi wyrzucić nieprzytomnego Drake'a za burtę, żeby utonął.

A więc jednak! Mimo rozpaczliwych wysiłków ich wszystkich, mimo przejścia doktora Thorne faktycznie na ich stronę - major Clifford z nieubłaganą logiką wysnuł takie wnioski.

- Morderstwo! - powiedział ktoś wysokim, przenikliwym głosem. Kay nie zorientowała się, kto to mówi. Dopiero po chwili przekonała się, że to Alicja Lumsden, która blada i drżąca stała dotychczas w milczeniu przy majorze.

- Przypuszcza pan, że Ivor Drake został zamordowany?

- Twierdzą tylko, że teoria morderstwa doskonale pasuje do naszych faktów. Z jednym tylko wyjątkiem...

Tu major zwrócił się do Maud. Kay także nie spuszczała z niej wzroku. Nigdy przedtem nie widziała takiego wyrazu na twarzy siostry... takiej bezradności i głębokiego przerażenia. Głos majora stał się niespodziewanie cichy i łagodny:

- Czy pani jest w dalszym ciągu stuprocentowo pewna że widziała Ivora Drake, odbijającego od przystani w kierunku wysepki? - Na chwilę zawiesił głos. - Czy jest pani całkiem pewna, że to był właśnie pan Drake? Przytomny... i żywy?

## **Rozdział 7**

W pełnej napięcia ciszy, jaka zaległa po pytaniu majora, uwaga wszystkich skupiła się na Maud. Kay czuła, iż przyszłość ich wszystkich zależy od jej odpowiedzi.

Jeżeli Maud wpadnie w pułapkę i przyzna, że skłamała o tym, co się działo na przystani, to jedyny atut przeciwko teorii majora o morderstwie zostanie usunięty.

Kay ani przez chwilę nie spuszczała oczu z siostry. Twarz Maud - jeszcze przed chwilą tak roztargniona i bezbronna - teraz odzyskała swe opanowanie i spokój.

- Powiedziałam już raz panu, co się działo na przystani - rzekła - a jeżeli mi pan nie wierzy, to nie ma doprawdy sensu powtarzać jeszcze raz wszystkiego od początku.

- Ale teoria majora może mieć jednak pewne podstawy - wtrąciła Alicja Lumsden z przejęciem. - Pan Drake mógł rozstać się z panią Chiltern w porcie, tak jak powiedziała, a później znów wrócić - a jej już nie było.

- Gdyby Ivor odpłynął, a później wrócił, to przecież musielibyśmy słyszeć motorówkę, jak się zatrzymała, a potem znów ruszyła - zwróciła się Maud do pielęgniarki spokojnie. Następnie spojrzała na majora z łagodną pobłażliwością, jak gdyby miał 10 lat.

- Moim zdaniem, panie majorze, przywiązuje pan zbyt dużą wagę do tych śladów na piasku - powiedziała. - Jakież dzieci albo ktokolwiek inny mógł przypląć na plażę, żeby się pobawić. Jeżeli idzie o niezwykle wnioski, jakie pan stąd wyciągnął, to rozumiem, że pana stanowisko wymaga brania pod rozwagę każdej możliwości, choćby najmniejszej. Pan Drake był naszym bardzo bliskim, oddanym przyjacielem, a poza tym miał się ożenić z naszą córką... Czyż nie byłoby więc bardziej ludzkie oszczędzić nam tego wszystkiego?

Już sama odwaga takiego kontrataku była ze strony Maud czymś wspaniałym, ale Kay upewniła się teraz, że jej siostra nie powiedziała prawdy o tym, co się rozegrało na przystani. Major najwidoczniej stracił kontenans i był wyraźnie zły.

- Bardzo sobie cenię pani opinię - rzekł - ale proszę mi pozwolić działać według własnego uznania. Skoro już pani wyjaśniła swoje stanowisko, niewiele mamy dzisiaj do zrobienia.

- Całkiem słusznie - powiedziała Maud. - Zrobiło się bardzo późno i chciałabym, żeby dzieci już się położyły spać.

- Bardzo rozsądny pomysł. Wszyscy państwo potrzebują snu. - Postawa majora była teraz zdecydowanie wroga. - Zjawię się tu jutro rano i zajmę się pewnymi szczegółami. Tymczasem zostawiam na plaży jednego z moich ludzi i prosiłbym, żeby nikt z państwa ani nie chodził na plażę, ani nie pływał bez mojego wyraźnego zezwolenia. Przypuszczam, że zostałem zrozumiany?

- Oczywiście, panie majorze - zgodziła się spokojnie Maud. - Alicjo, pani odprowadzi pana Chilterna do domu dobrze? Don, gdyby podwładny pana majora chciał przygotować sobie coś do zjedzenia albo napić się kawy, pozwolisz mu skorzystać z kuchenki w twoim domku, dobrze? Idziemy, dzieci! I ty także, droga Simono. Dobranoc, panie majorze.

Nim wyszli, Kay spojrzała jeszcze raz na doktora Thorne, który stał obok Dona i coś mu mówił cicho.

Kiedy znaleźli się znowu w salonie, Maud zwróciła się do Simony:

- Moje dziecko - powiedziała - wiem, że twoi rodzice wyjechali i bardzo bym nie chciała, żebyś była w domu sama. Musisz przenocować u nas. W pokoju Kay jest drugie łóżko, jestem pewna, że chętnie cię przyjmie na noc.

- Ależ oczywiście - powiedziała Kay.

Maud podeszła do Elaine i lekko, pocałowała ją w chłodny policzek.

- Dobranoc, dziecko. Postaraj się zasnąć.

W końcu zwróciła się do Terry'ego - ale z pewnym wahaniem - co przypomniało Kay ową gwałtowną scenę przy obiedzie, gdy chłopiec rzucił matce: „Wolałbym raczej zdechnąć pod płótem, aniżeli postępować tak jak wy!” Mimo że potem zdarzyło się tak wiele, Kay wyczytała z twarzy siostry, że i ona myśli o tamtej chwili. Trochę niepewnym głosem Maud powiedziała:

- Dobranoc, Terry.

Patrzył przez chwilę na matkę z pobladłą twarzą, po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek z niezgrabną, sztubacką czułością.

Kay zastanowiła się, czy doszłoby do tego pojednania, gdyby Ivor żył?

Wszyscy zaczęli się rozchodzić w milczeniu. Dla Kay milczenie to było stokroć gorsze niż najbardziej hałaśliwa rozmowa. Przecież właściwie wszyscy domownicy byli zdaniem majora potencjalnymi mordercami - a jednak nikt nie zdradzał ani zdziwienia, ani oburzenia. Kay zdawała sobie całkiem trzeźwo sprawę ze swojej szczególnej sytuacji. Ivor nie żyje. Tak, nie ma co się oszukiwać czy łudzić - został zamordowany. Ale ani na chwilę

nie przyszło jej do głowy, by traktować majora Clifforda jak potencjalnego wroga, któremu należy na każdym kroku rzucać kłody pod nogi. Kiedy szła z Simona na górę, czuła się coraz bardziej nieswojo. Okazja porozmawiania, z siostrzenicą odsunęła się co najmniej do jutra. Kay zrozumiała, że musi teraz zachować wyjątkową ostrożność.

Kiedy po chwili obie znalazły się w sypialni, z lekkim, zaniepokojeniem spojrzała na miedziany wazon, w którym; ukryła czepek. Simona nie powinna o nim wiedzieć. Nie.: może również dowiedzieć się o pamiętniku Rosemary.

Simona usiadła na jednym z łóżek i podciągnęła nogi pod siebie.

- Będzie pani pewnie potrzebowała piżamy - powiedziała nieco zmieszana Kay. - Dam pani którąś z moich.;

Dziewczyna wzięła z jej rąk piżamę bez słowa. Potem ściągnęła przez głowę suknię i podeszła do toaletki. Młoda i kształtne, opalone na brąz ciało kontrastowało z białą bielizną. Usiadła na cedrowym taborecie przed lustrem i zaczęła rozczesywać gęste, lśniące włosy. Kay zaczął ściągać pończochy, pragnąc w duchu, by Simona nie przerwała tego sztywnego, naładowanego elektrycznością milczenia.

Niestety, Simona obserwując uważnie w lustrze twarz Kay spytała nagle głosem, któremu starała się nadać pewność i zdecydowanie:

- Dlaczego pani skłamała? Czemu pani powiedziała, że przybyłam razem z panią na wyspę?

- Bo zdawało mi się, że pani może wolałaby, żeby policja nie dowiedziała się o jej bytności w pawilonie Ivora. W nocy... i sama.

- Czyli, innymi słowy, dawała mi pani wspaniałomyślnie alibi?

- Powiedzmy, że tak... jeżeli w ten sposób chce pani to określać.

- Wcale nie chcę w ten sposób tego określać! - Simona odwróciła się na taborecie i patrzyła prosto w twarz Kay. - Równocześnie stworzyła pani alibi i dla siebie.

- Ja nie potrzebowałam ukrywać faktu, że płynęłam na wyspę sama.

- O, oczywiście! Pani chciała tylko pożyczyć od Ivora książeczkę! Pożyczyć książeczkę! Dobre sobie!

Rzuciła gwałtownie grzebień na ziemię. - I ja mam w to uwierzyć! Tak samo, jak we wszystko, co mówiła pani rodzinka. Pani, cała pani rodzinka i Don - wy wszyscy jesteście dobrzy! Ivor nie żyje... Został zamordowany! A wy... wy cieszycie się z tego!

- Simono! Niech pani tak nie mówi!

- Dlaczego nie mam mówić? Przecież to prawda! Ja znam panią na wylot. Ivor dużo mi o pani opowiadał. Romansowała pani z nim trzy lata temu. Teraz na wiadomość, że ma się

żenić z pani siostrzenicą, przyleciała pani, żeby ją ratować... Słyszałam także, co Don powiedział pani dzisiaj w porcie.

Zacisnęła drobne dłonie w pięści.

- Oboje staraliście się nie dopuścić do tego małżeństwa. I - znakomicie się wam to udało!

Kay siedziała na łóżku, wpatrując się w białą, wzburzoną twarz - dziewczyny, i zastanawiała się, co i w jakim; celu Ivor opowiadał Simonie o niej.

- Wspomniała pani o Donie - powiedziała Kay. - Otóż dzisiaj rano na przystani Don oskarżył panią, że pragnie pani śmierci Ivora. A pani nie zaprzeczyła temu.

Simona potrząsnęła głową i powiedziała” wzruszając ramionami:

- Bo ja w ogóle gwizdzę na wszystko, co ten postrzęp leniec mówi.

- A może dlatego, że to prawda?

- Prawda?!

- Bo... widzi pani... bardzo dużo osób pragnęło śmierci Ivora.

- Owszem... ludzie, którzy mu zazdrościli! - Simona pochyliła się naprzód na taborecie. - Zazdrościli, bo był piękny, mądry i bogaty... Marni, nieciekawi ludzie, tacy jak Chilternowie, co na nim pasożytowali, a później... tylko dlatego, że nie był tak słodziutki, jak oni...

Kay patrzyła na nią i czuła, że do jej oburzenia dołączyła się teraz litość dla Simony.

- A więc pani była w nim zakochana - powiedziała powoli.

To nagłe i nieoczekiwane stwierdzenie wstrzymało potok słów z ust Simony.

- Jakim prawem mówi mi to pani? - wyjąkała.

- Bo to jest wypisane na pani twarzy. Pani go kochała, a on rzucił panią dla Elaine.

- Ach, więc to tak sobie pani wykombinowała! - roześmiała się sztucznie Simona. - Biedny motylek, zmiądzony kołami samochodu!... Naprawdę, pani niczym się nie różni od reszty swojej rodzinki! Wy, Chilternowie, z waszymi pięknymi zasadami, ciągniecie zyski ze swej pruderii! Nie jesteście w stanie rozumieć mnie - tak samo, jak nie rozumieście Ivora. Tak. Kochałam Ivora. I on kochał mnie także. Nie tak... głupio, po wiktoriańsku, jak wy to rozumiecie, ale prawdziwie! O, przyznaję, oczywiście, że Elaine go pociągała po prostu dlatego, że była chłodna i niedostępna - zupełnie inna... Bardzo często wyśmiewaliśmy się z niej... Ivor i ja.

Głęboki cynizm tych słów był wprost przerażający - tym bardziej przerażający dla Kay, iż wyczuwała w słowach Simony ton Ivora, jak gdyby to on przemawiał jej ustami. Mimo egzotycznego makijażu i wyzywającego zachowania Simona Morley wydała jej się

wzruszająco młoda i naiwna. Na tyle młoda i naiwna, żeby uważać wyrachowany cynizm i amoralność Ivora za sofistykę, za mądrość życiową. Wierzyła, że ten ich przelotny stosunek to była dla niego wielka, prawdziwa miłość, przez duże „M”...

Simona mówiła dalej, jakby trochę zadyszana:

- Pani sobie wyobraża, że byłam zazdrosna o Elaine i o to, że Ivor miał się z nią żenić! Zazdrosna! To dobre! Czy pani przypuszcza, że to zmieniłoby coś między mną a Ivorem? No, ale ich małżeństwo i tak nie doszłoby do skutku - dodała z nagle rozbłyśniętymi oczami - Ivor nigdy nie ożeniłby się z Elaine po tym, co zaszło dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem? O czym pani mówi?

- Pani udaje, że nie wie, po co przyszłam do pawilonu Ivora na wyspie?

- Nie mam pojęcia! Skądże mogłabym wiedzieć?

- A więc z największą przyjemnością pani opowiem... - mówiła teraz całkiem spokojnie, bez cienia poprzedniej hysterii. - Wieczorem siedziałam w domu zupełnie sama. Mniej więcej o pół do jedenastej siadłam na kajak i przy płynęłam tu, do waszego domu. Przy płynęłam, bo wiedziałam, że Ivor tu jest - a być w jego pobliżu to już znaczyło dla mnie bardzo wiele. Podeszłam do okna i zobaczyłam, że gracie w brydża, wobec czego wróciłam na przystań. W domku Dona paliło się światło i słychać; było głosy. Podeszłam bliżej i zajrzałam. Niech pani zgadnie, kogo zobaczyłam?

Kay poczuła nagle niepokój.

- Simono...

- Pani ukochaną siostrzeniczkę! Niewiniątko Elaine, która w najbliższy wtorek miała stanąć na kobiercu w białej szacie oblubienicy! W domku była Elaine z Donem. Trzymał ją w objęciach i całował - skrzywiła się szyderczo. - Trzeba było widzieć, jak ją całował! Niech się schowa Clark Gable!

Olbrzymim wysiłkiem woli Kay zdołała zachować spokój. A więc Elaine stawiała się na spotkanie ze sternikiem; którego niedawne słowa o ich wzajemnej miłości wydały się Kay tak fantastycznie nieprawdopodobne.

- Teraz już pani wie, po co popłynęłam na wyspę - mówiła tymczasem Simona dalej - i zdaje pani sobie chyba sprawę, że Ivor nie ożeniłby się z nią na pewno, usłyszawszy, że przez cały czas ta wcielona niewinność romansowała z płatnym sługą, jego sternikiem?

W tym Simona miała słuszość. Dla Ivora, z jego nieokielznaną pychą i snobizmem, a do tego psychopatyczną niemal przyjemnością oszukiwania innych, myśl, że Elaine prowadziła cały czas podwójną grę, byłaby nie do zniesienia.

- Więc pani pojechała na wyspę, żeby mu powiedzieć o Elaine i Donie?

- Oczywiście! Wróciłam do domu, odczekałam, aż Ivor; przypuszczalnie wyruszy do siebie, i popłynęłam kajakiem na wyspę. Chciałam otworzyć mu oczy, bo już nie mogłam dłużej znieść tej sytuacji, nie mogłam spokojnie patrzeć, jak Chilternowie wyzyskują go, podsuwając mu na przynętę Elaine. A po co? Żeby tylko zapewnić sobie dach nad głową!

Urwała nagle, a jej niespokojne ręce zaczęły błędzić koło szyi.

- To ciekawe, co mówię, prawda? Nie sądzi pani, że to zaciekawi również i... policję? Pani Chiltern usiłowała dzisiaj wywieść w pole majora Clifforda. Zapewniała, że Ivor to ich serdeczny, oddany przyjaciel i że wszyscy go kochali. Dobrze mi kochanie! Major przestanie w to wierzyć, skoro się dowie prawdy. Dowie się, że córeczka go oszukiwała, a cała reszta rodziny - nienawidziła!

To było gorsze, niż Kay się obawiała. Jeżeli Simona Morley, powodowana nienawiścią, przedstawi policji tak zniekształcony nienawiścią obraz Chilternow, będzie to dla nich wielką klęską. Poprzez tę dziewczynę Ivor wyrze zemstę na całej rodzinie.

Zdumiewające, że teraz, kiedy Simona stanowiła tak wielkie zagrożenie, Kay nie czuła do niej nienawiści, nawet jej się nie bała. Jakąś dziwną igraszką wyobraźni ta młoda osóbką, tak jak teraz siedziała przed lustrem, patrząc na Kay, nie była już Simona Morley, ale inną młodą dziewczyną, która trzy lata temu w taki sam sposób wpatrywała się w Kay... Dziewczyną pełną goryczy, nieprzytomnie rozkochaną, gotową poświęcić wszystko dla Ivora. Ten wyraz twarzy... to drżenie... to przecież Rosemary Powell!

- Droga Simono - powiedziała, kładąc impulsywnie dłoń na nagim ramieniu dziewczyny. - Pani nie może pójść z tym do majora Clifforda. Nie może pani tego zrobić Chilternom. Chyba pani zdaje sobie sprawę, jaki był Ivor w rzeczywistości. Chilternowie wprawdzie ostatnio wiele od niego przyjmowali, wyglądało może nawet, że go wykorzystują - ale to wszystko dlatego, że Ivor sobie tego życzył. Był o tyle, tyle od nich sprytniejszy. Być może że Chilternowie byli słabi, niemądry, ale to jeszcze nie powód, żeby pani im łamała życie.

- Żeby im łamała im życie! - powtórzyła jak echo z szyderczym uśmiechem Simona. - A co oni zrobili z jego życiem? Ivor nie żyje! Zamordowany! A czy Chilternowie zrobili kiedykolwiek coś dla mnie? Owszem, tak! Zabili Ivora! To wszystko, co potrafili zrobić.

- Simono... nie wolno pani tak mówić! Przecież pani nie wie, kto go zabił. Nawet nie wie pani, czy Ivor w ogóle został zabity.

- Oczywiście, że to oni go zabili - czerwone wargi! Simony drżały jak u małej dziewczynki wstrzymującej się od płaczu. - Ja... ja ich wszystkich nienawidzę!



- Nawet Terry'ego? Niech pani tylko pomyśli, czym to byłoby dla Terry'ego, gdyby pani wykonała swój zamiar.

- A cóż mnie może obchodzić Terry?!

- Bo Terry panią kocha...

- Kocha mnie? Terry? - śmiech Simony przypominał: raczej szloch. - To jeszcze dzieciak. On nie ma pojęcia, co to jest miłość.

- Terry wie znacznie więcej o miłości aniżeli Ivor.; Simono! Pani wierzy, że Ivor panią kochał, prawda? Bardzo ciężko jest mi rozwiać pani złudzenie właśnie teraz... w takiej chwili... ale trudno! Musi się pani dowiedzieć prawdy! Ivor nie kochał... Ivor nigdy nie kochał nikogo w życiu prócz siebie.

Simona wyprostowała się sztywno.

- To kłamstwo... Ivor i ja byliśmy inni niż wszyscy...

- Simono, czy zechce mi pani zaufać? Może mi pani uwierzy, skoro się pani dowie o czymś, co się zdarzyło dzisiaj, na dole, przy obiedzie. Ivor mówił o pani - i to bez żadnej z naszej strony prowokacji - po prostu, żeby dręczyć Terry'ego. Twierdził, że pani wodzi za nos Terry'ego, że pani ma zwyczaj przyjeżdżania co wieczór do pawilonu na wyspie... Powiedział też, że pani pozwoli na wszystko każdemu, kto kupi pani bransoletkę...

Kay wpatrywała się intensywnie w twarz Simony i widziała wrażenie, jakie wywarły te słowa.

- Gdybyśmy nie wstrzymali Terry'ego, rzuciłby się z pięściami na Ivora i obalił na ziemię. Mówię to pani dlatego, bo chcę, żeby pani zrozumiała, o ile miłość Terry'ego jest prawdziwsza. Jeżeli pani nadal trwa w zamiarze zawiadomienia policji, to proszę pamiętać, że zakłada pani stryczek na szyję Terry'ego. On bowiem miał najpoważniejszy powód, żeby zabić Ivora. I jeżeli istotnie go zabił, to dlatego, że panią kocha i nie mógł znieść, że Ivor tak panią wobec nas wszystkich upokarza.

Kay zdawała sobie sprawę, że wdaje się w bardzo niebezpieczną grę. Wtajemniczając Simone w gwałtowną scenę przy obiedzie, ryzykowała, że dziewczyna zawiadomi o tym policję... Stawiała na kartę bezpieczeństwo siostrzeńca po to, żeby rozwiać jej złudzenia co do Drake'a. To, że równocześnie utrudnia pracę policji, nie miało dla niej w tej chwili znaczenia - widziała przed sobą wyłącznie jedną, nagłą konieczność: przeciągnąć na swoją stronę Simone i jej milczeniem ocalić własną rodzinę przed klęską.

Dziewczyna popadła w otępienie. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w bransoletkę.

- A jeżeli nawet Terry jest pani obojętny - ciągnęła nieubłagalnie Kay - to proszę pomyśleć o własnym bezpieczeństwie. Kiedy pojechałam dzisiaj w nocy na wyspę, zastałam panią w pawilonie Ivora samą. Bez żadnego alibi. Jeżeli major dowie się o scenie przy obiedzie, to można sobie wyobrazić, co pomyśli o pani i o Ivorze. Dziewczyna którą rzucił dla Elaine... Ma pani wcale nie mniejszy powód do zbrodni od każdego z nas.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie major o mnie po myśli! Gwiżdżę na jego podejrzenia - słowa padały z ust Simony przejmującym szeptem. - Ivor nie mógł w ten sposób mówić o mnie! I to wobec Chilernów! Nie! Nigdy w to nie uwierzę... nie mógłby być taki... ohydny!

- Moja droga! Jestem przekonana, że mówił o pani w ten sposób nie raz, a setki razy wszystkim na wyspie.

- Ale... ale Ivor zawsze mi mówił i przysięgał, że nigdy słowem nie wspominał nikomu o... że nikt nie domyśla się niczego... że nasza miłość to tylko nas dwoje - on i ja.

- Jeżeli mi pani nie wierzy, to proszę spytać kogokolwiek, kto był przy stole.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna nie spuszczała oczu z twarzy Kay, jak gdyby chciała z niej wyczytać, że to kłamstwo. Kay zaś zdawało się, że gaśnie ostatnia iskierka nadziei.

- A Terry? - spytała po chwili Simona matowym głosem. - Nie uwierzył? Był wściekły? I wystąpił w mojej obronie?

Kay skinęła potakująco.

W żalonym usiłowaniu zachowania się jak dorosła, światowa kobieta, Simona wzruszyła nagimi ramionami.

- Więc okazuje się, że byłam po prostu jeszcze jedną głupią ofiarą Ivora, prawda? Powinnam się była tego domyślić... - Przymusiła się do drwiącego uśmiechu.

W każdym razie - dodała - bardzo było zabawne, póki trwało...

Impulsywnie wyciągnęła rękę do Kay i powiedziała:

- Niech się pani nie boi. Nic nie powiem majorowi, pani i ja pojechałyśmy sobie na przejażdżkę po zatoce przy księżycu. To wszystko, co wiem. Niczego więcej nie wyciągnie ode mnie ten stary wyga.

Kay ujęła wyciągniętą rękę Simony i mocno ją ścisnęła.

- Dziękuję, Simono. Przyjęła pani to wszystko znacznie lepiej aniżeli ja trzy lata temu...

- Nie ma mi pani za co dziękować. I nie mówmy już dzisiaj na ten temat, dobrze?

Simona odwróciła się na taborecie z przesadną nonszalancją i zaczęła przeglądać się w lustrze. Kay czuła dla niej litość, ale i podziw jednocześnie. Simona nie pozwalała sobie na

rozklejanie się w czyjejś obecności. Poza lekkiego zblazowania nie opuszczała jej przez cały czas, gdy się przygotowywała do snu, wkładała piżamę i wreszcie wsunęła do łóżka.

Później już, kiedy Kay także się położyła, a bermudzki księżyc rozsnął się srebrną smugą na podłodze, czuła, że opanowanie Simony prysło. Z sąsiedniego łóżka dochodził tłumiony płacz.

Wiedziała zresztą, że Simona nie oplakuje prawdziwego Ivora Drake, który zginął z ręki nieznanego mordercy, lecz wymarzony obraz, jaki sobie stworzyła w wyobraźni, a który tej nocy tak bezlitośnie Kay zburzyła...

## **Rozdział 8**

Mimo ogromnego fizycznego zmęczenia, Kay długo leżała z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. Teraz, kiedy bezpośrednie niebezpieczeństwo, grożące Chilternom z strony Simony, zostało jako tako zażegnane, a przynajmniej odsunięte - rozmyślała nad samym tragicznym wypadkiem. Ktoś - i to ktoś najprawdopodobniej z jego, najbliższego otoczenia - zabił dzisiejszej nocy Ivora Drake.

Ale kto?

Weźmy najpierw Maud: spokojna, nieodgadniona Maud, która poszła z Ivozem aż do przystani i prawie na pewno nie powiedziała majorowi prawdy, co tam zaszło. Maud, którą Kay widziała przemykającą się do domu w dziesięć minut później po odpłynięciu Ivora z przystani, a więc dziesięć minut później aniżeli to podała, przesłuchiwana przez majora. Co robiła Maud w ciągu tych doniosłych dziesięciu minut?

Kay nie mogła, nie chciała dłużej myśleć o Maud! Ale skoro tylko odpędziła myśl o siostrze, tym wyraźniej w» sunęła się na pierwszy plan Elaine. Przecież od obiadu poczynania jej były nie znane.

Wreszcie zasnęła, ale tylko po to, żeby obudzić się z mocno bijącym sercem. Ktoś chodził po korytarzu. Kroki były bardzo ciche i ostrożne. O ile mogła się zorientować, z końca korytarza, gdzie był tylko jeden pokój - pokój Elaine. Słyszała je pod samymi drzwiami swego pokoju i umilkły na chwilę. Kay spodziewała się, iż lada chwila ktoś otworzy drzwi, ale nie! Cichutko, ostrożnie kroki oddaliły się w kierunku klatki schodowej.

Kto nie spał i wędrował po domu o tak późnej nocnej godzinie? Ktoś wracający z tajemnej schadzki z Elaine? Albo może sama Elaine wychodziła? Ale dokąd?

Kay opadła z powrotem na poduszki z silnie bijącym sercem. Wokół znów panowała cisza. Żadnego odgłosu. Aż raptem srebrne światło księżyca, wpadające do pokoju, zmieniło się ze srebrnego na żółte.

Ktoś zapalił na dole światło.

Nie zastanawiając się dłużej, po cichutku, żeby nie zbudzić Simony, Kay wysunęła się z łóżka i podeszła na palcach do otwartego okna. Od razu zobaczyła, gdzie zapalono światło. Była to kuchnia, położona w prawym skrzydle domu. Przez nie zasłonięte okno widziała białe ściany i podłogę kuchenną z surowego drzewa. Po chwili smukła, dziewczęca postać w szarym szlafroku zbliżyła się do okna i zapuściła storę.

Elaine.

Kay zdecydowała się w jednej chwili. Cokolwiek Elaine robi o tej porze w kuchni, to jest to jedyna okazja porozmawiania z nią, nim rano zjawi się major Clifford, a z nim niebezpieczeństwo.

Wyciągnęła ze stojącego na gzymsie wazonu czepek Elaine. Następnie wyjęła z szafy w ścianie kąpielowy płaszcz i narzuciła go na siebie, a czepek wsunęła do głębokiej kieszeni. Simona oddychała miarowo, spokojnie. Rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na śpiącą spokojnie dziewczynę, Kay uchyliła drzwi i wyszła cicho na korytarz.

Tu było znacznie ciemniej. Minęła kilka pokoi i dotarła do schodów, po których zeszła do hallu. Kiedy stanęła w obszernej jadalni, dostrzegła w najodleglejszym kącie wydobywającą się spod drzwi smugę światła. Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i weszła do kuchni. Elaine nie od razu ją zobaczyła. Stała, trzymając w ręce żelazko włączone do kontaktu, i z gorączkowym pośpiechem prasowała coś białego, rozłożonego na desce.

- Elaine! - zawołała cicho Kay.

Dziewczyna podniosła gwałtownie głowę, aż jej ciemne włosy rozsypały się na ramiona.

Na widok Kay odstawiła żelazko na podstawkę i zrobiła ruch, jak gdyby chciała ukryć to, co prasowała. Po chwili jednak opuściła rękę.

- Co ty tu robisz o tej porze, Elaine?

Twarz dziewczyny była blada i trochę wyzywająca. Na skroni wyraźnie widać było głębokie zadrapanie.

- Nie mogłam zasnąć - odpowiedziała - i chciałam się czymś zająć, żeby przestać myśleć. Więc prasuję moje białe dzinsy.

Kay podeszła bliżej, zdjęła z deski spodnie i podniosła je w obu dłoniach.

Nie były to dziewczęce dzinsy, lecz białe, bawełniane dół pizamy - a sądząc po długości i objętości w talii, pizama musiała należeć do mężczyzny. Kay odłożyła je z powrotem na deskę, układając mimo woli tak, jak leżały przedtem. Błyskawicznie przypomniała sobie: kiedy wieczorem podbiegła do domku sternika, Don siedział przy biurku w białej bawełnianej pizamie!

- Powiedz mi, Elaine, czyje są naprawdę te spodnie? - spytała spokojnie. - Dona?

- Dona? Kay, chyba zwariowałaś! Oczywiście, że nie Dona - obruszyła się Elaine, lecz nagle głos odmówił jej posłuszeństwa i dokończyła ledwie dosłyszalnie. - A zresztą... kto to wie? Może i Dona, Nie wiem sama, dlaczego udawałam przed tobą, że są moje. Bo widzisz ja... ja znalazłam je po prostu między inną bielizną do prasowania i wyjęłam na chybił-trafił.

- Czy nie możesz być ze mną szczerą, Elaine? Ja wiem o Ivorze znacznie więcej, niż ci się wydaje. I nie mam ci za złe, że kochasz Dona.

- Ja? Ja kocham Dona? - spytała Elaine, Otwierając ze zdziwienia usta.

- I o tym także wiem, Elaine. Don zwierzył mi się dzisiaj ze wszystkiego.

- On ci się zwierzał! Dlaczego miałabyś ufać temu, co mówił? Prześladowuje mnie, narzuca mi się starając się we mnie wmówić, że jestem w nim zakochana. - Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca, nim dokończyła: - To wszystko nieprawda! Ja... Ja nienawidzę Dona. Kochałam jedynie Ivora.

- A jednak wczoraj wieczorem w domku Dona pozwoliłaś, żeby cię całował? Tak?

- Co... co ty właściwie mówisz, Kay?

- Simona was widziała... Elaine, czyż nie możesz zrozumieć, że chcę ci pomóc? W całej tej koszmarniej historii usiłuję uchwycić się czegoś, co mogłoby nas ratować... Musisz wreszcie zrozumieć, jak niesłychanie ważne jest poznanie prawdy! Major Clifford podejrzewa morderstwo.

- To nieprawda! Niemożliwe! To ohydne, bezsensowne kłamstwo!

- Ale on tak myśli. Podejrzenia jego padną w pierwszym rzędzie na nas, a spośród nas na ciebie. To zadrapanie na skroni... major je zauważył. Wie także, że twarz Ivora nosi ślady zadrapań i sińców.

- Kay! Nie przypuszczasz chyba, że zadrapałam się, walcząc z Ivorem?!

- Nie jest ważne, co ja przypuszczam, ale to, co podejrzewa major Clifford. Zwłaszcza, jeżeli znajdzie twoją białą wieczorową suknię rozdartą i z tą czerwoną plamą przy szyi.

Twarz Elaine zrobiła się blada, zdrętwiała, jak gdyby ją ktoś uderzył.

- Skąd wiesz o mojej sukni?

- Widziałam ją w domku Dona, na jego łóżku, kiedy poszłam prosić, by zawiadomił lekarza i policję. Elaine! Jeżeli nie powiesz mi prawdy, to sama pomyśl, jak ja sobie mogę to wszystko tłumaczyć?

Lekki dreszcz wstrząsnął ciałem dziewczyny.

- A więc dobrze. - Słowa wychodziły z jej ust powoli i beznamiętnie. - Rzeczywiście byłam wieczorem u Dona. Ale poszłam tam tylko dlatego, bo wiedziałam, że inaczej nie da mi spokoju. Mówił mnóstwo szalonych słów i bzdur o tym, jakim okropnym człowiekiem jest Ivor Drake, jak on go nienawidzi, i że niemożliwe, abym Ivora kochała.

I jeżeli mam chociaż trochę oleju w głowie, to zrozumiem, że kocham tylko jego, Dona. To wszystko razem było szalenie głupie.

Spojrzała na Kay spod długich, drgających rzęs. W oczach jej było coś niejasnego, jak gdyby chciała sprawdzić efekt tego, co powiedziała.

- W końcu - ciągnęła dalej - naturalnie, zaczął się do mnie ostro zalecać. Objął mnie... no... i zaczął całować.

Wyrwałam się, walczyłam... Prawdopodobnie wtedy rozdarłam suknię i zadrapałam się w skroń.

- A co było dalej, Elaine?

- Jak to, co było dalej? Nic! Udało mi się wyrwać - byłam wściekła. Powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć na oczy.

- I zostawiłaś u niego rozdartą suknię? - spytała ironicznie Kay.

- To było później. Wróciłam tam potem, żeby się przebrać w kostium kąpielowy. Dona nie było.

- Jak to, wróciłaś do mieszkania Dona, żeby się przebrać, mimo że tuż przedtem oświadczyłaś mu, że nie chcesz go więcej widzieć na oczy?

- Kay, powiedziałam ci prawdę... Czy nie mogłabyś mnie teraz zostawić w spokoju?

Wówczas Kay wypaliła na chybił-trafił:

- Powiedziałeś, że Don nienawidził Ivora. Sama zresztą o tym wiedziałam... Może więc to on zabił Ivora? Może to on, wracając do przystani po zepchnięciu Ivora do wody, przemoczył piżamę? A ty dlatego teraz prasujesz i suszysz jego piżamę, bo go chcesz osłonić od podejrzeń? - Urwała na chwilę, a potem dokończyła: - Ale przecież nie zależy ci na tym, żeby go kryć przed policją, prawda że go nienawidzisz, a tak bardzo kochasz Ivora!

Nienawidziła sama siebie za te słowa, zwłaszcza kiedy zobaczyła w oczach Elaine wyraz schwytanego w sidła ptaka.

- Więc nie uwierzyłaś temu, co ci powiedziałam - rzekła Elaine i nagle z okrzykiem poderwała żelazko do góry. W całej kuchni rozszedł się odór spalenizny, a na białym materiale widniała duża, brunatna plama. Drżącymi palcami Elaine odstawiła żelazko na podstawkę i zwinęła piżamę w małe zawiniątko. Potem zaczęła mówić z głębokim przejęciem:

- To, co mówisz o Donie, nie ma najmniejszego sensu. To nie są spodnie od jego piżamy. Już ci to raz powiedziałam. Chcesz mnie po prostu podstępnie schwytać w pułapkę. Sama wiesz, że Don nie może mieć z tą całą sprawą nic wspólnego. Przede wszystkim ma niezbite alibi. Był przez cały ten czas u Tima Thorne, przez cały czas, kiedy się to stało.

- Elaine, możliwe, że Don nie jest w to zamieszany, chętnie ci uwierzę... może masz słuszość, ale zostaje tyle jeszcze do omówienia! Musisz powiedzieć mi wszystko, całą prawdę!

- Co chcesz, żebym ci powiedziała? - Elaine wzięła zwiniętą piżamę i mocno przycisnęła do piersi. - Po rozstaniu z Donem wróciłam do domu. Nie wiedziałam, co ze sobą robić... Wy, to znaczy ty i reszta towarzystwa, graliście w brydża, pomyślałam więc o Terry'm i o tym, że widziałam jego żaglówkę na zatoce. Wzięłam kostium kąpielowy, przebrałam się w domku Dona i popłynęłam z przystani do żaglówki Terry'ego. Od tej pory byliśmy ciągle razem, tak zresztą, jak sam mówił.

- Owszem, słyszałam, jak to mówił, co jednak nie dowodzi, że mu uwierzyłam. Po gwałtownej scenie, jaka zaszła między wami przy obiedzie, nie wydaje mi się prawdopodobne, żebyś popłynęła do jego żaglówki. A zresztą: później, kiedy zjawiłaś się na plaży na wyspie, przyплыnęłaś z wręcz odwrotnej strony aniżeli Terry w swojej żaglówce. Jak to wytłumaczysz, Elaine? Czyż nie rozumiesz, że kręcenie na nic się tutaj zda?

- Nic mnie to wszystko razem nie obchodzi! Jest mi też obojętne, co ty o tym myślisz!

- Po co przyплыnęłaś na wyspę?

- Bo tak mi się podobało!

- Nieprawda! Szukałaś czegoś... czegoś, co wiedziałaś, że musi tam być.

Z uczuciem ogarniającego ją nagle śmiertelnego zmęczenia i zniechęcenia, Kay wsunęła rękę do kieszeni kąpielowego płaszcza i wyciągnęła rozdarty czepek.

- Tego szukałaś, prawda? Swojego czepka kąpielowego. Ale nie znalazłaś go, bo ja pierwsza go zobaczyłam. A wiesz, gdzie był? W zaciśniętej martwej dłoni Ivora!

Elaine wpatrywała się w srebrny czepek zwężonymi źrenicami, pełnymi przerażenia - jak gdyby chodziło o jakąś przerażającą, upiorną rzecz.

- Znalazłaś to w ręce Ivora? Nie! Nie! To niemożliwe! Nigdy w to nie uwierzę! - I nagłym ruchem wyrwała czepek z rąk Kay. - A choćby nawet to był mój czepek, to co z tego?

- zawołała gwałtownie. - Ja o niczym nie wiem, nie rozumiem, o czym mówisz. To jakiś nowy podstęp z twojej strony!

- Nazywasz podstępem to, że wyjęłam czepek z ręki Ivora?

- Czepek wisiał na kołku na przystani. Tak... widocznie spadł do wody, a fala przyływu zaniósła go na wyspę. Ivor go zobaczył, wychylił się, żeby go wyłowić... i wypadł przez burtę do wody.

- Jeżeli było tak, jak mówisz, to jak wytłumaczysz, że czepek jest rozdarty przez całą długość?

- Rozdarty? A skąd ja mogę wiedzieć? Powiedziałam ci już, że czepka nie widziałam i nie przyjechałam na wyspę po to, żeby go znaleźć.

Za drzwiami rozległy się czyjeś kroki. Elaine gwałtownym ruchem chwyciła spodnie i czepek i schowała za plecy. Obie z Kay odwróciły się do drzwi. Otworzyły się one po chwili i na progu stanął Terry w granatowej piżamie, z potarganą czupryną. Jego niewyspane, zmęczone oczy: przesuwają się z Kay na Elaine i z powrotem - wreszcie podszedł do siostry i powiedział:

- Słyszałem, jak przechodziłaś koło moich drzwi, a potem zobaczyłem, że w kuchni się świeci. Mam z tobą do pomówienia, Elaine.

- Czego ode mnie chcesz?

Popatrzył przez chwilę na Kay, która odgadła jego myśl i odpowiedziała szybko:

- Terry, możesz śmiało mówić przy mnie wszystko. Właśnie usiłowałam skłonić Elaine do wyznania mi całej prawdy i przekonać ją, że musimy wzajemnie sobie ufać. Ona uparcie twierdzi, że popłynęła do ciebie i że byliście: cały czas razem, w czasie, kiedy Ivor został zabity. Ale to nieprawda?

Twarz chłopca była prawie nieprzytomna.

- Masz słuszność, to nieprawda. Tej nocy w ogóle nie: widziałem Elaine.

Tych kilka słów sprawiło, że cały kunsztowny gmach kłamstw Elaine runął jak domek z kart. Ale twarz jej nie zmieniła się wcale - nie widać na niej było nic, prócz tępej apatii.

- Czemu zatem i ty kłamałeś, Terry? - spytała: Kay. - Dlaczego skłamałeś przed matką i przed policją?

- Bo czułem, że po prostu muszę! - Terry zwilżył wyschnięte wargi, nim zaczął mówić dalej: - Przy obiedzie zachowałem się wobec ciebie, Elaine, jak ostatnie bydlę. Sam siebie z tego powodu nienawidziłem. A kiedy potem stała się ta okropna rzecz, zdawało mi się, że jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to pomóc stworzyć ci alibi.

I w dalszym ciągu będę moje słowa podtrzymywał wobec policji. Wiesz, że gotów jestem zrobić dla ciebie wszystko, Elaine... Ale nie mogę już dłużej! Nie mogę dalej żyć w niepewności... Powiedz! Czy to ty zabiłaś Ivora?



- Czy ja zabiłam Ivora?! - zawołała Elaine z przejmującym śmiechem, podobnym raczej do szloch. - Och! Ty i Kay! Dlaczego oboje uparliście się wmawiać we mnie, że to ja zabiłam Ivora? Po cóż miałabym go zabijać? Nie wiesz zresztą na pewno, że to rzeczywiście było morderstwo. Tak sobie tylko coś ubrdał major Clifford. Ale to nieprawda! Wszystko razem wydaje mi się jakimś koszmarnym snem, z którego się obudzimy i...

- Niestety, to nie sen, Elaine! To rzeczywistość. I nie widzę dla nas żadnego ratunku, o ile nie powiemy prawdy i nie zaufamy sobie wzajemnie - powiedziała poważnie Kay.

- Ale cóż ja wam mogę powiedzieć, skoro sama nic nie wiem!

- Elaine! Jak możesz udawać, że o niczym nie wiesz, jeżeli widziałem cię na własne oczy kwadrans przed dwunastą - a więc właśnie o tej godzinie, o której, jak mówi major Clifford, Ivor został zamordowany - jak przepływałaś od strony naszej plaży kąpielowej koło „Sztormu”, a więc właśnie tego miejsca, w którym, zdaniem majora, Ivor musiał być zamordowany?

- Mnie? Widziałeś mnie? Że płynęłam?

Kay czuła, że cała drętwieje. Kwadrans przed dwunastą! To znaczy, zanim motorówka wyruszyła z przystani!

- Zamierzałem właśnie przybić do brzegu - mówił dalej Terry - musiałem więc w drodze na wyspę zbliżyć się do lądu. I widziałem cię wtedy zupełnie wyraźnie. Widziałem twój srebrny czepek wyłaniający się i kryjący pod wodą.

Czepek kąpielowy...

Kay przemogła się i spojrzała na Elaine. Serce się w niej krajało na widok zgaszonych, niewidzących oczu dziewczyny i jej drżących warg.

- Ależ ja naprawdę nie...

- Elaine! Na nic się zda okłamywać nas! Powiedz nam lepiej, co robiłaś na plaży?

- Nie mogę! Jakim prawem tak mnie dręczysz, Terry? Nie jesteś przecież policjantem!

Ostatnie słowa rozplynęły się w gwałtownym płaczu. Chwilę jeszcze stała, przyciskając do piersi czepek i piżamę, potem gwałtownie odwróciła się i odgarnawszy w tył włosy, wybiegła jak szalona z kuchni.

Terry chciał pobiec za nią, ale zatrzymał się chwilę i powiedział do ciotki:

- Kay... to prawda, co mówiłem. Widziałem, jak płynęła... widziałem jej srebrny czepek kąpielowy w świetle księżyca. Dlaczego Elaine nie chce zrozumieć, że tylko pragnę jej pomóc? Powinna przecież wiedzieć, że będę stał przy niej nawet... nawet, jeżeli to ona zabiła Ivora.

„Nawet jeżeli to ona zabiła Ivora.” Słowa te tłukły się w głowie Kay - a sens tego zdania stał się teraz bardzo prawdopodobny. Jakże inaczej można wytłumaczyć te rozpaczliwe kłamstwa i przeczenia.

- Nie powinniśmy w ten sposób myśleć o Elaine, Terry - powiedziała Kay znużonym głosem. - W końcu powariujemy, jak zaczniemy się tak wzajemnie podejrzewać. Elaine może mieć całkiem niewinny powód, żeby nie chcieć powiedzieć, co robiła dzisiaj wieczorem. Nie dalej jak przed chwilą przysięgała mi niemal, że kochała i kocha tylko Ivora.

- Kochała Ivora? Nie mogła chyba kochać go po tym, co mówił dziś przy obiedzie w jej obecności o Simonie... że oni... - nie mógł dokończyć i utknął na chwilę w środku zdania. - Ale i ty także, Kay, skłamałaś dzisiaj przed policją, prawda? Simona nie była na wyspie z tobą razem?

- Skąd wiesz?

- Bo ją widziałem. Zobaczywszy płynącą Elaine, zmieniłem kurs i pozęglowałem na kraniec wyspy. Zobaczyłem Simone w kajaku, zmierzającym w kierunku pawilonu na wyspie. Widziałem ją, jak wysiadła z kajaka sama.

Terry nie patrzył w oczy Kay, tylko mówił utkwivszy wzrok w podłogę:

- Aż do dzisiejszego wieczora nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Simona i Ivor... Widzisz, jaki ze mnie idiota? Nie wierzyłem w to nawet wtedy, kiedy Ivor mówił te wszystkie sprośności przy obiedzie. Dopiero później, kiedy zobaczyłem Simone wiosłującą na wyspę - umilkł na chwilę, a później spytał: - Bo ona była tam u niego w pawilonie, kiedy weszłaś, prawda?

- Tak, Terry.

- Wobec tego ona mogła...

Nagle urwał. Rozumiała, co miał na myśli. Usiłował powiedzieć, że Simona także mogła zamordować Ivora.

- Terry, kochanie. Za wcześnie jeszcze na wyciąganie wniosków.

- Mówisz, że jeszcze nie czas, a ja ci na to powiem, że raczej już za późno!

Kiedy tak stał, długonogi i rosły, za duży do tej starej granatowej piżamy, wydał się jej podobny do głęboko zasmuconego dziecka.

- Wariowałem za Simona, Kay, sama zresztą wiesz. I miałem wrażenie, że nie byłem jej obojętny. Ciężki to był dla mnie cios przekonać się nagle, że mnie okpiwała i że była po prostu... jeszcze jedną z jego licznych miłostek... niewolnicą z bransoletką. A jeszcze mi ciężiej skonstatować, że to niczego nie zmieniło. W dalszym ciągu szaleję za nią, mimo wszystkiego, co zaszło, tyle tylko, że teraz rozumiem, iż nie mam żadnych szans. Zawsze

będzie wspominała Ivora, a pogardzała mną za to, że nie jestem taki fascynujący... taki wspaniały...

- Może się jednak zmieniła...

- My nie potrafimy się zmieniać, Kay. Ivor nie żyje. A martwy jest stokroć groźniejszy aniżeli żywy.

Spuścił oczy na swoje opalone ręce i powiedział w zamyśleniu:

- Elaine... Simona, a teraz i ja także... Cały wieczór żeglowałem samotnie po zatoce i nikt mnie nie widział. Jakim cudem potrafię dowieść, że to nie ja go zabiłem?

Patrzył na Kay z cierpliwą wiarą dziecka, oczekującego cudu. - Co mamy teraz robić? - spytał niepewnym głosem.

Kay położyła mu obie ręce na ramionach i ucałowała serdecznie w policzek.

- Wszystko będzie dobrze, Terry. Ty i Elaine trzymajcie się swojej wersji, a Simona i ja naszej.

- Ale nie powiesz Simonie, że ją widziałem płynącą na wyspę? - spytał szybko. - Nie chcę, by wiedziała, że wiem o niej i o Ivorze.

- Bądź spokojny. Nic jej nie powiem - uspokoiła go Kay. Terry, Elaine, Simona - wszyscy troje wydali jej się nagle tacy bezbronni, tacy tragicznie niedorośli. Terry patrzył na nią żałośnie. Uśmiechnęła się do niego.

- Chodźmy już, kochanie. Postarajmy się zapomnieć na chwilę o wszystkim i zasnąć.

Spojrzała mimo woli na deskę do prasowania i żelazko, którego Elaine nie wyłączyła. Instynktownie wyciągnęła wtyczkę z kontaktu i razem z deską odniosła żelazko do pralni. Terry czekał, póki nie doprowadziła wszystkiego do porządku. Potem poszli w milczeniu, schodami na górę i rozeszli się, każde do swego pokoju.

Kiedy Kay wsunęła się do łóżka, Simona pogrążona była w głębokim śnie.

## **Rozdział 9**

Nim zdołała uporządkować i jako tako rozwikłać kłębek, kłamstw i niedopowiedzeń Elaine, zmógł ją ciężki, głęboki sen.

Kiedy obudziła się po paru godzinach, jasne promienie słońca wdzierały się przez otwarte okno. Simona ciągle jeszcze spała z głową wciśniętą głęboko w poduszki. Pierwszą myślą Kay po przebudzeniu był pamiętnik Rosemary. Wyjęła z szuflady nocnego stolika torebkę i odsunęła klamerkę. Mały zielony notesik, cudem przez doktora zwrócony po tajemniczym zniknięciu, był na swoim miejscu. Musi go schować, a najlepiej od razu zniszczyć.

Wysunęła się z łóżka i przeszła do łazienki, by wziąć prysznic. Torebkę z pamiętnikiem zabrała ze sobą.

Na górze jeszcze widocznie wszyscy spali, gdyż panowała tu kompletna cisza. Ruszyła długim korytarzem w stronę schodów. Z dołu dochodził brzęk porcelany i sztućców - pokojowa Murzynka widocznie nakrywała do śniadania.

Kay zeszła na dół do jadalni. Na stole stał sok z pomarańczy. Nalała sobie szklanekę i wyszła do salonu. Pokój był pusty, ale wysokie, balkonowe drzwi, wychodzące na taras, były otwarte.

Poranne słońce zachowało jeszcze swą wczesną świeżość. Różowe kamelie w dużych donicach na tarasie wyglądały jak reklama z katalogu kwiatowego. Za nimi ciągnął się trawnik usiany żółtymi, pomarańczowymi i szkarłatnymi kwiatami hibiscusów. Była to najcichsza pora na Bermudach.

Kay popijała sok pomarańczowy i przebierała machinalnie palcami po gładkiej skórze torebki, zastanawiając się, gdzie i kiedy zniszczyć pamiętnik Rosemary.

W pewnej chwili usłyszała za plecami kroki, a obejrawszy się, zobaczyła, szeroką, ciężką postać Alicji Lumsden - w nakrochmalonym mundurze pielęgniarki.

- Dzień dobry pani, panno Winyard.

- Dzień dobry.

Coś sztucznego i wrogiego w zachowaniu się pielęgniarki kazało Kay mieć się na baczności.

- To dobrze, że spotykam panią samą. Czy możemy porozmawiać?

- O co chodzi?

- W obecnie zaistniałej sytuacji wolałabym raczej nie rozmawiać na ten temat z panem czy panią Chiltern. Sądzę jednak, że mogę to uczynić, jeżeli chodzi o panią. Alicja Lumsden skrzyżowała kościste, okryte fartuchem ręce. - Nie wiem, czy pani wiadomo, że matka pana Drake i moja matka były spokrewnione. Oczywiście jego rodzina miała bardzo dużo pieniędzy - moja natomiast nic. Całe życie musiałam zarabiać i nie obracałam się w tym samym środowisku co oni. Ale pan Drake był zawsze dla nas bardzo dobry. - Wargi pielęgniarki zacisnęły się. - Jego śmierć była dla mnie osobiście ciężkim ciosem.

- Doskonale panią rozumiem.

- Cieszę się, że ktoś w tym domu mnie rozumie - spojrzała ponuro na Kay. - Bardzo, bardzo lubiłam pana I Drake. Porzuciłam pracę w szpitalu w Rochester i przyjechałam na Bermudy pielęgnować pana Chilterna tylko, dlatego, że pan Drake prosił mnie o to. Chciałam mu zrobić przyjemność.

Mimo nieufności, Kay czuła też trochę sympatii do tej; ubogiej krewnej, starej panny, tak jawnie ubóstwiającej Ivora.

- Czy ma pani teraz zamiar rzucić tę pracę i wrócili do Rochester?

- Nie. Nie o tym chciałam z panią mówić. Zaznaczyłam tylko, że zmuszona jestem pracą zarabiać na życie - zaśmiała się krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. - Państwo Chilternowie spodziewają się może, że zostanę tu dla ich pięknych oczu, ale obawiam się, że doznają srogiego; zawodu! Muszę myśleć o sobie. Dotychczas pan Drake wypłacał mi pensję w końcu każdego miesiąca. Ostatni czek dostałam od niego w zeszłym miesiącu, co by znaczyło, że już należy mi się za dwa tygodnie.

Kay starała się ukryć rozdrażnienie.

- Mogę panią zapewnić w imieniu państwa Chiltern że wszelkie pani należności zostaną uregulowane.

- Jest pani tego pewna? - Głęboko osadzone oczy patrzyły badawczo w twarz Kay. - Chociaż państwo Chilternowie żyli tu bardzo luksusowo, wiem jednak, że są biedni jak myszy kościelne. Nie wyobrażam sobie, żeby byli w stanie mi zapłacić...

Zawiesiła na chwilę głos.

- Chyba że, oczywiście, wszystko się zmieni wraz ze śmiercią pana Drake.

- Co pani ma na myśli?

- Nietrudno chyba zgadnąć, co mam na myśli. Pan Drake zmarł wczoraj w nocy. Nie wyobrażam sobie, żeby państwo Chilternowie dopuścili do tego... wypadku, gdyby pan Drake nie zmienił testamentu na ich korzyść.

Ta brutalna uwaga padła tak nieoczekiwanie, że Kay nie od razu pojęła jej okropny sens. Dopiero po chwili z oburzenia krew uderzyła jej do głowy. Całą siłą woli zdołała jednak nad sobą zapanować. Zrozumiała bowiem, iż ta zgorzkniała, wyzywająca kobieta, pełna zazdrości i nienawiści do Chilternów, jest stokroć większym niebezpieczeństwem aniżeli wczoraj Simona. Zimnymi i opanowanym głosem powiedziała.

- Radzę pani nie rzucać tego rodzaju nie przemyślanych słów. Są one nie tylko złośliwe i nieprawdziwe, ale są oszczerstwem. Jakim prawem ośmiela się pani sugerować, że państwo Chiltern?...

- ...zamordowali pana Drake? - przerwała jej pielęgniarka. - To nie ja... to przecież policja sugerowała morderstwo, o ile się nie mylę? Ja tylko dodaję, że istniał motyw. Niech się pani nie zdaje, że byłam i jestem ślepa! Mieszkam z Chilternami przeszło cztery miesiące i dobrze się orientuję w ich gierkach. Żyło mi się tu jak u Pana Boga za piecem, póki żył pan

Drake. Czy pani sobie wyobraża, że go zabili, nie upewniwszy się uprzednio, że będzie dla nich jeszcze korzystniej, jeżeli umrze?

Kay wstrząśnięta patrzyła w tę posępną twarz, tchnącą nienawiścią i pogardą.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli pani zaraz pójdzie na górę i spakuje swoje rzeczy,- panno Lumsden - powiedziała chłodno Kay. - Jestem przekonana, że mój szwagier będzie sobie życzył, żeby pani natychmiast opuściła ten dom. O ile policja się temu nie sprzeciwi.

- Niech się pani nie martwi! Sama bym odeszła. Chyba ani przez chwilę nie przypuszczała pani, że tu zostanę! Ale nie ruszę się stąd, póki się nie dowiem, kto zamordował pana Drake i czy zbrodniarz poniesie zasłużoną karę! - Jej silna, duża ręka zacisnęła się na broszce spinającej pod szyją mundur pielęgniarki. - I niech pani nie myśli, że to będzie trudne! Już teraz mam swoje podejrzania... Może pani powiedzieć ode mnie swoim ukochanym Chilternom, że zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, aby oddać mordercę pana Drake w ręce sprawiedliwości. Dopiero, jak się to stanie, będą mnie mogli stąd wyrzucić.

Słowa jej ponownie przerwał śmiech krótki, chrypliwy jak warczenie psa. Odrzuciła głowę do tyłu, spojrzała jeszcze raz wyzywająco na Kay i wyszła z pokoju, szeleszcząc krochmalonym płótnem.

Roztrzęsiona i zdenerwowana Kay patrzyła na jej znikającą postać. Co należałoby teraz zrobić? Cóż z tego, że zażegnała niebezpieczeństwo, grożące ze strony Simony skoro teraz będą mieli do czynienia z tą kobietą, która już niedwuznacznie wspomniała o swoich podejrzaniach i która będzie walczyła do ostatniego tchu?

Jak groźna może być Alicja Lumsden? Czy ubiegłej nocy nie spała i kręciła się po domu? Czy słyszała lub wiedziała coś z tych tajemniczych, groźnych wydarzeń, które i ona widziała? Czy też całe jej zachowanie to jedynie bluff, oparty na podejrzaniach co do zmiany testamentu?

Przecież to wszystko musi być tylko jedynie ślepymi domysłem. Cokolwiek można powiedzieć o Chilternach to w żadnym razie nie są to ludzie potrafiący knuć, intrygować - ludzie bez - skrupułów. Niewykluczone, że Gilbert, chory i bezradny, zgodził się przyjąć od Ivora mieszkanie i utrzymanie - ale trudno sobie wyobrazić, żeby z makiawelską przebiegłością spowodował zmianę testamentu. Zmianę na własną korzyść, po to, aby następnie któreś z Chilternów miało go zamordować.

Nagle przypomniała sobie słowa Maud z poprzedniego dnia, że Ivor po ślubie ma im wyznaczyć pewną rentę, pozwalającą na wygodne życie - i poczuła się bardzo nieswojo. Czy tego rodzaju zapis został już zrobiony i podpisany? Nie ma najmniejszych wątpliwości, że

pielęgniarka wtajemniczy majora Clifforda w swoje podejrzenia co do motywów, a wówczas major zwróci się z tym natychmiast do Gilberta, jako adwokata i radcy prawnego Ivora... i wszystko wyjdzie na jaw.

Jedno tylko pozostaje Kay do zrobienia: musi natychmiast pójść do Gilberta i dowiedzieć się prawdy, a równocześnie ostrzec go, że Alicja Lumsden jest ich wrogiem.

Szła szybko korytarzem, prowadzącym do sypialni jej szwagra na parterze. Na jej pukanie usłyszała spokojne: „Proszę!”

Gilbert siedział w łóżku, wsparty o poduszki. Miał przed sobą tacę ze śniadaniem. Wózek inwalidzki stał pod ścianą, obok szeroko otwartych drzwi tarasowych, przez które roztaczał się widok na piękny trawnik i krętą ścieżkę, wiodącą na plażę.

Nie mogąc widocznie rozstać się ze wspomnieniami dawnego wigoru i sprawności fizycznej, Gilbert kazał porozwieszać na ścianach zdjęcia, ilustrujące jego wyczyny sportowe na uniwersytecie w Harvard, gdzie słynął jako sprinter i mistrz baseballu. Kontrast między zdjęciami wspaniałego atlety a sparaliżowanym nieszczęśnikiem na łóżku był przejmujący. Szwagier stał się nagle bliższy jej sercu aniżeli przez ostatnie parę lat.

Na widok wchodzącej, twarz - jego, na której długa choroba pozostawiła coś z dystansu i ascezy, ożywiła się, a równocześnie zaniepokoiła.

- Czy przynosisz jakieś nowe niedobre wieści, Kay?

- Owszem. Przed chwilą odprawiłam Alicję Lumsden.

- Odprawiłaś? Jak to odprawiłaś?

- Zwyczajnie... zwolniłam ją. Ale ona nie chce odejść.

- O czym ty właściwie mówisz? - patrzył na nią zaskoczony.

- To bardzo poważna sprawa, Gilbertcie. Nie tylko? ośmieliła się powiedzieć mi prosto w oczy, że to któreś z was, Chilternów, zamordowało Ivora, ale nawet twierdziła, że to zaplanowałaś, bo odnosisz z jego śmierci korzyści materialne!

Wyraz zaskoczenia na twarzy Gilberta zmienił się w ironiczne rozbawienie.

- Mówisz, że ona utrzymuje, że my, Chilternowie, odnosimy korzyści finansowe na podstawie testamentu Ivora?

- Tak twierdziła. Nie mam pojęcia, skąd jej to przy szło do głowy, ale jej zdaniem, umyślnie doprowadziła, Ivora do zmiany testamentu na swoją korzyść.

- Doprawdy ciekawe! - Gilbert mówił teraz chłodno, trochę zgryźliwie. - Jeżeli to może wpłynąć w jakimkolwiek stopniu na wzburzone nerwy panny Lumsden, to możesz jej oświadczyć, że w testamencie Ivora nie ma nawet wzmianki o nas, Chilternach! Ja sam

spisywałem jego ostatnią wolę dwa lata temu, a żaden inny, późniejszy, zmieniony testament nie istnieje!

- Nic nie wiedziałam, oczywiście, o testamencie, ale byłam przekonana, że to brednie tej złośliwej histeryczki. - Tu Kay chwilę się zawahała. - Ale wczoraj Maud wspomniała mi coś o wyznaczeniu wam renty po ślubie Elaine. Ta cała Lumsden to niebezpieczna wariatka. Jestem pewna, że poleci z językiem do majora Clifforda i powie o zmianie testamentu. I chociaż będziemy mogli dowieść, że to nieprawda, to jednak major może się dowiedzieć o zapisie na waszą rzecz i zacząć podejrzewać...

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. - Gilbert skinął poważnie głową. - Może będziesz taka dobra i zabierzesz tę tacę, krępuje mi ruchy. - Następnie wskazał gestem stojące w rogu biurko. - Leży tam stos różnych papierów, może zechcesz mi je podać.

Kay zdjęła z łóżka tacę ze śniadaniem, a następnie przyniosła żądane papiery.

Gilbert spokojnie przerzucał papiery, wreszcie wybrał z nich jeden.

- Oto, moja droga, dokument, który w dawnych czasach można by nazwać intercyzą ślubną Elaine. Sporządziłem go na życzenie Ivora miesiąc temu. Nie uważam za wskazane wdawać się teraz w szczegóły, powiem tylko tyle, że Ivor zapisał na rzecz Elaine pokaźną... bardzo nawet pokaźną sumkę...

- Ale...

- Poczekaj chwilę, Kay. Tutaj mamy klauzulę, o której wspomniałaś, i widocznie o niej właśnie mówiła ci wczoraj Maud. Posłuchaj: „a mojemu przyjacielowi i teściowi, Gilbertowi Chiltern, wyznaczam kwotę...” no, mniejsza, jaką kwotę, powiem tylko, że zapis był bardzo wspaniałomyślny i że Maud i ja, jako teściowie Ivora, mielibyśmy zapewniony dostatek do końca życia.

Położył papier i spojrzał na Kay ironicznie.

- Ale Maud i ja nie jesteśmy teściami Ivora Drake... Elaine nie wyszła za niego, a Ivor nie żyje. Papiery, jakie tu widzisz, nie zostały przez niego podpisane - miał je podpisać w dzień ślubu. W tej chwili nie mają one - najmniejszej - wartości - przerwał na chwilę. - To ci chyba wystarczy za odpowiedź, prawda? To powinno również ukoić wzburzenie tej herod-baby, mojej pielęgniarki. Gdyby ktoś z nas zamierzał zabić Ivora dla celów materialnych, to czy ten ktoś nie zaczekałby raczej jeszcze cztery dni, aż ślub się odbędzie? Bo wtedy dopiero mogłaby być mowa o jakichś zyskach materialnych.

Kay patrzyła przez ramię Gilberta na nie podpisany dokument i czuła nieopisaną ulgę. Wyjaśniał on ponad wszelką wątpliwość, że Chilternowie nie tylko nie zyskali nic, ale przeciwnie, tracili wszystko z chwilą śmierci Ivora.



Gilbert obserwował jej reakcję z twarzą zmęczoną i bladą.

- A teraz, Kay, skoro już skończyliśmy z tą bagatelką, chciałbym z tobą pomówić o czymś innym. Wiem, że nigdy mnie za bardzo nie lubiłaś. Przypuszczam, że dotknęło cię nieprzyjemnie to, że zamieszkaliśmy tu, w - domu Ivora. Przyznaję otwarcie, że bardzo wiele mu zawdzięczam i wiele mu jestem dłużny. Istnieją jednak i pewne okoliczności łagodzące. Mimo że doktor Thorne wygłasza pocieszające prognozy, wiem, że nigdy już chodzić nie będę. Każdy człowiek czepia się kurczowo życia - chociażby tak nędznego - a moje szanse związane są niemal całkowicie z tutejszym klimatem i powietrzem. Ivor umożliwił mi to, proponując nam spędzenie wakacji na Bermudach. Jako jego radca prawny wiem doskonale, że nasz pobyt nie sprawiał, mu najmniejszej różnicy materialnej. Toteż nie czułem się pasożytem, akceptując jego szczerze zrobioną ofertę.

Przerwał na chwilę i zaczął przerzucać leżące na pledzie papiery.

- Wczoraj wieczorem odniosłem wrażenie, że nie lubisz Ivora, że masz coś przeciwko niemu. Wiedziałem też, oczywiście, że Ivor miał cały szereg... miłostek, życie jego nie było pod tym względem bez zarzutu... Ale... mój Boże! Któż z nas jest bez zarzutu! Mam wrażenie, że jednak szczerze kochał Elaine...

Przesunął palcami po gęstej, białej czuprynie.

- Sądzę, że powinnaś wiedzieć o tym wszystkim, gdybyś chciała dać wiarę historycznym podejrzeniom panny Lumsden i majora Clifforda, że zachodzi tu morderstwo. - Ironiczny uśmiech znów ukazał się na jego ustach. - Trudno chyba uwierzyć, żebym chciał śmierci Ivora cztery dni przed ślubem, na który dałem całkowity placet i który uniezależniłby nas materialnie do końca życia.

Jego chłodna, niezbita logika podziałała na Kay jak powiew świeżego powietrza po pełnych udręki godzinach nocy. Patrzył na nią swymi spokojnymi, inteligentnymi oczami.

- Bermudy to dziwne wyspy, Kay. Gdybyś tu pomieszkała dłużej, zrozumiałabyś - może zresztą wszystkie te małe wyspy są podobne. Opanowują cię, władają tobą. Wszystko wydaje ci się takie dalekie, nie znaczące. Człowiek musi się poddać nastrojowi. Wszelkie emocje chwilowo przygasają, aż raptem wybuchają w dzikim zamęcie neurotycznych scen. Zupełnie nie dziwi mnie wybuch Alicji Lumsden. Zakompleksione stare panny bardziej od innych podlegają czarowi Bermud. Tym niemniej byłem nieco przerażony zachowaniem tego dzielnego, solidnego brytyjskiego majora, po którym spodziewałem się więcej zdrowego rozsądku.

- Więc ty, Gilbercie, nie podzielasz opinii, że Ivor został zamordowany? - spytała żarliwie Kay.

- W każdym razie nie widzę chwilowo żadnego sensownego motywu do podobnego przypuszczenia. Dowody, przedstawione nam wczoraj tak dramatycznie na plaży przez majora Clifforda, są według mnie, prawnika, mocno naciągnięte. Mógłbym wykazać w jego twierdzeniu wiele luk. Obawiam się, iż major miał tak długo do czynienia tylko z kradzieżami rowerów i mnóstwem drobnych przestępstw, że całkiem już dojrzał do jakiegoś soczystego morderstwa, które by przerwało tę - nudną monotonię. To też wczoraj wieczorem, gdy stanął oko w oko z dość tragicznym wypadkiem, zachował się tak, jak gdyby to były urzeczywistnione marzenie. Przeczuję, że ta jego obsesja morderstwa będzie dla nas przykra i niewygodna. Nie sądzę jednak, aby miała okazać się czymś... gorszym.

Kay zazdrościła mu „spokoju i opanowania. Gdyby nie знаła Gilberta tak dobrze, byłby ją może przekonał swoją spokojną logiką. Zawsze jednak był skłonny zamykać oczy na rzeczy nieprzyjemne - i teraz również zauważyła tę tendencję. Zdawała sobie równocześnie sprawę z tego, jak łatwo jego argumenty mogły być skierowane przeciwko niemu. Jeżeli istotnie Bermudy wywoływały ów neurotyczny wpływ i urok, jak to twierdził, to dlategoż by ta neurotyczna energia nie miała pewnego dnia objawić się u kogoś w zdolności do morderstwa?

Gilbert przyglądał się szwagierce uważnie, jak gdyby zgadując jej myśli.

- Czytam w twoich oczach, że masz mnie za strusia, chowającego głowę w piasek... prawda, Kay? Po pierwsze, nie mówiąc już o wszelkich sentymentach, nie widzę żadnego sensownego motywu zbrodni, chyba że... - tu zawiesił na chwilę głos - tylko taki motyw...

Znów zaczął przerzucać dokumenty i wyciągnął jeden, w granatowej kartonowej teczce. W oczach jego błysnął chochlikowaty ogień, gdy mówił:

- Umyślnie zachowałem to na koniec, Kay, gdyż wydało mi się to bardzo zabawne. Oto kopia testamentu Ivora. Ponieważ nie posiadał bliskich krewnych, testament nie jest długi. Prawdę mówiąc jest w nim tylko jeden legat. Posłuchaj: - „Poza tym zapisuję kwotę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów oraz nieruchomość moją na Bermudach pod nazwą „Sztorm” mojej siostrze ciotecznej, Alicji Lumsden”.

Gilbert odczytał to beznamiętnym, spokojnym głosem i podniósł oczy na Kay. Miał twarz pogodną i uśmiechniętą.

- Musisz przyznać, Kay, że to wręcz paradoksalne. Może to nawet jeden z najlepszych kawałów Drake’a. Alicja Lumsden, kobieta, która oskarża nas o korzyści płynące z testamentu Ivora i którą tak pochopnie wyrzuciłaś z posady, z chwilą uwierzytelnienia testamentu staje się prawną posiadaczką „Sztormu”. I o ile się nie mylę, zechce wykorzystać swoje prawa w całej pełni i wyrzuci nas natychmiast z tego domu.

## Rozdział 10

Zaiste, był to jeden z najbardziej udanych kawałowi Ivora, rzucony urągliwie spoza grobu!

Złośliwy los sprawił, że Chilternowie - tak długo, jak długo pozostaną na Bermudach - będą obecnie całkowicie uzależnieni od łaski kobiety, która nie wierzyła im i nienawidziła ich.

Ale to jeszcze nie wszystko. Ten całkiem niespodziewany legat sprawiał, iż osoba Alicji Lumsden przesunęła sil obecnie na pierwsze miejsce listy osób podejrzanych o morderstwo.

Kay popatrzyła chwilę na ironicznie uśmiechniętą twarz szwagra, a potem powiedziała:

- Wiesz, Gilbertcie, że to rzeczywiście zabawne! Czy sądzisz, że ona wie o tym legacie? Bo jeżeli tak, to ta ostatnia scena została przez nią mistrzowsko odegrana. Sprytnie oskarża was, żeby odwrócić podejrzenia od własnej osoby.

- Muszę cię, niestety, rozczarować, jeżeli chcesz na; Alicję Lumsden zrzucić podejrzenia o to morderstwo - powiedział Gilbert sucho. - Nie wiem, oczywiście, na pewno, ale wyczuwam, że Ivor nigdy nie wspomniał jej o tym zapisie. Alicja Lumsden raczej zawsze go irytowała.; Jestem przekonany, iż nie podobałoby mu się jej postępowanie jako przyszłej właścicielki „Sztormu”. Testament sporządzono dwa lata temu i podobnie jak wszystkie testamenty ludzi młodych, mających przed sobą długie życie, potraktowany został jako gest. Tkwiło w nim pragnienie, by „Sztorm” pozostał w rodzinie, a Alicja była jedyną jego żyjącą krewną.

- Ale, nawet jeżeli Ivor jej o tym nie wspominał, to i tak mogła się dowiedzieć z innego źródła - zareplikowała Kay. - Ona wygląda na osobę, która lubi wtykać nos w cudze sprawy. Jak ci się zdaje, Gilbertcie... co teraz będzie?

- Czy mówisz o nas i o tym domu? No, cóż! Jasne, że w ciągu dzisiejszego dnia będę musiał, jako radca prawny i pełnomocnik Drake'a, zawiadomić Alicję o zapisie...

O tym radosnym zapisie!... No, a nasz dalszy los spoczywa w rękach bogów! Jeżeli jednak będzie chciała, to nas stąd usunie, a wówczas” skoro tylko przestaniemy być policji potrzebni, wrócimy przypuszczalnie do Pittsburga i zadłużonych hipotecznie domowych pieleszy.

Pozorna nonszalancja, z jaką Gilbert mówił, nie oszukała Kay. Doskonale wiedziała, jaki wpływ na jego zdrowie wywrze surowy klimat zachodniej Pensylwanii. Oznaczałoby to porzucenie nadziei na poprawę - jeżeli nie coś znacznie gorszego.

- A jeżeli wrócić do Pittsburga, to z czego będziecie żyli? - spytała poważnie.

- Nad tym, moja droga, będzie czas się zastanowić, gdy już będziemy w Stanach.

- Mam trochę oszczędzonych pieniędzy, no, i nieźle zarabiam - powiedziała Kay. - Najchętniej podzielę się z wami wszystkim, co mam.

- Doprawdy, jestem głęboko wzruszony twoją dobrocią, Kay, ale...

- Żadne „ale”. Nie bądź niemądry, Gilberte! Boję się, że to będzie niewiele, ale jeżeli dodasz do tego skromny dochód Maud, powinno wam wystarczyć.

Twarz Gilberta, która przed chwilą zmiękła i złagodniała pod wpływem wdzięczności za propozycję Kay, nagle zmieniła się nie do poznania. Na policzki wypłynął mu lekki rumieniec.

- Nie jestem pewien, czy mamy jeszcze te pieniądze Maud...

- Jak to rozumiesz, Gilberte? Nie popełniłeś chyba żadnego szaleństwa? Nie wydałeś posagu Maud na...

- Musisz mieć dla mnie trochę więcej cierpliwości, Kay. I tak zamierzałem pomówić z tobą na ten temat. Bo może będziesz mogła mi pomóc. - Wzrok jego, zwykle tak pewny siebie i kpiący, miał teraz wyraz błagalny. - Gdy się dowiesz prawdy, pomyślisz, iż marna opinia, jaką się zawsze u ciebie cieszyłem, była słuszna. Spróbuj jednak być wyrozumiała i współczująca, jako że ta sprawa w równej mierze dotyczy Maud, dzieci jak i mnie.

- O co właściwie chodzi? Mów, na miłość boską! Co ty właściwie zrobiłeś z jej kapitałem?

- To cała długa historia. Chociaż mi zapewne nie uwierzysz, to jednak jako doradca prawny i finansowy Ivora, przysporzyłem mu bardzo wiele korzyści materialnych. Przez pewne zręczne inwestycje i reinwestycje znacznie podniosłem wartość jego majątku... stale poszukiwałem najkorzystniejszych lokat. Jedną szczególnie była tak obiecująca i znakomita, że postanowiłem zainwestować nie tylko kapitały Ivora, ale i nieco własnych funduszy. Bo widzisz, dowiedziałem się od kolegi prawnika, że pewne niewielkie przedsiębiorstwo ma zostać przejęte przez inne, większe. Znałem szczegóły tej transakcji, sprawa była murowanie pewna. - Spojrzał na Kay ze smutnym uśmiechem. - Tylko że przeciągnąłem strunę, kupiłem więcej akcji tego towarzystwa, aniżeli było mnie na to stać. Ale byłem tak przekonany, że ta fuzja nastąpi...

- I co? Domyślałem się, że fuzja nie doszła do skutku?

- Przeciwnie. Fuzja nastąpiła, tyle tylko, że sprawa mocno się przeciągnęła z powodu śmierci jednego z dyrektorów. Musiałem udzielić dodatkowej gwarancji na pokrycie chwilowej zniżki kursu posiadanych przeze mnie akcji. W tym celu pożyczylem i

zużytkowałem obligacje Maud. Ach, wiem, że paskudnie postąpiłem! Byłem przekonany, że wszystko w końcu ułoży się pomyślnie i że to tylko kwestia czasu - wzruszył ramionami. - Ale biedacy nie mogą sobie pozwolić na czekanie. Ryzykowałem wszystko, żeby zdobyć środki na zabezpieczenie inwestycji, na którą nie mogłem sobie pozwolić. Sprawa była jeszcze w zawieszeniu, kiedy nagle się rozchorowałem.

Zawahał się chwilę i zaczął wyglądać nerwowo fałdy pledu.

- Kiedy Ivor był na Bermudach ostatnim razem, gorąco mi dziękował za ulokowanie jego kapitałów w tej właśnie inwestycji. Fuzja doszła do skutku, a Ivor zainkasował sumę znacznie wyższą, niż mu obiecywałem. Ja tymczasem straciłem nie tylko swoje pierwotnie kupione akcje, ale w dodatku większość dodatkowej gwarancji, to znaczy obligacje Maud.

- No... i co dalej? - Kay usiłowała nie zdradzić głosem rozczarowania i urazy.

- Wreszcie powiedziałem Ivorowi o moim kłopotliwym położeniu, chociaż przyszło mi to niełatwo. On jednak odniósł się do sprawy przychylnie i robił mi tylko wyrzuty, że nie powiedziałem mu o tym wcześniej. Miał właśnie lecieć za parę dni do Nowego Jorku w interesach i obiecał mi, że zrobi wszystko, aby odzyskać obligacje Maud i moją własną dodatkową gwarancję. Dodał jeszcze żartobliwie, że o ile akcje moje nie zostały sprzedane dalej, to okaże się, iż zrobiłem świetny interes i że na tej jednej transakcji zarobię tyle, że będziemy mogli żyć bez troski z całą rodziną do końca moich dni.

- I co? Zarobiłeś rzeczywiście? Czy teraz wszystko już jest w porządku?

- Nie wiem, czy i ile zarobiłem, wiem tylko, że Ivor odzyskał całkowicie moją dodatkową gwarancję. Mieli przywieźć przed ślubem wszystkie akcje. Nie mieliśmy wczoraj okazji rozmawiać o interesach, powiedział tylko, że przywiózł papiery i że bym się nie martwił. Dodał, że; ma dla mnie bardzo przyjemny ślubny prezent.

- Cóż to za prezent, skoro akcje i papiery i tak należą do ciebie i do Maud?

- Oczywiście, że należą do nas - wzruszył ramionami Gilbert.. - To znaczy, należałyby do nas, gdybym je miał w ręku...

- Gdybyś je miał? A powiedziałeś przecież, że Ivor przywiózł je wczoraj ze sobą?

- Tak, kochanie. Powiedziałem. Ale nie zdążył mi ich wręczyć.

- Jak to? Więc gdzie są?

- Przypuszczam, że gdzieś w jego bagażu. O ile się nie, myślę, Don zabrał jego walizy do pawilonu na wyspie.

Ciemny rumieniec zażenowania ciągle jeszcze nie zniknął z twarzy Gilberta.

- Teraz pewnie już się domyślasz, jak możesz mi pomóc, Kay... Ivor nie żyje, a major Clifford robi z tego wielką sprawę kryminalną. Jeżeli znajdzie nasze papiery między

osobistymi rzeczami Ivora, na pewno zasekwestruje je razem z innymi dokumentami i upłynie wiele czasu, nim je będę mógł odzyskać, ale nawet i wówczas trudno mi będzie udowodnić, że stanowią naszą własność. Poza tym - dodał wahająco - cała sprawa wypłynie na światło dzienne i Maud dowie się, że manipulowałem akcjami bez jej zgody. Pomyślisz może, Kay, że słusznie mi się taka kara należy, ale nie o to przecież w tej chwili chodzi... Rzecz w tym, że te papiery to cały nasz majątek. Nie możemy ryzykować straty!

- To znaczy, że chcesz je odzyskać... wydostać z bagażu Ivora?...

- Właśnie - Gilbert pochylił się ku przodowi z rękami splecionymi na pledzie. - Policja nie zainteresowała się jeszcze pawilonem. Gdyby się udało wydostać papiery zaraz, nim zjawi się tam policja, wszystko byłoby w porządku. Ja jestem kaleką... Nie mogę także prosić o to Maud czy któreś z dzieci. Pomyślałem więc, że zostajesz tylko ty, Kay.

- Ale przecież wczoraj w nocy major Clifford stanowczo zakazał odwiedzania wyspy!

- Wiem. Ale major się tu rano nie pokazał. Jeżeli policjant nadal pilnuje: naszej plaży, mogłabyś się przemknąć na wyspę od strony domu Morleyów - jest położony najbliżej wyspy. Nikt cię nie zobaczy.

- Ale... Gilbertcie, musisz mi powiedzieć, czego właściwie mam szukać?

- Musisz szukać skoroszytu albo teczki. Powinny w niej być certyfikaty, akcje i obligacje, i prawdopodobnie jeszcze inne papiery urzędowe. Wśród jego rzeczy.

- Chciałbym mieć całą zawartość tej teczki. Pomijając już chęć odzyskania naszych własnych papierów, naszej własności - to jako doradca prawny Ivora powinienem przejrzeć jego papiery, zanim policja zacznie to robić. I jeszcze jedno. Nie chciałbym, ażeby ktoś o tym wiedział - skrzywił się i dokończył: - Zwłaszcza, żeby nie dowiedziała się Maud.

- Rozumiem - powiedziała wolno Kay i chwilę się zawahała; potem z gestem wyrażającym rezygnację dodała:

- Zgoda, Gilbertcie! Zrobię, o co mnie prosisz...

- Dziękuję ci, Kay - dotknął delikatnie palcami jej ręki. - I nie rób takiej miny, jakbyś miała popełnić przestępstwo. Nie namawiam cię do przekroczenia prawa, moja droga. Trzeba tylko obejść błahe zarządzenie przesadnie skrupulatnego policjanta. Ale koniecznie postaraj się odzyskać te papiery... to niesłychanie ważne dla nas wszystkich.

- Rozumiem, Gilbertcie - powtórzyła jeszcze raz Kay - a najlepiej będzie, jeżeli zaraz się do tego za biorę.

Wyszła pospiesznie z pokoju. Całkiem niepotrzebnie Gilbert tak podkreślił wagę i pośpiech w wytworzonej sytuacji. Nieważne było teraz, co zrobił, jakie szaleństwo po pełnił

dobrowolnie czy też wiedziony złą radą. Stawką najważniejszą był kapitał Maud, podstawa całej egzystencji Chilternów.

Skąpany w porannym świetle salonik był nadal pusty. Reszta mieszkańców jeszcze nie zeszła na dół. Sprawdziła że jest dopiero ósma trzydzieści. Będzie dość czasu, aby się dostać na wyspę i otworzyć walizki Ivora...

Otworzyć walizki! Uprzytomniła sobie nagle z uczuciem przykrości, że Ivor właściwie wcale nie był wczoraj na wyspie. To znaczy, że walizki będą jeszcze zamknięte. Trudność wydała jej się nierozwiązalna, dopóki nie przypomniała sobie tego przykrego momentu po obiedzie, kiedy Ivor przerwał jej przypadkowe spotkanie z Donem. Dał wtedy Donowi klucze i polecił rozpakować walizki. Była całkiem pewna, że pamięć jej nie zawodzi.

Don musi coś wiedzieć o kluczach.

Wyszła na taras, a potem zbiegła przez trawnik do małego domku Dona, którego białe ściany przebijały przez gęstwinę cedrowych drzew. Kay zapukała ostrożnie w lekko uchylone drzwi. Na krótkie „proszę” weszła do pokoju, gdzie siedział Don Baird przy biurku zawalonym książkami.

- Don, proszę, niech mi pan pomoże - powiedziała prędko już na progu. - Muszę koniecznie wydostać coś z bagażu Ivora na wyspie. Wczoraj wieczorem Ivor polecił panu, żeby pan rozpakował jego rzeczy. Czy pan to zrobił?

- Rozpakować! - obruszył się Don. - Pracuję tu jako sternik, a nie lokaj! Zwaliłem wszystko jedno na drugie w sypialni.

- A klucze?

- Na toalecie. Ale o co pani właściwie chodzi? - patrzył na nią zaintrygowany.

- To nie ma nic wspólnego z morderstwem. Ale jest bardzo ważne.

- Aż tak ważne, że pani decyduje się pojechać na wyspę mimo zakazu majora?

Skinęła potakująco i powiedziała:

- Myślę, że najlepiej będzie jeżeli pójdę do domu Morleyów i stamtąd dopiero popłynę. Przy odrobinie szczęścia, policjant nie dojrzy mnie z plaży.

- Nawet na pewno pani nie dojrzy, bo właśnie poszedł sobie - wargi Dona skrzywił ironiczny uśmiech. - Ma pani szczęście! Dziesięć minut temu widziałem, jak wybiegł z plaży, wskoczył na rower i odjechał. Wyglądało, że zaobserwował coś nowego - pewnie znowu jakiś doniosły szczegół. Jeżeli się pani pospieszy, zdąży pani obrócić tam i z powrotem, zanim wróci... Ale rzeczywiście lepiej by pani popłynęła z domu Morleyów. Bezpieczniej. Umie pani jeździć na rowerze?

- Kiedyś jeździłam, ostatni raz trzy lata temu.

- Okej. Dam pani rower Elaine. Będzie szybciej. Ujął ją pod łokieć i wyprowadził z domu, przez podjazd, do małej szopy w rogu podwórza, gdzie na stojaku było kilka rowerów. Zdjął jeden i postawił przed Kay - spojrzał na nią uważnie ponad lśniącymi rączkami kierownicy i spytał nagle:

- Ale, ale! Czy miała pani okazję rozmawiać z Elaine?

- Tak. Dzisiejszej nocy.

Oczy mu rozbłysły - widać było, że nie jest dłużej w stanie ukrywać ciekawości.

- I co? Czego się pani dowiedziała?

- Między innymi przyznała się, że była u pana.

- Oczywiście, że tir była. Tylko chwileczkę.

- I pokłóciliście się?

- Pokłóciliśmy się? - pochylił się poprzez rower, arogancki i pewny siebie. - Co pani przyszło do głowy?

- Naprawdę nie?

- Oczywiście, że nie - nieoczekiwany uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Przyszła do mnie... mówiłem pani przecież, że przyjdzie. Powiedziała, że cała ta historia z Ivorem to nieporozumienie i że kocha tylko mnie - urwał na chwilę i dokończył z dumą: - Niech pani nie mówi nikomu, ale jak ta cała chryja się skończy, to się pobierzemy...

Kay patrzyła na niego z niedowierzaniem, bo przypomniła sobie słowa Elaine, wypowiedziane dzisiaj w nocy w kuchni: „Don powiedział ci, że go Kocham? To wariat! Kochałam Ivora - a Dona - nienawidzę”. Uśmiech znikł z twarzy chłopca.

- Dlaczego pani na mnie tak dziwnie patrzy?

- Mówi pan, że Elaine obiecała, że wyjdzie za pana?

- Oczywiście!

- A wie pan, co mnie powiedziała? Że przyszła tu tylko dlatego, bo pan ją ciągle o to nagabywał i nie dawał spokoju, że pan potem w domku zaczął się do niej zalecać wbrew jej woli i że się panu wyrwała siłą. Wtedy to właśnie rozdarła sobie suknię i zadrapała skroń.

- Pani kłamie!

- Powtarzam tylko słowa Elaine.

- Ale to ohydne kłamstwo! Wcale się ze mną nie szamotała, a jej suknia nie była rozdarta, kiedy tu była.

Elaine...

Głos go zawiódł - dłuższą chwilę stali w szopie, patrząc na siebie, a Kay była przekonana, że to on, a nie Elaine mówi prawdę. Że Elaine tak samo kłamała mówiąc o



spotkaniu w jego domku, jak i o wielu innych rzeczach. Ale sam fakt nie był może tak straszny, jak wyraz twarzy Dona. Zdradzał on wyraźnie to, co miał na myśli - dręczącą obawę, że ciąży na nim podejrzenie.

- Wczoraj w nocy - zaczął schrypniętym głosem - po znalezieniu jej sukni i potem, kiedy mi pani zwróciła uwagę na tę krwawą plamę, zacząłem się zastanawiać. Całą noc białem się z myślami, odpychając podejrzenia, starając się myśleć o czymś innym. Mam jednak wrażenie, że musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Skłamała, mówiąc o mnie... a jeżeli skłamała, to znaczy, że... - Młody człowiek oddychał szybko. - Czy pani przypuszcza... czy pani myśli, że to... ona?

A Kay przypomniała sobie nagle białe spodnie od męskiej piżamy. Jeżeli były własnością Dona, to on z pewnością wie znacznie więcej o tym, kto zabił Ivora.

- Czy pan wie cośkolwiek?

- Ja? - powiedział przez zaciśnięte wargi. - Ja byłem u doktora Thorne, o czym zresztą już pani słyszała. Nie wiem poza tym nic, absolutnie nic.

- To dlaczego nie pójdzie pan do Elaine i nie zmusi jej do powiedzenia prawdy? Pan jest jedyną osobą, która może to zrobić. Niech jej pan odniesie suknię i przy okazji...

- Suknię! - przerwał jej ostro. - Nie mogę odnieść sukni. Dziś w nocy spaliłem ją tu, w moim kominku.

- Pan... pan spalił tę suknię?

- A co miałem zrobić? Jak pani sądzi, co mogła sobie pomyśleć policja, gdyby znalazła u mnie suknię Elaine? Ale ja i tak pogadam z Elaine. Zapewnię ją, że będę przy niej stał bez względu na to, co się stanie. A pani... pani jest także po naszej stronie, prawda? - wpatrywał się w nią żarliwie.

Skinęła potakująco. Co pozostawało jej innego, jak stać przy nich wszystkich?

Ujął jej rękę i niemal zgniótł w swych palcach.

- Dziękuję pani, Kay. - A potem, jak gdyby myśl że ma coś robić, wróciła mu równowagę, powiedział normalnym już głosem:

- Jeżeli pani chce dostać się na wyspę, to trzeba się pospieszyć. Proszę jechać prosto w dół, aż do zatoki! Pierwszy zaraz dom to będzie willa Morleyów. Różowa z białymi żaluzjami. Bardzo łatwo trafić. I... pomyślnych łowów!

## **Rozdział 11**

Kay zjechała trochę chwiejnie w dół dróżką dla pieszych i skręciła na białą drogę. Ciężej jej było jechać na rowerze, aniżeli myślała.

Droga, obsadzona po obu stronach gąszczem różowych oleandrów, skręcała gwałtownie, biegnąc dalej równoległe do zatoki. Na szczęście na drodze nie było nikogo. Wkrótce znalazła się obok położonego w dole domu o białych żaluzjach, dość odległego od drogi, od której oddzielał go mur obrośnięty pnączami. Kay przypomniała sobie mimo woli, że tu właśnie przed trzema laty mieszkała Rosemary Powell z matką. Teraz wyglądało tu zupełnie inaczej. Nowe dobudowane skrzydło i widoczna atmosfera dobrobytu kazały zapomnieć o dawnym, trochę zaniedbanym wdzięku.

Kay zsunęła się z roweru i oparła go o krzewy oleandrów, sama zaś weszła niepewnie przez wysoko sklepioną bramę do ogrodu, gdzie z rozłożystych cedrów zwisały kwitnące orchidee. Okrążyła pusty dom i znalazła się na przystani. Stało tu kilka barwnych kajaków. Po drugiej stronie na tle olśniewającego błękitu zatoki rysowała się wysepka Ivora. Zastłaniała ona „Sztorm”, z którego widać tu tylko róg dachu.

Kay wsiadła do czerwonego kajaczka, odwiązała go płosząc stado maleńkich żółtych i czarnych rybek i odepchnęła kajak od pomostu. Najmniejszy nawet wietrzyk nie poruszał gładkiej wody, gdy kajak sunął żwawo w kierunku wyspy. Niebawem była już przy brzegu i skierowała się do niewielkiej zatoczki, ukrytej wśród szarych koralowych skał. Przywiązała kajak do pnia cedru, wyskoczyła na ląd i ruszyła pod górę krętą ścieżką. Gdy doszła do szczytu, widać było na dole domek, a nad nim szeroką panoramę zatoki, w ramie cedrów. Ruszyła szybko przez cedrowy gaik i doszła do domku. Drzwi były otwarte, tak jak je tu wczoraj zostawiły z Simona. Ostrożnie weszła do środka. Rozejrzała się wokół. Wszystko w tym wygodnie urządzonej letnim pawilonie wyglądało tak, jak wczorajszej nocy. Don powiedział, że walizki są w sypialni. Podeszła do drzwi, wiodących do sypialni, otworzyła je i znalazła się w niewielkim słonecznym pokoju.

Tu, w tym właśnie pokoju, Ivor miał spędzić wczorajszą noc. Równo zasiane łóżko, nakryte białą narzutą, świadczyło, że nikt tu nie spał, i bardziej jeszcze uświadomiło Kay, że Ivor nie żyje. Wrażenie to wzmogło jeszcze kilka eleganckich, lotniczych walizek w kolorowe pasy, rzuconych niedbale na ziemię tak, jak je zostawił Don.

Kay miała wrażenie, jakby przyglądał jej się ironicznie uśmiechnięty cień Ivora - odważnie jednak podeszła do mahoniowej komody i wzięła z niej pęk kluczy. Przyklękła przy pierwszej z brzegu walizce i zaczęła dobierać klucze jeden po drugim, póki zamek nie odskoczył. Podniosła wieko i zobaczyła starannie poukładane koszule. Włożyła obie ręce między bieliznę, aż do dna, i stwierdziła z całą pewnością, że nie ma w niej żadnych skoroszytów ani teczek. Przywróciwszy zawartość do pierwotnego stanu, zamknęła walizkę na klucz, przechodząc do następnej.

Skoro tylko ją otworzyła, zobaczyła na wierzchu grubą tekturową teczkę, ściągniętą gumkami - a pod nią starannie ułożone garnitury. Trochę drżącymi palcami zsunęła opaski i otworzyła teczkę. Wewnątrz znajdowały się pisane na maszynie listy, dokumenty, akcje i papiery wartościowe - na wielu z nich widniało nazwisko Maud: Maud Archer Winyard.

Z uczuciem ogromnej ulgi Kay nałożyła z powrotem gumowe opaski, a teczkę wsunęła pod ramię. Kiedy już miała w rękę to, po co przyjechała, odzyskała spokój i pewność siebie. Zamknęła i tę drugą walizkę, po czym wyjęła chusteczkę i starannie wytarła wszelkie ślady palców. Teraz mogła wrócić do domu Morleyów, a potem dalej, do „Sztormu”. Kiedy wchodziła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi. Teraz, z teczką pod pachą, podeszła do nich, położyła rękę na klamce - i nagle zamarła! W sąsiednim pokoju słychać było jakiś ruch... Ktoś chodził cicho, ostrożnie, ledwie dosłyszalnie. W jednej chwili jej uczucie bezpieczeństwa zniknęło. Mimo delikatnego letniego powiewu, wpadającego przez okna, pokój wydał się jej nagle duszną pułapką.

Po paralizującej niepokojem sekundzie ciszy - odgłos dał się słyszeć ponownie. Lekkie skrzypienie deski w podłodze, po którym najwyraźniej, rozległy się ciche, przytłumione kroki. Ktoś wszedł do domku - ktoś chodził po saloniku.

Przez chwilę Kay stała bez najmniejszego ruchu: następnie rozejrzała się nerwowo po pokoju, szukając miejsca, gdzie mogłaby się ukryć.

Szafa w ścianie była o wiele za mała - w oknach kraty uniemożliwiały ucieczkę. Nie! Nic nie da się zrobić!

Kroki w sąsiednim pokoju rozległy się znowu.

W panicznym niemal strachu Kay skupiła teraz całą uwagę na papierach. Jeżeli nawet ona sama nie zdoła uciec, - musi jakoś zabezpieczyć papiery. Ogarnęła wzrokiem cały pokój... łóżko!... Podbiegła do łóżka, uniosła gorączkowo narzutę i wsunęła teczkę głęboko pod materac, po czym starannie wygładziła przykrycie.

Odwróciła się w tej samej chwili, kiedy drzwi powoli się uchyliły. Zobaczyła białe ręce, gładkie kobiece ramię, a po chwili spokojna, chłodna i opanowana stanęła w progu Maud Chiitern.

Na widok młodszej siostry nie okazała najmniejszego zdziwienia ani zażenowania, że znalazła się tu wbrew wyraźnemu zakazowi majora Clifforda. Z zupełną obojętnością, bez najmniejszej zmiany głosu powiedziała:

- Jak się masz, kochanie. Widzę, że wstałaś bardzo wcześnie. Mam nadzieję, że było już coś do jedzenia?

W pierwszej chwili Kay odczuła ogromną ulgę, że tajemniczym intruzem okazała się Maud - ale teraz, mimo woli, zaczęło się w niej budzić podejrzenie. Dotychczas w jej oczach starsza siostra była zawsze uosobieniem uczciwości i prostoty, a teraz stała się przywódcą cichej konspiracji, jaka otoczyła śmierć Ivora. To przecież Maud wczorajszej nocy na przystani wyreżyserowała rolę dla każdego z domowników; później, podczas tych koszmarnych momentów przesłuchiwania przez policję, Maud także powiedziała najbezcześniejsze i prawdopodobnie najdonioślejsze kłamstwo na temat tego, co zdarzyło się na przystani. A teraz zjawia się tu, na wyspie, mimo zakazu policji. Maud, która nigdy nie robiła nic bez istotnej przyczyny...

Maud podeszła do łóżka i spokojnym, bezwiednym prawie ruchem wygładziła fałdę narzuty. Po wyrazie jej twarzy trudno było domyślić się, czy widziała Kay, odsuwającą - się pospiesznie od łóżka na odgłos otwieranych drzwi, czy też było to zwykłe zamiłowanie do porządku.

- Czy przyszedłeś tu z jakimś wyraźnym celem, kochanie? - spytała.

- Nnnie... przyjechałam właściwie tylko tak... żeby się rozejrzeć - powiedziała z wahaniem Kay.

- To tak samo, jak ja. Policjant strzegący plaży odszedł, powiedziałam więc sobie, że nadarza się dobra sposobność... Czy nie natrafiłaś na coś, co należałoby... zniszczyć?

- Nnie...

- Nie znalazłaś pamiętnika Rosemary?

Palce Kay zacisnęły się mocniej na zamku torebki, w której ciągle jeszcze spoczywał zielony notesik w tak cudowny sposób zwrócony jej przez doktora Thorne.

- Właściwie w tym celu tu przyjechałam - ciągnęła Maud - chciałam się upewnić, czy go tu nie ma.

Podejrzenia Kay obudziły się na nowo.

- Jakim sposobem mógłby się tu znaleźć pamiętnik Rosemary? Przecież Ivor wcale tu nie był wczoraj wieczorem. A może się mylę?

- Droga Kay... nie mam najmniejszego pojęcia, czy Ivor tu wczoraj był, czy nie. Przyjechałam po prostu upewnić się, czy nie został tu gdzieś pamiętnik, bo z tego, co od ciebie o nim słyszałam, wolałabym raczej, żeby nie dostał się w ręce policji.

Aż do tej pory Kay nie była zdecydowana, czy ma po-; wiedzieć siostrze o odzyskaniu pamiętnika - teraz jednak wydało się jej, że jest to jak najbardziej wskazane.

- Nie potrzebujesz się obawiać, że wpadnie w ręce policji - otworzyła torebkę, wyjęła zielony notesik i wyciągnęła go w stronę Maud.

- Kay!

Gwałtowna zmiana, jaka zaszła w twarzy siostry, była dla Kay zaskakująca. Oczy Maud, wlepione w pamiętnik, miały taki sam wyraz schwytanego w sidła ptaka, jak oczy Elaine wczorajszej nocy.

- Gdzie to było?... Gdzie... gdzie to znalazłaś?

- To nie ja znalazłam, tylko ktoś inny. Leżał wśród krzaków jukki na brzegu naszej plaży, w pobliżu przystani.

- O której przystani mówisz? O naszej? Koło domu? Czy tu, na wysepce?

- Oczywiście, że koło domu. Ktoś musiał go tam rzucić... albo może chciał ukryć. - Mówiąc to, Kay wpatrywała się uważnie w siostrę. - Byłaś przecież na przystani z Ivorem, Maud. I nic nie możesz powiedzieć na temat pamiętnika? -

- Ja? No... nie wiem, ja nic o nim nie wiem...

- Czy mówisz teraz prawdę, Maud? - Kay nie spuszczała ani na chwilę wzroku z twarzy siostry. Po chwili włożyła pamiętnik z powrotem do torebki. - Czy nie rozumiesz, że nie dojdziemy do niczego, jeżeli nie będziemy ze sobą szczerze? Nim się zorientujemy w sytuacji, major Clifford tak nas zapłącze w sieci, że się z nich nie wydobędziemy... Te setki najróżniejszych sprzeczności. Maud, cokolwiek zaszło dzisiejszej nocy, pamiętaj, że moje uczucia do ciebie pozostaną nie zmienione.

- Uczucia do mnie? - Maud znów była opanowana i spokojna. - Czyżbyś podejrzewała, że... że ja jestem wplątana w cokolwiek, co zaszło dzisiejszej nocy?

- Nie wiem! Nic nie wiem... oprócz tego, że skłamałaś majorowi. Powiedziałaś, że przysłałaś razem z Ivorem do przystani, że widziałaś, jak odbił od pomostu, a potem wróciłaś do domu. A to nieprawda! W każdym razie częściowo nieprawda, bo widziałam cię, jak wracałaś, a było to w dobre dziesięć minut po odjeździe Ivora.

- Ach, więc mnie widziałaś! To ciekawe, bo ja ciebie nie...

- Maud! Nie udawaj takiej beztrudnej! Czy nie rozumiesz, jakie to ważne? Nim motorówka wystartowała na wyspę, pozostawałaś sam na sam z Ivorem co najmniej przez kwadrans. A następnie przez dalsze dziesięć minut nie wracałaś do domu. Musisz mi powiedzieć, co robiłaś przez ten czas?

- Jak ci się zdaje, kochanie? Co mogłam zrobić?

- Mniejsza o to, co mnie się zdaje, ważne jest to, co się będzie zdawało majorowi.

- Moja droga Kay... doskonale się domyślasz, co się będzie zdawać majorowi - odpowiedziała Maud, przebierając smukłymi palcami po cedrowej kolumnie łóżka. - Powie, że byłam sam na sam z Ivorem piętnaście minut przed jego odpłynięciem na wyspę - cień

uśmiechu przemknął po jej twarzy. - Czyli innymi słowy, miałam dość czasu, żeby go uderzyć czymś ciężkim w głowę i zaciągnąć ciało z plaży do łodzi. Dopiero po dziesięciu minutach od odbicia motorówki od mola wróciłam do domu. To mi dawało dość czasu do zawiezienia Ivora do zatoki, wyrzucenia go za burtę i przyplłynięcia z powrotem. Jak wiesz, umiem prowadzić motorówkę i ciągle jeszcze niezłe pływam.

W tym spokojnym, może nawet ironicznym stwierdzeniu faktów, których istnienia Kay nawet nie dopuszczała, było coś dramatycznego.

- Jeżeli major Clifford dowie się kiedykolwiek, że skłamałam - ciągnęła dalej Maud - będzie musiał dojść do logicznego wniosku, że to ja zabiłam Ivora. To jest tego rodzaju typ, ten cały major.

- No dobrze, Maud, ale co zrobisz, jeżeli on się o tym dowie?

- No, cóż? Nie widzę powodu, żeby miał się dowiedzieć - powiedziała Maud, patrząc na swoje smukłe palce. - Bo w końcu ty jesteś jedyną osobą, mogącą mu powiedzieć, że skłamałam, a polegam na tobie, że mnie nie zdradzisz.

- Oczywiście, że nic nie powiem majorowi, ale nie powinnaś na tym polegać, Maud. Major, mam wrażenie, może mieć setki innych sposobów, żeby się dowiedzieć.

- No... wówczas, kochanie, jeżeli się dowie, sam już będzie musiał zdecydować, co ma robić dalej.

W małej, zalanej słońcem sypialni panowała kompletna cisza. Stały naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Twarz Maud, tak jeszcze spokojna przed chwilą, była teraz ponura i wyzywająca. Kay poczuła gwałtowny przyływ niepokoju.

- To znaczy, że... że gdyby major oskarżył cię o zamordowanie Ivora, ty... ty byś temu nie zaprzeczyła?

- Nie, kochanie. Nie zaprzeczyłabym... wobec nikogo...

- Nawet wobec mnie?

Maud rozłożyła bezradnie ręce i powiedziała cicho:

- Kay, czy koniecznie musimy o tym mówić? To mnie tylko jeszcze bardziej przygnębia i boli.

- Ale przecież... przecież nie możesz dopuścić, żeby major uważał cię za morderczynię! Nie! Ja zwariuję, jeżeli zacznę podejrzewać każde z was o zabicie Ivora. Ciebie, Elaine...

- Jak to Elaine? O czym ty mówisz?

- O czym mówię? - powtórzyła jak echo Kay. - Maud... czy mam ci powiedzieć wszystko, co wiem o Elaine? O pewnych rzeczach, z których robi taką samą tajemnicę jak ty?

Na przykład jej suknia... biała wieczorowa suknia, którą miała na sobie wczoraj wieczorem przy obiedzie. Widziałam tę suknię w nocy w pokoju Dona. Była rozdarta od góry do dołu i miała przy dekolcie plamę z krwi... Elaine twierdzi, że stało się to wtedy, kiedy szamotała się z Donem, który chciał ją pocałować. Ale Don kategorycznie zaprzecza... a ja wierzę jemu, nie Elaine!

W oczach Maud, wpatrzonych w siostrę, ukazał się wyraz przerażenia.

- Ale poczekaj! To jeszcze nie wszystko - mówiła dalej podniecona Kay. - Terry widział kogoś w wodzie, płynącego od strony naszej plaży, właśnie o tej porze, kiedy zginął Ivor - kogoś w srebrnym kąpielowym czepku. W czepku Elaine... Ona wypiera się i stanowczo twierdzi, że to nie mogła być ona. Ale Elaine tyle już razy skłamała w ciągu wczorajszego wieczora, że nie ma podstaw jej wierzyć. A to jest ważne! Niesłuchanie ważne. Bo kiedy później obie z Simona znalazłyśmy ciało Ivora, trzymał w zaciśniętej ręce właśnie ten czepok... czepok Elaine.

- Kay!

- O, nie bój się, Maud! Schowałam go, nim go zauważyła Simona, i zwróciłam Elaine. Tylko ja jedna wiem o tym, ale rozumiesz chyba teraz, jaki mam zamęt w głowie. Elaine przeczy wszystkiemu. Przysięga, że nawet jednego słowa nie zamieniła ubiegłej nocy z Ivorem. Kiedy pokazałam jej czepok kąpielowy, oświadczyła, że nawet go nie widziała tego wieczora. Nie mówiła nic poza szeregiem wyraźnych kłamstw. A teraz i ty postępujesz podobnie. Przecież to nie dla siebie chcę wiedzieć prawdę. Wiem, że ciężiej mi będzie, kiedy ją poznam, aniżeli gdybym nic nie wiedziała. Nic nie udało mi się z niej wydobyć, poza szeregiem głupich, niezręcznych kłamstw. A teraz ty robisz to samo. Usiłuję myśleć tylko o was i jak wam pomóc.

Kay przerwała i patrzyła żałośnie na siostrę.

- Maud, kochanie! Nie chcę nawet na moment dopuścić myśli, że ty zamordowałaś Ivora! Albo że to Elaine. Ale nawet gdyby tak było, to wolę usłyszeć najokropniejszą prawdę, wszystko, byle nie ten ciągły stan podejrzeń, niepewności...

Maud schwyciła się kolumnienki łóżka.

- Czy to... co przed chwilą mówiłaś o Elaine, to prawda?

- Oczywiście, że prawda!

- Nie myślałam, że jest aż tak źle - Maud pokiwała smutnie głową. - Miałam nadzieję, że potrafię dać sobie z tym radę sama, ale teraz widzę, że się łudziłam. Musisz mi pomóc, Kay. - Potem dodała z przejęciem: - Musisz mi pomóc ze względu na dzieci! Cokolwiek się stanie, cokolwiek dzieci zrobiły, ja biorę całą odpowiedzialność na siebie. Bo to ja jestem

wszystkiemu winna - moralnie winna. Ja i Gilbert. Gdyby nie my, dzieci nigdy nie spotkałyby na swej drodze Ivora. Tak, masz rację... skłamałam wobec majora Clifforda. Powiedziałam, że widziałam, jak Ivor wsiadł do motorówki i odpłynął. To nieprawda.

Każdy nerw Kay napięty był do ostatecznych granic.

- Czyli, że nie tylko rozmawiałaś z nim na przystani...

- W ogóle z nim nie rozmawiałam. Po prostu doszliśmy razem do przystani i tam go zostawiłam.

- Ale dlaczego?

- Bo gdy doszliśmy na miejsce, zjawił się ktoś trzeci, kto kazał mi odejść, bo chce pomówić z Ivorem w cztery oczy. Więc odeszłam.

- Ale kto? Kto to był, Maud?

Wzrok Maud skierował się na jej splecione ręce; cichym, nieswoim jakimś głosem powiedziała:

- Elaine...

- Elaine?!

- Wysunęła się zza krzaków oleandrów. Widocznie się tam ukryła, czekając na Ivora. Na mój widok bardzo się zmieszła i powiedziała: „Mamo, proszę cię, zostaw nas samych na chwilę. Chcę porozmawiać z Ivorem w cztery oczy”. Wydała mi się bardzo przygnębiona.

Maud zawiesiła na chwilę głos, a później dodała niemal szeptem: - Trzymała w ręce ten zielony notesik. Pamiętnik Rosemary. Wtedy nie wiedziałam, oczywiście, co to było - nie miałam pojęcia, że ci go skradziono - dopiero znacznie później, na przystani, kiedy opisywałaś jego wygląd, skojarzyłam to sobie. Podejrzewałaś, że to Ivor zabrał pamiętnik z twego pokoju, ale to nie on, to Elaine.

Rzeczywiście Elaine, tak samo jak Ivor, widziała wczoraj po południu pamiętnik Rosemary w rękach Kay. Z zakłopotania ciotki i usiłowań ukrycia go, musiała się domyślić, że chodzi tu o jej osobę. A po obiedzie miała aż nadto okazji, by wśliznąć się do pokoju Kay i zabrać pamiętnik.

A więc Elaine przeczytała pamiętnik i w jego świetle ujrzała Ivora takim, jakim był w istocie. Później czekała na niego na przystani. W nocy, w kuchni, przysięgała, że mówi prawdę, całą prawdę, a zupełnie przemilczała ten tak znamieny fakt.

- Kiedy widziałaś Elaine na przystani - pytała gorączkowo Kay - jak była ubrana? W białą wieczorową suknię czy kostium kąpielowy?

- Była w swojej białej sukni, tak jak przy obiedzie.

- A czy suknia była rozdarta?



- Nie.

- A policzek Elaine? Nie był podrapany? Maud zaprzeczyła ruchem głowy.

Tak więc jeszcze jedno kłamstwo Elaine zostało zdemaskowane. Twierdziła, że suknia rozdarła się podczas szamotania z Donem. A tymczasem okazuje się, że podczas jej znamienego spotkania z Ivorem na przystani suknia była nie uszkodzona, a twarz nie podrapana. A przecież przyszła na przystań już po wizycie u Dona, który tymczasem dawno już musiał być po drugiej stronie zatoki u doktora Thorne.

- I ty... ty zostawiłaś Ivora sam na sam z Elaine?

- Cóż innego - mogłam zrobić? Ale po tym, co usłyszałam od ciebie po południu o Ivorze, byłam niespokojna. Nie wróciłam więc wprost do domu, lecz zesłam ścieżką w dół - jak mi się zdawało nie widziana przez nikogo. Nie miałam bynajmniej zamiaru podsłuchiwania, o czym mówią, chciałam tylko porozmawiać o wszystkim z Elaine, jak Ivor odejdzie. Czekałam więc... Czekałam około dziesięciu minut, wreszcie usłyszałam, że motorówka ruszyła, i zobaczyłam, jak kieruje się ku wyspie. Natychmiast wróciłam do przystani po Elaine.

- I co?

- Rozglądałam się na wszystkie strony, wołałam ją kilkakrotnie, ale nigdzie nie było śladu Elaine. - Przez chwilę milczała, słychać było tylko brzęczenie pszczoły za oknem. - Pomyślałam, oczywiście, że musiała pojechać z Ivorem na wyspę, i wróciłam do domu. Byłam bardzo przygnębiona, ale nie chciałam budzić Gilberta, poszłam więc do twojego pokoju, spodziewając się, że cię tam zastanę i że mi pokażesz pamiętnik. Oczywiście, nie było ciebie, więc postanowiłam czekać. Byłam tam jeszcze, kiedy usłyszałam nad wodą głosy i zastałam was wszystkich zebranych na przystani.

Kay słuchała siostry jednym uchem, gdyż wszystko to wydało jej się nieważne - tylko ten epizod na przystani się liczył - a teraz nabrał, w jej oczach niesłychanej, tragicznej wymowy. Elaine pokazuje Ivorowi pamiętnik Rosemary. Wybucho kłótnia. On rzuca pamiętnik z wściekłością w zarośla jukki. Szamotanie. Suknia Elaine rozdarła, twarz podrapana. A później... prawdopodobnie Ivor upadł i uderzył głową o kamień - Elaine w panice, przypuszczając, że Ivor nie żyje, biegnie do domku Dona, ale stwierdza, że go nie ma. Tam się przebiera w kostium kąpielowy, wsuwa włosy pod czepek i wlecze ciało - zwłoki, jak przypuszcza - Ivora przez płytką wodę przy plaży aż do motorówki. Zapuszcza motor i kieruje łódź na środek zatoki.

Kay całą siłą woli usiłowała odpędzić następny obraz, jaki musiał logicznie nastąpić, gdy Elaine szamocąc się z ciałem Ivora usiłuje wrzucić je do wody, za burtę, a wtem Ivor

odzyskuje na chwilę przytomność, słabo się broni, wyciąga rękę i zrywa Elaine czepek z głowy i zaraz potem wypada przez burtę i idzie na dno...

A wreszcie, straszliwie jasno, ostatnia scena z tej okropnej tragedii. Elaine skacze z łodzi do wody i odpływa, przerażona swoim postępkiem. Dopiero po chwili uprzytamnia sobie, iż zostawiła niebezpieczną poszlakę... czepek kąpielowy... Płynie więc z powrotem na wyspę, by odzyskać go za wszelką cenę.

- Nikt nie wie, że Elaine była na przystani - powiedziała cicho Maud - nikt poza tobą i mną. I nikt nie może się o tym dowiedzieć... nikt!

Ze ściśniętym sercem Kay odgadywała, co się dzieje w duszy siostry. Czuła jej bezgraniczną macierzyńską lojalność i niezłomne postanowienie, by nieść wspólnie z dziećmi ich brzemię - a teraz pełne udręki podejrzenie, że jej córka mogła dopuścić się podobnej zbrodni.

- Nie miałam jeszcze siły, żeby porozmawiać z Elaine, Kay. Ale zrobię to, mam prawo dowiedzieć się, jak było naprawdę... Teraz jednak rozumiesz, dlaczego skłamałam przed majorem Cliffordem i dlaczego zgadzam się, żeby myślał o mnie, co tylko mu się podoba. Raczej to, aniżeli miałby dowiedzieć się prawdy!

Kay położyła rękę na ramieniu siostry.

- Cokolwiek postanowisz, Maud, pamiętaj, że zawsze stoję przy tobie. Możesz na mnie liczyć.

Maud smutno się uśmiechnęła.

- Bardzo mi przykro, że stawiam cię w takiej sytuacji - powiedziała. - Rozumiesz przecież, że zatrzymując to wszystko do własnej wiadomości, łamiemy prawo.

- Czy myślisz, że to dla mnie ważne?

- Byłoby bardzo ważne, gdybyśmy nie łamały tego prawa w sposób korzystny dla nas. W przeciwnym bowiem razie, to znaczy, jeżeli popełnimy jakąś omyłkę, to i Elaine, i my wszyscy znajdziemy się w stokroć gorszym położeniu aniżeli teraz.

- Rozumiem i to także - szepnęła Kay i dodała niepewnym głosem: - Ale co powinniśmy teraz zrobić?

- Przede wszystkim zniszczyć pamiętnik Rosemary. Major Clifford, jak dotąd, wie tylko jedno: Elaine miała wyjść za Ivora, a my wszyscy bardzo się z tego cieszyliśmy. Tak długo, jak długo nie przeczyta pamiętnika, niema powodu nas podejrzewać.

Rzeczywiście, to było całkiem rozsądne.

- I uważasz, że powinniśmy pozbyć się pamiętnika zaraz?

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Tu, w pawilonie?

Oczy Maud pobiegły do kominka.

- Nie. Musimy go spalić, a tu zostałyby ślady. Wyjdziemy na dwór, znam tu jedno odpowiednie miejsce.

Maud ruszyła ku drzwiom. Idąc za nią, Kay przypomniała sobie teczkę z papierami, tkwiącą ciągle jeszcze pod materacem. Jeżeli wyjmie ją teraz, Maud zacznie się dopytywać i cała sprawa z Gilbertem wyjdzie na jaw - i a tak mu zależało na tym, żeby wszystko stało się bez wiedzy Maud. Z drugiej strony, o ile teczka zostanie tu, może ją łatwo znaleźć policja. Maud zatrzymała się chwilę przy” drzwiach.

- Musimy się pospieszyć, kochanie. Jak major przyjdzie i nie zastanie nas w domu, będzie głupia sytuacja.

Kay powzięła szybko decyzję.

W tej chwili najważniejsze jest zniszczyć pamiętnika a skoro się to już stanie, wróci tu pod jakimkolwiek pretekstem i zabierze teczkę. Przeszły salonik i wyszły przez drzwi na wyłożony płytami taras nad przystanią.

- Ukryłam swój kajak w małej zatoczce za wzgórkim - powiedziała Maud, spoglądając przez pusty pas wody w stronę „Sztormu”. - Gdyby nawet major Clifford niespodziewanie się tu zjawił, to na pewno nie od tej strony. W górze nad pawilonem jest mała polanka, gdzie często urządzaliśmy pikniki. Tam będziemy bezpieczne.

Obeszły dokoła dom i zaczęły się wspinać wąską ścieżką w górę wśród skarłowaciałych drzew cedrowych. Kay szła za Maud, aż dotarły do małej polanki, jak gdyby zawieszonej nad szafirową wodą. Gęste, wysokie krzaki przysłaniały częściowo widok całej zatoki, widać było tylko fragmenty, podczas gdy od tyłu zielony gąszcz stanowił naturalny mur. Maud z twarzą bladą i pełną napięcia rzuciła okiem ku „Sztormowi” widocznemu wśród białych kwiatów jukki.

- Tu będzie dobrze, Kay. Ta ścieżka biegnie dalej w dół, aż do krańca wyspy, na wprost domu doktora. Od tej strony nikt nie nadejdzie.

Odwróciła się i trochę teatralnym ruchem wyciągnęła rękę do siostry.

- Daj mi pamiętnik. Podrzemy go i spalimy. Mam ze sobą zapalki.

Kay wyjęła z torebki zielony notesik i podała siostrze. Maud otworzyła go, rzuciła okiem na jedną ze stron i chwilę czytała z zaciśniętymi ustami. Wolno zamknęła go z powrotem i oderwawszy zieloną skórzaną okładkę, podarła ją na pasy i rzuciła na ziemię. Powoli, z zastanowieniem zaczęła wyrywać stronę po stronie i dorzucać do leżących już na

ziemi kartek. Gdzieś niedaleko zatrzeszczała gałązka. Kay zaledwie zdała sobie z tego sprawę, gdyż cała jej uwaga skupiona była na Maud.

- Prędko, Maud. Jeżeli będziesz się tak guzdrała, to nie zrobimy tego nawet do jutra. O, daj to lepiej mnie...

Zrobiła krok naprzód - wyciągnięta ręka sięgnęła po pamiętnik. Gdzieś niedaleko znowu zatrzeszczała gałązka.

Oczy jej przypadkiem przeniosły się z twarzy siostry na lukę między krzakami; ręka jej opadła.

U wylotu ścieżki stało dwu mężczyzn. Jednym był doktor Thorne, w białym letnim garniturze, a drugim - potężny, barczysty, niesłychanie realny major Clifford we własnej osobie!

## **Rozdział 12**

„No, to już koniec!” - pomyślała Kay.

Major Clifford spojrzał spod krzaczastych brwi na pamiętnik Rosemary w rękach Maud, a później przeniósł wzrok na kupkę podartych papierów u jej stóp.

- No, no! - powiedział. - A to niespodzianka!

Kay napotkała wzrok doktora Thorne. Jego opalona twarz o szczupłych policzkach, spokojnym wyrazie ust i ciemnych, trochę ironicznych oczach, wyrażała sympatię i zrozumienie. Potem wzrok jego powędrował z jej twarzy na pamiętnik. Kay popatrzyła również za jego wzrokiem, trzymając się desperacko nadziei, że Maud jakoś potrafi wybrnąć z sytuacji i ukryć dzienniczek przed oczami majora.

Stanowczym głosem major Clifford wyciągnął w stronę Maud wielką rękę i powiedział:

- Skoro pani miała zamiar spalić ten notesik, to widocznie jest pani niepotrzebny. Może więc mogę ja go otrzymać?

Maud, zupełnie spokojna, z niezmaconą pogodą zrobiła krok naprzód i podała mu pamiętnik.

- Winne mi są panie wytłumaczenie - mówił major. - Wczoraj wieczorem wyraźnie zapowiedziałem, że nikomu nie wolno przebywać na wyspie bez mojego zezwolenia. Co panie tu robią?

Z mocno bijącym sercem Kay spojrzała rozpaczliwie na: siostrę. Wargi Maud rozchyliły się w uprzejmym, światowym uśmiechu.

- Wiem, że nie powinnyśmy tu być, panie majorze - powiedziała. - Ale wytłumaczenie jest całkiem proste. Aż do wczoraj w pawilonie mieszkał mój syn, Terry. Kiedy wieczorem

Ivor wyraził chęć przenocowania tutaj, nie było już czasu na zabranie osobistych rzeczy mojego syna. Biedak nie ma co na siebie włożyć, wobec czego zdecydowałyśmy się z siostrą przywieźć mu jakąś koszulę i szorty.

Kłamstwo to, brzmiące tak prawdopodobnie i niewinnie, mogła wymyślić tylko Maud, i zapewne sama prostota tych słów zachwiała trochę pewność siebie majora Clifforda. Widać było, iż w gruncie rzeczy jej nie wierzy - ale; nawet cień prawdopodobieństwa, że powiedziała prawdę, uniemożliwił mu zaprzeczenie. Odchrząknął więc tylko, po czym wyjął pamiętnik spod pachy i spojrzał nań jeszcze raz.

- Może w takim razie zechce mi pani wytłumaczyć, dlaczego zaczęła pani niszczyć ten notesik, skoro pani tu przyjechała wyłącznie po koszulę dla syna?

- O, to po prostu coś, co nie chciałam, aby wpadło w ręce moich dzieci - odpowiedziała bez namysłu Maud.

Łagodna niewinność, z jaką wypowiedziała to drugie,; poważne kłamstwo, była zdumiewająca, aczkolwiek nie zdawała się wywierać specjalnego wrażenia na majorze. Nie spuszczać ani na chwilę oczu z jej twarzy powiedział:

- Ja jednak nie jestem dzieckiem, pozwoli więc pani że rzucę okiem do środka?

- I ja tak sędzę, panie majorze... Terry musi mieć przecież coś do włożenia.

- W takim razie obaj z doktorem będziemy paniom towarzyszyć.

I wszyscy czworo skierowali się w stronę pawilonu Ivora.

Od momentu pojawienia się majora Clifforda Kay zrozumiała, że jej główny cel przybycia na wyspę całkowicie spalił na panewce. Nie miała żadnej szansy wydobywania spod materaca papierów Gilberta. Pocieszała się tylko myślą, że może nadarzy się sposobność, dostania się tutaj później, nim jeszcze policja dokładnie go przetrząśnie.

Kiedy z majorem na czele wkroczyli przez salonik do sypialni, pierwsze spojrzenie Kay pobiegło instynktownie do łóżka. Chwała Bogu, Maud wygładziła narzutę starannie - nic tu nie mogło budzić podejrzeń.

Major podszedł do stojącej w rogu mahoniowej komody i przy stojącej obok niego Maud zaczął wysuwać jedną po drugiej szuflady przyglądając się spod krzaczastych brwi starannie poukładanej bieliźnie. W oczach jego igrał teraz wyraz prawie figlarny. Uroczyście wyciągnął z szuflady białą koszulę i granatowe szorty.

- Jak się pani podoba taka kombinacja? Pani lepiej ode mnie zna gust syna. Czy trochę nie za konserwatywny taki wybór? Jak pani sądzi?

### **Rozdział 13**

Doktor Thorne przywiózł majora na wyspę małym, tęponosym pontonem, który przycumował na najdalszym cyplu wyspy. Tam też prowadził je teraz Clifford z uroczystą, troskliwą miną niańki, której powierzono opieki nad niegrzecznymi dziewczynkami.

Kiedy już byli na miejscu, major ulokował Maud i Kay na rufie, sam zaś rozsiadł się w środku. Doktor Thorne przycupnął na dziobie i major zaczął energicznie wiosłować w kierunku lądu i „Sztormu”.

Nikt nic nie mówił, podczas gdy łódeczka posuwała się wolno ku małej przystani Ivora. Maud, z twarzą spokojni jak zawsze, trzymała troskliwie na kolanach ubranie Terry’ego, jak gdyby to była lalka z gałganków. Doktor Thorne wyjął paczkę papierosów i poczęstował je obie. Maud odmówiła, ale Kay skorzystała z zaproszenia dziwiąc się w duchu, że ma chęć na palenie w takiej chwili.

Sapiąc ze zmęczenia, major ostatni raz z wysiłkiem uderzył wiosłami i łódź dobiła do pomostu. Pierwszy wyj skoczył doktor Thorne i pomógł paniom wysiąść.

Major przyłączył się do tej trójki i kroczył pomostem z uroczystą miną kogoś, kto sam wystarczy za całą procesję.

Kiedy zbliżyli się do niewysokich nadbrzeżnych skał nad plażą, podbiegł do majora od strony domku Dona jakiś człowiek. Był to ów tubylczy policjant, który tak pospiesznie oddalił się ze swego posterunku rano.

- Szukam pana wszędzie, panie majorze - powiedział. - Byłem nawet u pana w domu, ale już pana nie zastałem. Chciałem coś powiedzieć. - Ciemne oczy policjanta spojrzały pytająco na Maud, a potem na Kay. - Czy mogę z panem pomówić?

- Mielicie polecenie pilnować plaży, Masters - powiedział surowo major. - Nie powinniście byli schodzić ani na chwilę z posterunku. - Następnie major zwrócił się do doktora:

- Może pan zechce odprowadzić panie do domu, doktorze. Zaraz się tam zjawię.

Po tej odprawie zwrócił się znowu do policjanta. Reszta posłusznie ruszyła w stronę domu drogą obsadzoną tamaryszkami. Z nagłym zaniepokojeniem Kay przypomniała sobie słowa Dona, że widział, jak policjant opuścił plażę i pospiesznie zaczął pedałowac na rowerze, jak gdyby odkrył coś ważnego.

Cała trójka weszła na taras, ozdobiony donicami kwitnących różowych kamelii, a później przez otwarte drzwi do domu. Zachowywali tak kompletne milczenie, że siedzący - w saloniku na - kanapce Elaine i Don nie usłyszeli nadchodzących. Dopiero gdy Maud zjawiła się na środku pokoju, oboje młodzi zmieszani zerwali się z miejsca.

Twarz Elaine była blada i zdeterminowana, a czerwona pręga na skroni wyraźniej jeszcze odbijała od bladego, gładkiego policzka. Don był najwidoczniej zły i znępany. Minę miał bardzo zaskoczoną. Nie dalej jak przed godziną Kay radziła Donowi, żeby starał się nakłonić dziewczynę do wyznania mu całej prawdy. Wówczas wydało się jej to czymś całkiem naturalnym. Teraz jednak, kiedy dowiedziała się od Maud może częściowej tylko prawdy, bała się spojrzeć na Dona. Ale gorące oczy młodego sternika wyrażały raczej irytację aniżeli strach. Kay była prawie pewna, że nie udało mu się nic wydobyć z Elaine.

- Jak się masz, Tim! - zawołał Don na widok doktora. - A co z majorem? Kiedy się tu zjawi?

- Major już jest i za chwilę tu będzie.

Drzwi prowadzące do hallu otworzyły się i zjawiała się w nich Simona. Wszelkie ślady histerycznego wybuchu poprzedniej nocy zupełnie zniknęły - wyglądała jak zawsze pięknie i egzotycznie - w białych spodniach i bluzce w białe i zielone pasy.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziała. - Elaine, poszłam do domu, żeby sobie przynieść coś do przebrania się, i zastałam tam twój rower, skorzystałam więc i wróciłam na rowerze. Chyba się nie gniewasz, że bez pytania? - Nagle zauważyła doktora i urwała z cichym okrzykiem: - Och!

- To ja pojechałam do domu państwa na rowerze Elaine - powiedziała Kay.

- Pani? A to dlaczego?

W tej chwili w drzwiach od tarasu stanął Terry. I jego: twarz była blada i przygnębiona.

- Major już tu jest - powiedział. - Widziałem go na przystani.

Maud podeszła do niego i wręczyła mu koszulę i szorty.

- Terry - powiedziała - masz tu trochę swoich rzeczy. Pomyślałam, że będą ci potrzebne.

Terry spojrział na Maud bezmyślnie, przeniósł następnie wzrok na doktora i powiedział:

- Aha, b...ardzo ci dziękuję, mam.

Wszyscy stali w nastroju napiętego oczekiwania, jak aktorzy na scenie czekający na podniesienie kurtyny - było to czekanie szarpiące nerwy. W każdym razie to, co policjant miał do powiedzenia majorowi, trwało dość długo.

Nagle wszyscy zeszywnieli na nowy odgłos, który się powtórzył dwukrotnie - cichy brzęk kół.

Raptem drzwi hallu otworzyły się i do pokoju wjechał inwalidzki wózek, kierowany przez Gilberta. Pierwsze jego spojrzenie przeznaczone było dla Kay. Leciutko zaprzeczyła głową, dając mu do zrozumienia, że jej misja nie powiodła się, i natychmiast skierowała wzrok w inną stronę, bo tuż za nim weszła do pokoju Alicja Lumsden - jej przenikliwe oczy zauważyły wymianę spojrzeń między Gilbertem a Kay i zwęziły się podejrzliwie. Pielęgniarka miała na sobie nadal swój biały strój - zaszła w niej jednak jakaś zmiana. Zniknął dawny wyraz dyskrecji i subordynacji, a zastąpiła go arogancja i pewność siebie. Kay domyśliła się od razu, że Gilbert musiał jej już powiedzieć o fantastycznym dziedzictwie i Alicja Lumsden, zdaje sobie sprawę, że stała się triumfującą posiadaczką „Sztormu”.

- Dlaczego właściwie wszyscy tutaj tkwimy? - odezwała się nagle Elaine. - Ja wychodzę, żeby zaczerpnąć powietrza.

Doktor Thorne spojrzał na nią i powiedział łagodnie:

- Niestety... bardzo mi przykro, ale nikt z państwa nie może na razie opuścić tego pokoju. Major Clifford pragnie mówić ze wszystkimi.

Równocześnie rozległy się na tarasie sprężyste kroki i potężna postać majora Clifforda stanęła w drzwiach, blokując cały widok. Zrobił jeszcze krok i znalazł się w salonie.

Stanąwszy umyślnie w takim miejscu, że mógł widzieć wszystkich obecnych w pokoju, skrzyżował potężne ramiona na piersiach i patrzył na nich.

- Zdaje się, że wszyscy państwo zebraliście się tutaj w komplecie - rzekł. - To dobrze. - Gdy przestał mówić, zalany słońcem pokój pogrążył się w głębokiej ciszy, a podczas tej przydługiej pauzy niepokój wywołany zjawieniem się majora zdawał się wzrastać coraz bardziej.

Kiedy napięcie osiągnęło już szczyt, powiedział:

- Chciałbym, żeby wszyscy potwierdzili mi jeszcze raz swoje wczorajsze zeznania co do jednego szczegółu. Jaka już państwo wiedzą, ja osobiście twierdzę, że atak na pana Drake miał miejsce na plaży albo w pobliżu plaży. I dalej: że jego ciało wleczone było po piasku do wody. Wczorajszej nocy wszyscy państwo twierdziliście zgodnie, że nikt z was nie był na plaży wieczorem, po obiedzie?

- Czy wszyscy państwo nadal podtrzymujecie to zeznanie?

Nikt się nie odezwał. Elaine strząsnęła popiół z papierosa na popielniczkę - Maud spojrzała na Terry'ego i natychmiast odwróciła oczy w inną stronę. Major zaś ciągnął dalej z naciskiem:

- A więc mam rozumieć, iż wszyscy państwo nadal twierdzicie, że nikt z was po obiedzie nie przebywał na plaży?



- Tak - Ja w każdym razie na pewno nie byłam - powiedziała cicho Maud. - I jestem przekonana, że nikt inny z naszej rodziny.

- Doskonale! - Owo „doskonale” zabrzmiało jak ostateczny wyrok. Miało się wrażenie, iż major osiągnął już swój pierwszy cel i odtąd nic już nie jest w stanie przeszkodzić mu w osiągnięciu i ostatecznego. Rozejrzał się po twarzach wszystkich zgromadzonych, a charakterystyczny, pełen zadowolenia uśmiešek nie znikął mu z warg. Nagle spytał krótko, zupełnie nieoczekiwanie:

- Czy któraś z obecnych tu pań miała na sobie wczoraj wieczorem suknię... hm... zdaje się jedwabną. Powiedzmy, że jedwabną atlasową suknię?

Rozległ się suchy trzask, kiedy ręka Dona, starającego się uchwycić brzeg stolika, strąciła na ziemię szkatułkę z papierosami. Kay poczuła zawrót, głowy.

- Owszem - powiedziała, jak mogła najspokojniej - ja miałam wczoraj wieczorem białą suknię.

Major Clifford tymczasem sięgnął do kieszeni, do której wsunął przedtem pamiętnik Rosemary. Z nagłym przerażeniem Kay pomyślała, co się stanie, jeżeli major zwróci się teraz do Elaine z tym pamiętnikiem. Ale major po krótkiej chwili wyciągnął rękę z kieszeni, bez pamiętnika.

- A więc tylko pani, panno Winyard, miała wczoraj wieczorem na sobie białą jedwabną suknię?

Niespodziewanie rozległ się ostry, wyzywający głos Alicji Lumsden:

- Elaine! Dlaczego pani nie powie panu majorowi, że i pani także miała wczoraj białą atlasową suknię? Chyba pani nie zapomniała?

Zdumiewające było, jak te dwa zdania, wypowiedziane przez pielęgniarkę przechyliły nagle szalę uwagi w innym kierunku. Wszystko skoncentrowało się nagle na osobie Elaine - nawet major zdawał się zapomnieć o Kay, zapatrzony teraz przenikliwie w jej siostrzenicę.

- Panno Chiltern, czy to prawda?

Elaine powoli zgasła papierosa w popielniczce i uniosła, w górę twarz ściągniętą cierpieniem.

- Tak. To prawda. Miałam wczoraj wieczorem na sobie białą suknię.

- I nadal twierdzi pani, że ani panna Winyard, ani pani sama nie byłyście po obiedzie na plaży?

- Ja na pewno nie byłam - powiedziała szybko; Elaine, podnosząc na majora oczy.

- I ja także nie - dodała Kay.

Potężna postać majora zdawała się jeszcze rosnąć i dominowała teraz nad wszystkimi w pokoju.

- Może zatem będą panie tak dobre i przyniosą mi obie te suknie. Pani, panno Winyard! Mogę panią prosić?

Kay nie była w stanie wydobyć z siebie głosu - bez przerwy miała tylko przed oczami pokój Dona i jego samego, trzymającego w ręku rozdartą suknię Elaine z krwawą plamą przy dekolcie... i później... udręczoną twarz Dona, kiedy jej powiedział, że nie może odnieść Elaine jej sukni, bo ją zniszczył.

- A pani, panno Chiltern? - zwrócił się major z kolei do Elaine. - Może i pani zechce mi również przynieść swoją.

Don zrobił krok naprzód i raptem przystanął. Jego nieładna, lecz pełna wyrazu twarz stała się nagle biała jak płótno, a wyraz przerażenia, jaki Kay widziała na niej dzisiejszej nocy, pojawił się znowu. Kay wiedziała, że i on zdaje sobie sprawę z tego, że niszcząc suknię Elaine wydał ją na pastwę majora Clifforda.

- No? Panno Chiltern?... - powtórzył major. - Czekamy!

Elaine spojrzała na niego półprzymkniętymi oczami.

- Ja... ja bardzo przepraszam... ale ja jej nie mogę pokazać... już jej nie mam.

Major jednak był nieustępliwy.

- Jak to? Nie rozumiem! Dlaczego pani nie ma sukni, panno Chiltern?

- Bo... bo moja suknia zginęła gdzieś... Już panu powiedziałam, że jej nie mam. Ja...

- Aha! Rozumiem! Chce pani powiedzieć, że ją pani zniszczyła. A zniszczyła ją pani dlatego, że była rozdarta i nie nadawała się już do użytku, prawda?

Major zrobił krok naprzód, a Kay wyczuła, że oto nadeszła pora, kiedy major wygra swoją atutową kartę.

- Hm, to zaiste bardzo dziwne - powiedział. - Bo właśnie mój człowiek znalazł w krzakach jukki na krańcu plaży to!

Major wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej kopertę, a z koperty biały kawałek atłasu. Rękę z materiałem podsunął przed oczy Elaine.

- Biały atlas - powiedział - kawałek białego jedwabiu, oddarty od sukni ostrymi liśćmi jukki. W tych warunkach trudno pani będzie, panno Chiltern, w dalszym ciągu upierać się przy twierdzeniu, że wczoraj wieczorem nie była pani na plaży, hę?

Elaine patrzyła na niego bez słowa, a major jeszcze raz zanurzył rękę w kieszeni i wyjął tym razem pamiętnik Rosemary.

Skoro już jesteśmy przy identyfikowaniu różnych” rzeczy, to może i to pani pozna, panno Chiltern?

Oczy Elaine spoczęły na pamiętniku i dziewczyna wpatrywała się weń, jak gdyby nagle oślepla. Wydała lekki okrzyk, a okrzyk ten oskarżał ją równie wyraźnie, jak gdyby podpisała zeznania na posterunku policji.

- Tak sobie pomyślałem - uśmiechnął się major. - Panna Winyard powiedziała mi, że nie pokazywała nikomu tego pamiętnika, ale ja od razu podejrzewałem, że to nieprawda.

Kay przez cały czas starała się opanować, a jednak ten mały skrawek jedwabiu w rękach majora był jeszcze jednym dowodem rzeczowym; zdradzał, że Elaine była jednak wczoraj wieczorem na plaży. Stąd już tylko krok do dalszych dedukcji: sprzeczka Elaine z Ivorem, szamotanie, Ivor upada... Elaine ciągnie jego bezwładne ciało przez całą plażę do motorówki.

- Wczoraj wieczorem powiedziała mi pani, że była przez cały czas z bratem na żaglówce - mówił dalej spokojnie major. - Może więc teraz usłyszymy, co pani robiła naprawdę?

Elaine rozchyliła usta, jak gdyby chciała mówić, lecz nagle wtrącił się Don.

- Nic nie mów, Elaine - powiedział stanowczym tonem. - To moja sprawa!

Szybkimi, długimi krokami podszedł do Elaine i stanął zwrócony do niej twarzą. Muskuly szyi nabrzmiały mu niczym sznurki. Dłuższą chwilę stał tak, nie spuszczać; oczu z Elaine, której twarz była teraz przeraźliwie udręczona i półprzytomna. Długie rzęsy drgały, a po chwili opadły na oczy, jak gdyby nie mogła dłużej znieść palącego spojrzenia chłopca.

Gdy wreszcie Don odwrócił się twarzą do majora w oczach jego widniała desperacja, a usta wykrzywił wymuszony uśmiech.

- Co za cel ukrywać dłużej prawdę? - powiedział. - Równie dobrze możemy załatwić sprawę zaraz... jak najprędzej. To ja zabiłem Ivora Drake!

#### **Rozdział 14**

W pokoju zaległa cisza. Wszyscy jak zafascynowani wpatrywali się w młodego sternika. Gilbert pochylił się w swym inwalidzkim wózku i wpił palce w poręcze. Terry i Simona mieli na twarzach jednakowy wyraz niedowierzania i zaniepokojenia.

- Don... nie możesz przecież... - powiedziała ledwie dosłyszalnie Elaine.

- Nic nie mów, Elaine! - powiedział Don, zasłaniając ją sobą przed wzrokiem majora Clifforda.

- No, panie majorze? - spytał. - Co pan ma zamiar ze mną zrobić?

Major muskał ręką krótko przystrzyżone wąsy i powiedział jak gdyby w zamyśleniu:

- To trochę nieoczekiwane, Baird...

- Powinien pan być raczej wdzięczny za pomoc w rozgryzaniu tak cholernie twardego orzecha!

- Może i będę wdzięczny, jeżeli mi pan zechce podać jeszcze kilka drobnych szczegółów...

- Bardzo chętnie. - Don Baird wzruszył ramionami. - Ta książeczka, którą pan ma w ręku - pan wie, co to jest... To pamiętnik Rosemary Drake. Elaine przyniosła mi go wczoraj w nocy. Przeczytałem go... Dawno już wiedziałem, że Ivor Drake to skończona świnią, i uważałem projektowane małżeństwo za tragiczną omyłkę. Po przeczytaniu pamiętnika dowiedziałem się, do czego Drake doprowadził nieszczęsną Rosemary, i pojąłem, że ktoś musi przeszkodzić jego nowemu małżeństwu. Wszystko, co mówię, działo się mniej więcej o jedenastej trzydzięci, kiedy Drake skończył już grać w brydża i poszedł na przystań. Miałem pamiętnik przy sobie. Odesłałem Elaine do domu, a z nim postanowiłem załatwić sprawę po swojemu! Poszedłem więc na przystań i schowałem się w krzakach tamaryszku. Słyszałem, jak Ivor z panią Chiltern nadchodzi od strony domu i jak potem rozmawiają na przystani. Nareszcie motorówka ruszyła - pani Chiltern zawołała jeszcze „dobranoc!” i zawróciła w stronę domu. Wysunąłem się z zarośli i zdążyłem zatrzymać Drake'a w ostatniej chwili. Pamiętnik miałem przy sobie. Wtedy... wtedy... no więc wtedy powiedziałem mu, co o nim myślę i że albo zerwie z Elaine, albo... Przerwał i rozłożył ręce.

- Po co zresztą mówić dalej? Reszty można się domyślić. Obaj wpadliśmy w dziką furję. Dałem mu w szczękę, upadł i uderzył głową o kamień. Byłem pewien, że się zabił, ale nic mnie to wtedy nie obchodziło. Motor w dalszym ciągu pracował. Sam nie wiedziałem, co mam robić dalej. Wreszcie przyszło mi na myśl, że najlepiej zaciągnę go z plaży do motorówki no i... No i... dalszy ciąg już pan sam sobie odtworzył, majorze!

Mimo początkowego szoku Kay ani na chwilę nie wierzyła w to, co mówił Don. Była przekonana, że jedynym jego celem jest chronienie dziewczyny, którą kocha, a która - czego był widocznie całkowicie pewien - po-; pełniła morderstwo.

- Czy pan jest gotów powtórzyć i podpisać swoje zeznanie na posterunku policyjnym, Baird? - spytał major głębokim, ostrym głosem.

- Oczywiście! - odparł bez wahania Don, zwilżając językiem spieczone wargi.

- To bardzo ciekawe - powiedział major i stał dalej z założonymi rękami. - Mam tylko jedno małe zastrzeżenie, a mianowicie, że pańskie zeznania niezupełnie zgadzają się z faktami!... Powiada pan, że motorówka stała na przystani, a motor szedł. Dalej twierdzi pan, że wasza bójka odbywała się również na przystani, a właściwie na pomoście... Dlaczegoż

zatem narażał się pan na kłopoty i ryzyko zaciągnięcia ciała na plażę i holowania go stamtąd wodą do motorówki, skoro przecież o wiele prościej było przenieść je tych parę kroków pomostem aż do samej łodzi?

- Nie... bo ja... ja niejasno się wyraziłem, majorze - zmieszał się Don. - My nie biliśmy się na pomoście, tylko... tylko zeszliliśmy trochę niżej, koło skał nad plażą.

- Aha! Pan przeoczył ten punkt! Doskonale! Ale mamy jeszcze inny niejasny punkt, zdaje się, również przeoczony. - Lekkie zmarszczki otaczające niebieskie oczy majora bardziej się teraz zaznaczyły. - Wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się, że wyszedł pan stąd, z tego domu, około jedenastej, zatem wtedy, kiedy Drake jeszcze grał w brydża. A o jedenastej trzydzięci był pan już u doktora Thorne, gdzie pan bawił dłuższy czas. Jeżeli to jest prawda, to o tej samej godzinie, kiedy był pan u doktora, nie mógł pan zabić Drake'a. Major zwrócił się teraz w stronę doktora. - Jak więc właściwie było, Thorne?

Wszyscy spojrzeli na doktora, którego twarz była dziwnie bierna i obojętna.

- Może Don wie, co robi, bo ja nie - odpowiedział. - I To wszystko, co mówił Baird, jest od A do Z wymysłem. Zjawił się u mnie po jedenastej i siedział do dwunastej. Jest fizyczną niemożliwością, żeby Don zabił Drake'a.

Don spojrział na doktora dzikim wzrokiem i odwrócił się do majora.

- Doktor Thorne kłamie, majorze! Prosiłem, żeby w razie czego mówił, że byłem u niego do dwunastej, a teraz on się tego trzyma, bo jest moim przyjacielem.

- Panu, zdaje się, ogromnie zależy na tym, żeby być uznanym za mordercę, panie Baird - powiedział major z krzywym uśmiechem. - Obawiam się jednak, że trudno panu będzie wmówić we mnie, że urzędowy lekarz sądowy stwarza panu fałszywe alibi i upiera się przy nim wbrew pańskiej woli... Pańskie zeznanie było tylko niepotrzebną stratą czasu - dodał ostrzej. Jego stalowe oczy przeniosły się znowu na Elaine. - Po pierwsze, nie widzę żadnego powodu, żeby pan się miał interesować w ten czy inny sposób małżeństwem panny Chiltern - mówił dalej. - Po drugie, to w niczym nie wyjaśnia zadrapania na twarzy panny Chiltern, tajemniczego zniknięcia jej sukni i wreszcie tego, że kawałek tej sukni znalazł się w krzakach jukki koło plaży.

- Nie rozumiem, co ma piernika do wiatraka! - wybuchnął Don. - Mogła się zadrapać przy byle jakiej okazji... Elaine... Elaine nawet mogła być na plaży! Zgoda! Ale to jeszcze nie dowodzi, że jest zbrodniarką! To nie dowodzi, że... Zresztą, powiedziałem prawdę! Dlaczego nie każe mnie pan aresztować, majorze? Skończmy wreszcie z tym wszystkim!

Major spojrział na Elaine.

- A pani? Jak pani uważa, panno Chiltern? Czy mam kazać aresztować pana Bairda i skończyć z tym wszystkim?!

Don schwycił gwałtownie Elaine za ramię - ona jednak łagodnie się wyswobodziła i powiedziała niemal szeptem:

- Wiedziałam, że pan mu nie uwierzy. On to robił, żeby kryć mnie, bo myśli, że to ja zabiłam Ivora.

Po tych słowach zwróciła się do Dona. Ruchy jej były automatyczne jak u nakręcanej lalki. W miarę jak patrzyła na młodego sternika, rysy jej się odprężyły, miękkie. Oczy na nowo się ożywiły, na wargi wypłynął pełen czułości uśmiech.

- Don chciał wziąć winę na siebie, bo mnie kocha - powiedziała bardzo cicho - i wie, że ja także go Kocham. Dlatego tak strasznie się o mnie boi i myśli, że to ja zabiłam...

Ujęła Dona pod ramię i szepnęła jeszcze ciszej:

- Dziękuję ci, Don, dziękuję z całego serca. - Ale to się na nic nie zda. Czyż nie rozumiesz tego, Kochany?

Powoli oderwała wzrok od Dona, a jej zielone, dziwnie teraz spokojne oczy przesunęły się kolejno po obecnych.

- Wszyscy tu starali się mnie osłonić, panie majorze, i wszyscy kłamali w przekonaniu, że to ja zabiłam. Pan może bierze im to za złe, ale ja jestem im ogromnie, głęboko wdzięczna. Równocześnie cieszę się, że tak się stało, jak się stało, bo tłumienie wszystkiego w sobie, nie wiedząc, jak się zakończy, było już nie do zniesienia.

Gilbert pochylił się gwałtownie w swym wózku i powiedział ostro:

- Elaine! Nie tylko jako twój ojciec, ale jako adwokat ostrzegam cię...

- Dobrze, dobrze, papo! - uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Nic się nie martw! Wszystko jeszcze będzie dobrze. - Znowu odwróciła się do majora. - Pierwszy skłamał Terry, mówiąc, że byłam z nim na żagłówce. A tymczasem ja od obiadu w ogóle go nie widziałam.

Kiedy Elaine tak stała wśród nich w czarnej sukni, - zwrócona do majora, wydawała się dziwnie młoda i piękna z gładką, wspaniałą cerą i chmurą ciemnych włosów: nad czołem. W pewnej chwili spojrzała na mały zielony notesik, który major ciągle jeszcze trzymał w ręku.

- Pan ma pamiętnik Rosemary, majorze. Wie pan zapewne, że to Kay przywiozła go ze sobą na Bermudy. Gdy wczoraj po południu weszłam do jej pokoju, właśnie go przeglądała. Po wyrazie jej twarzy domyśliłam się, że to coś ważnego. Nie mogłam poskromić ciekawości i koniecznie pragnęłam dowiedzieć się, co też to może być. A później... po obiedzie byłam sama na całym piętrze, wśliznęłam się, do pokoju Kay i

znalazłam ten notesik w jednej z szuflad komody. Zabrałam go do swego pokoju i przeczytałam. - Zawahała się chwilę i mówiła dalej lekko łamiącym się głosem:

- Po przeczytaniu zrozumiałam, jak bardzo mnie ta sprawa dotyczy.

Rzuciła krótkie spojrzenie na czujną, zaniepokojoną twarz Dona i ciągnęła dalej:

- Teraz, dla wyjaśnienia, muszę powiedzieć kilka słów o sobie. Przychodzi mi to z wielkim trudem, bo... no, cóż? Był czas, kiedy mi się zdawało, że jestem zakochana w Ivorze. W każdym razie byłam na pewno nim zafascynowana. Był zawsze taki wesoły... błyskotliwy... Możliwe nawet, że nigdy nie zrozumiałabym własnych uczuć, gdyby się tu nie zjawił Don - lekko przygryzła wargi. - Po przyjeździe Dona - mówiła dalej - zrozumiałam, że wszystko, co na początku czułam do Ivora, to nie była miłość. Och, Don nic o tym nie wie! Nigdy słowa mu o tym nie powiedziałam. Przeciwnie... starałam się go unikać, ledwie zamieniałam kilka słów. Bo... bo nie chciałam nawet sama przed sobą dopuścić tej myśli, przyznać się. Postanowiłam bowiem wyjść za Ivora, a nie mogłam przecież być na tyle podła, żeby za niego wyjść, kochając innego.

Spuściła oczy na swoje białe, smukłe palce, a kiedy znów podniosła wzrok, patrzyła nie na majora, lecz na brata.

- Mam wrażenie - mówiła dalej - że wy wszyscy w głębi duszy pogardzaliście mną. Przypuszczaliście, że wychodzę za Ivora wyłącznie dla pieniędzy. Może nawet częściowo mieliście słuszność. Teraz to wszystko wydaje mi się tak skomplikowane, kiedy staram się ułożyć sobie po kolei w głowie. Ale wtedy myślałam, że postępuję słusznie. Wiedziałam przecież, jak ważny jest dla zdrowia papy pobyt na Bermudach. Widziałam, jak życie całej naszej rodziny w mniejszym czy większym stopniu uzależnione jest od Ivora. Czułam, że jeżeli z nim zerwę, to nas wszystkich po prostu stąd wyrzuci. Papa będzie musiał wrócić do... no, więc... Ivor był jedyną ucieczką. Myślałam, jeżeli się zdecyduję... jeżeli za niego wyjdę, to cała moja rodzina nigdy już w życiu nie zazna niedostatku. To mi się wydawało najważniejsze. A to, że nie kocham Ivora... cóż to miało za znaczenie? Ile kobiet wychodzi za mąż bez miłości!

Słuchając tej spowiedzi Kay z głębokim wstydem przyznawała w duchu, że i ona, podobnie jak inni, jak Terry i Simona, posądzała siostrzenicę o tak chytrą grę... „Bogaty mąż - a na boku - gorący wielbiciel”. Elaine zaś mówiła dalej:

- I dopiero wczoraj Don i ja mieliśmy po raz pierwszy okazję do szczerzej rozmowy. Powiedział, że mnie kocha...namawiał do zerwania zaręczyn. Och, było mi bardzo ciężko, ale nie chciałam słuchać, nie chciałam się do niczego przyznać. Po obiedzie nadeszła moja ślubna suknia. Był to jakby punkt zwrotny w moim życiu. Starałam się zebrana siły, myślałam, że

mimo wszystko” dobrnę do tego ślubu. Tak było aż do chwili przeczytania tego pamiętnika... Spojrzała na majora.

- Pan na pewno także go czytał. Rozumie więc pan, cdi musiałam przeżyć... Może ktoś obcy, obojętny, czytając tej zwierzenia, powiedziałby, że pisała to histeryczka, niezupełnie normalna kobieta i że sobie te wszystkie potworności po prostu wymyśliła. A ja... ja nie, bo wszystko, co tam było, brzmiało dla mnie tak prawdziwie! Zobaczywszy to na piśmie, dopiero wtedy zrozumiałam wiele różnych rzeczy dotyczących Ivora, rzeczy, które były dla mnie dotychczas niejasne. Nie, nie mogłam! Za żadne skarby świata!

Zawahała się chwilę - położyła rękę na ramieniu Dona i spojrzała na ojca.

- Możliwe, że powinnam się była przedtem zwrócić do mamy albo poradzić się kogoś mądrego, ale ja... ja myślałam tylko o Donie i o tym, że nie będę już potrzebował przed nim udawać. Zabrałam więc ze sobą pamiętnik i pół szłam do Dona. Powiedziałam mu wszystko. O tym co do niego czuję, dlaczego dotychczas postępowałam tak dziwnie i że nie mogę wyjść za Ivora.

Cała uwaga Kay skupiła się teraz na majorze Cliffordzie! Elaine dochodziła obecnie do wypadków szczególnie znamienitych teraz, po popełnionym morderstwie. Oczy majora były bardzo czujne, bardzo urzędowe:

- Don przeczytał pamiętnik - mówiła dalej spokojnie Elaine - przynajmniej przeczytał tyle, że mu wystarczyło. Zawsze nienawidził Ivora, znał Rosemary od dziecka i już przedtem domyślał się wiele prawdy. Po przeczytaniu pamiętnika wpadł po prostu w furię... Chciał zaraz iść do Ivora i powiedzieć, co o nim myśli. Don...

Urwała nagle, jak gdyby teraz dopiero zrozumiała, że chodzi tu o śledztwo w sprawie morderstwa i że dla majora Clifforda każde jej słowo ma wagę zeznania.

- Ale Don nie zobaczył się z Ivorem - dodała szybko. - Wszystko, co tu przed chwilą powiedział, to oczywiste kłamstwo, mające na celu kryć mnie. Znam go i wiem, jaki potrafi być impulsywny i nieobliczalny, gdy wpadnie we wściekłość. Byłam przerażona na myśl, do czego może dojść między nimi, jeżeli Don w tym nastroju pójdzie na spotkanie. Nim mu wszystko opowiedziałam, zrobiła się już jedenasta, a może nawet później. Ublagałam go więc, żeby poszedł do doktora, z którym się przyjaźni i przy którym byłby bezpieczny przed samym sobą. - Spojrzała na doktora. - I to prawda, panie doktorze? Był u pana przed pół do dwunastej, to znaczy, zanim Ivor skończył brydża. I był cały czas z panem, tak?

Tim Thorne skinął poważnie głową i powiedział:

- To stuprocentowa prawda, Elaine. Nie potrzebuje się pani obawiać, by major chociaż przez chwilę podejrzał Dona o popełnienie morderstwa.



Elaine uśmiechnęła się radośnie, ale po chwili uśmiech jej przygasł.

- Uprosiłam Dona, żeby poszedł, panie majorze, ponieważ postanowiłam sprawę z Ivorem załatwić sama. W cztery oczy. Zdecydowałam się zerwać z nim jeszcze tego wieczora.

- Więc pani widziała się wczoraj wieczorem z Ivorem Drake? - spytał major.

Były to jego pierwsze słowa od chwili, gdy Elaine rozpoczęła swoją spowiedź. Na dźwięk jego niskiego, donośnego głosu uwaga wszystkich skupiła się teraz na nim.

- Tak. Widziałam się - odpowiedziała Elaine, zwracając ku niemu twarz, przy której bladości jeszcze jaskrawiej odbijała szrama. - Tutaj właśnie mama skłamała przed panem. Powiedziała, że poszła z Ivorem aż do przystani i widziała, jak wsiadał do motorówki i odjechał, kiedy w rzeczywistości było inaczej. Na przystani ja czekałam na Ivora z pamiętnikiem Rosemary. Nie spodziewałam się, że będzie z kimś. Zmieszałam się na widok mamy i poprosiłam, żeby zostawiła nas samych... żeby odeszła. Mama zrobiła, o co ją prosiłam.

- Czy tak było? - spytał major, kierując niebieskie oczy na Maud.

- Tak - odpowiedziała Maud, mocno zacisnąwszy wargi.

Elaine zaś dodała szybko:

- Nic może pan robić mamie z tego powodu zarzutu! Wiedziała tylko tyle, że zostałam z Ivorem sam na sam na przystani, a potem pan jej powiedział, że Ivor został prawdopodobnie zamordowany. Czy mogła postąpić inaczej!?

- Niech się pani przestanie na razie zajmować zagadnieniami etyki, panno Chiltern, i wróci do faktów - powiedział major.

- Faktów! - powtórzyła Elaine z wybuchem. - Przypuszcza pan, że się nie domyślam, o jakich „faktach” pan myśli? Ale pan się myli! Owszem... byłam na przystani sam na sam z Ivorem, powiedziałam mu absolutnie wszystko, co sobie uplanowałam, że mam go dosyć, że kocham Dona, że... że jeżeli zechce się mścić na, ojcu, rozgłoszę na cały świat pamiętnik Rosemary. - Elaine wymawiała teraz słowa prawie bez tchu. - Był wściekły! Przede wszystkim był wściekły z powodu zranionej próżności. Nie mógł znieść myśli, że wolę Dona od niego. Reszta obchodziła go znacznie mniej. Nagłym ruchem chciał mi wyrwać pamiętnik, ale udało mi się rzucić go między krzaki jukki. Myślałam, że Ivor zaraz zacznie go szukać, ale tylko odwrócił się na pięcie, skoczył do motorówki, zapuścił motor i odjechał w stronę wyspy.

Patrzyła prosto w oczy majorowi, z wyzwaniem, jak gdyby nie mogła dopuścić do jakichkolwiek wątpliwości z jego strony. Potem odwróciła się z wolna do Dona.

- No, widzisz, Don! Niepotrzebnie się martwiłeś. Sama byłabym ci powiedziała prawdę, ale tak mi było trudno mówić o tym wszystkim.

Stopniowo, powoli, dziki wyraz przygasł w oczach młodego sternika - próbował się uśmiechnąć i cały wyraźnie się odprężył. Jak gdyby w jego świadomości zaczęło nagle świtać, że Elaine nie grozi już tak wielkie niebezpieczeństwo.

Ale niebezpieczeństwo bynajmniej nie minęło. Gdy Kay spojrzała na majora, wyczytała w jego granitowej twarzy głęboki sceptycyzm.

- I to była pani ostatnia rozmowa z panem Drake tego wieczora, panno Chiltern?

- Tak. Już go więcej nie widziałam.

- Wszystko to brzmi bardzo ładnie i logicznie - oczy majora mierzyły Elaine od stóp do głów. - Ale to mi jeszcze nie tłumaczy ani zadrapania na pani twarzy, ani tego, skąd kawałek pani sukni znalazł się na krzaku jukki na plaży...

- Ależ to bardzo proste! - zawołała Elaine. - Kiedy już Ivor odpłynął na wyspę, wróciłam, by odnaleźć pamiętnik. Nie miałam latarki, a światło księżyca tam nie docierało. Zaczęłam szukać po omacku między ostrymi liśćmi. Raz wyprostowałam się szybko i poczułam na policzku ostry ból, to brzeg liścia skaleczył mnie w skroń, a kiedy już odchodziłam, zaczepiłam brzegiem sukni i rozdarłam ją przez całą długość... I to wszystko!

- Rozumiem - głos majora nie zdradził żadnych uczuć. - I długo przebywała pani na plaży?

- Chyba parę minut. - Elaine spojrzała na Maud. - Zaraz po odjeździe Ivora mama wróciła na przystań. Wołała mnie kilka razy, ale ja się ukryłam w zaroślach, bo nie chciałam, żeby widziała, co robię... nie chciałam, żeby się dowiedziała, że ukradłam i przeczytałam pamiętnik.

Ach, więc dlatego Maud nie znalazła Elaine na przystani i doszła do okropnego wniosku, że musieli oboje z Ivozem odpłynąć na wyspę!

- No? A jakie jest zakończenie tej całej historii? - spytał major, nie spuszczać oka z twarzy Elaine.

- Zakończenie? - spytała niepewnie Elaine. - No, tak jak powiedziałam! Doszłam do wniosku, że nigdy nie znajdę pamiętnika bez latarki i że latarka jest na pewno w pokoju Dona. Dona nie było jeszcze w domu. Nie mogłam znaleźć latarki. Czułam się tak strasznie opuszczona, bezradna. Nagle ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie zobaczenia Dona. Wiedziałam, że on na pewno znalazłby pamiętnik. Postanowiłam popłynąć do domu doktora Thorne... to byłby najszybszy sposób zobaczenia Dona.

Zabrałam z przystani swój kostium kąpielowy, przebrałam się u Dona, zostawiając w jego pokoju wieczorową suknię. Skoczyłam do wody z pomostu i zaczęłam płynąć w stronę domu doktora. Nagle usłyszałam na wyspie głosy. Ciekawa, co się tam dzieje, podpłynęłam do plaży, gdzie już byli Kay i Simona. Właśnie znalazły ciało Ivora.

Urwała i dodała szybko:

- To wszystko, co wiem. Oczywiście Don znalazł później u siebie moją suknię... nie miałam czasu wytłumaczyć mu, o co chodzi, a on tymczasem spalił ją, bo myślał... no, przypuszczalnie myślał to samo, co pan, panie majorze!

Kay schyliła głowę, żeby ukryć gwałtowny rumieniec. Wróciła pamięcią do tych koszmarnych chwil na wyspie dzisiejszej nocy, kiedy zobaczyła wyłaniającą się z wody smukłą postać Elaine. Dziewczyna rozglądała - się ostrożnie i uważnie, jak gdyby czegoś czy kogoś szukała. I teraz, jak wtedy, nie miała wątpliwości, że Elaine celowo przyплыnęła na wyspę, spodziewając się, że będzie tam sama - żeby czegoś „szukać”. A jednak... Elaine teraz mówi najspokojniej w świecie, że płynęła do domu doktora Thorne i zmieniła kierunek wyłącznie dlatego, że usłyszała głosy. Kay wiedziała, że to nieprawda. Przypomniała sobie białą bawełnianą piżamę, rozdarty czepek kąpielowy i wyraz przerażenia na twarzy dziewczyny, kiedy wyrwała jej czepek z ręki...

Patrzyła na stojącą przy Donie Elaine. Miała wrażenie, że nawet twarz młodej dziewczyny zdradza, iż kłamie. Z dreszczem niepokoju zastanawiała się, czy major to widzi..

Twarz majora jak zwykle nie zdradzała żadnego uczucia. Po krótkim milczeniu powiedział tylko:

- A więc to byłoby wszystko, co pani ma nam do powiedzenia, panno Chiltern?

- Absolutnie wszystko.

- I gotowa jest pani przysiąc, że Ivor Drake odjechał na wyspę sam i żywy?

- Tak.

- A nie przypuszcza pani, że mógł potem wrócić?

- Na pewno wiem, że nie wrócił - powiedziała szybko Elaine. - Bo gdyby wrócił, musiałabym go usłyszeć i zobaczyć...

- Tak sobie właśnie myślałem. - Major Clifford gwałtownie odchrząknął i powiedział:

- W takim razie, skoro; pani tak twierdzi, musielibyśmy odrzucić teorię, że Drake został zamordowany tu, na stałym lądzie. Musimy znaleźć inne wytłumaczenie śladów na piasku.

- Tak! Tak! - skwapliwie potwierdziła Elaine. - A bez tych śladów nie ma pan przecież żadnego dowodu, że w ogóle popełnione zostało morderstwo...

- No, no, to nie takie proste. Jeżeli wszystko, co pani mówiła, jest prawdą... jeżeli Drake nie został zamordowany tu, na ładzie, to stało się to na wyspie albo w drodze” na wyspę.

Major Clifford rozejrzał się po pokoju, zaszczycając każdego z obecnych uważnym spojrzeniem.

- To całkiem nowa myśl - powiedział powoli. - Interesujące będzie dla mnie skonfrontowanie wszystkich fałszywych zeznań państwa pod tym właśnie kątem widzenia.

### **Rozdział 15**

Pierwszy raz major zdradził się, że doskonale zdawał sobie sprawę z ich kłamstw. Lekko drwiącym tonem dawał do zrozumienia, że kłamstwa te miały zbyt krótkie nogi, ażeby mogły chociaż na chwilę Wprowadzić go w błąd. Sięgnął do ciężkiego łańcuszka ze złota i wyciągnął z kieszeni złoty masywny zegarek.

- Nie widzę powodu, żeby zabierać państwu dłużej czas przed lunchem. Przesłuchanie u koronera wyznaczono na czternastą. Nie potrzebują państwo być wszyscy na nim obecni. Niestety jednak nie obejdzie się bez panny Winyard i panny Morley, które pierwsze znalazły zwłoki. Po lunchu przyślę kogoś po obie panie.

Przy balkonowych drzwiach zatrzymał się jeszcze chwilę i spojrzał przez ramię na Kay.

- Ale nie ma żadnego powodu do niepokoju, proszę pani - dodał. - Ot, po prostu zwykła formalność. Musi pani powiedzieć całą prawdę tylko o okolicznościach znalezienia ciała.

Kay miała przez chwilę wrażenie, że mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Ale, ale! - przypomniał sobie jeszcze major. - Poleciałem Mastersowi, żeby nie opuszczał ani na chwilę posterunku na przystani. Mam nadzieję, że pani i pani siostra znalazły to, po co przyjechały dziś rano na wyspę, bo jeżeli nie, to teraz już może być za późno...

I po tym całkiem już wyraźnym przytyku skinął na doktora i razem wyszli na taras.

Wraz z jego odejściem atmosfera w pokoju, napięta dotychczas jak struna, opadła nagle jak przekłuty dziecinna balonik. Jedyne Don i Elaine - mimo, iż oni właśnie przeszli najcięższą próbę - zachowali jaki taki spokój. Młody sternik ciągle jeszcze miał minę zawadiaki, a twarz dziewczyny była blada i zdeterminowana. W pewnej chwili Elaine, pierwsza przełamując milczenie, odezwała się:

- Mamo... Don i ja chcemy się pobrać możliwie jak najprędzej. Mamy nadzieję, że oboje z papą nie będziecie mieli nic przeciwko temu.

Wszystko było dziś tak nierealne” że to niespodziewanej oświadczenie wydało się całkiem normalne.

- Może to troszkę za szybko - uśmiechnęła się; Maud - ale skoro myślisz, że ci to przyniesie szczęście...

Terry spoglądał niepewnie na Bairda i na siostrę. Simona też na nich patrzyła z uroczystym wyrazem twarzy - i jak Kay zauważyła, bez najmniejszej wrogości. Całkiem nie tak jak wczorajszej nocy, kiedy to gorzko wyrzucała Elaine zdradę Ivora.

Kay zastanawiała się, czy jakiegokolwiek inne zaręczyny? w rodzinie Winyardów były ogłoszone z takim pośpiechem i w bardziej dziwnych warunkach.

Terry szurnął nogami i powiedział:

- No... to chyba wypadałoby pogratulować!

- Pogratulować! - rozległo się od drzwi. - Ivor jeszcze nie pochowany, a on składa siostrze gratulacje z okazji zaręczyn z kim innym!

Alicja Lumsden zrobiła krok naprzód.

- Mam wam wszystkim coś do zakomunikowania - powiedziała.

Maud spojrzała na nią ostro i powiedziała:

- Alicjo...

- Żadne „Alicjo”! - pielęgniarka odrzuciła głowę do tyłu. - Minęły już piękne dni! Nie wiem, czy pan Chiltern zakomunikował już pani tę nowinę? Jestem przekonana, że to wszystkich zainteresuje. Biedny Ivor zapisał mi ten dom w testamencie.

Wyprostowała się dumnie i dodała:

- Zapisał mi „Sztorm” ze wszystkim, co się w nim znajduje. Z tą chwilą wszystko radykalnie się zmieni. Ivor doskonale wiedział, kto jest jego prawdziwym przyjacielem, a ja chcę być godna jego zaufania. Jedno wiem przynajmniej, co zrobię na pewno. Niewątpliwie macie zamiar siedzieć tu w nieskończoność. Otóż nic z tego. Nie jestem tak miłosierna jak Ivor, a w każdym razie nie tak miłosierna, by trzymać pod swoim dachem jego mordercę.

Simona wtrąciła nagle:

- Pani nie ma prawa twierdzić, że ktoś z rodziny Chilternów zabił Ivora.

- Nie mam prawa! - roześmiała się Alicja. Był to śmiech bardzo nieprzyjemny. - Chyba wyraziłam się jasno, prawda? Dopóki policja będzie was potrzebowała, musicie tu siedzieć, ale natychmiast, jak tylko major się z wami załatwi, fora ze dwora! Tylko, o ile się nie mylę, to nie wszyscy, bo jedno z was zostanie na Bermudach, ale pod kluczem, w hamiltonikim więzieniu... czekając na proces o morderstwo!

Zawiesiła na chwilę głos, a oczy jej niesamowicie błyszcząły, gdy kończyła, cedząc słowa:

- A kiedy już do tego dojdzie, wątpię, czy osoba mordercy będzie dla mnie niespodzianką!

Wszyscy patrzyli jeszcze na nią jak urzeczeni, kiedy ostrym ruchem poprawiła swój nakrochmalony czepek i wyszła dumnie z pokoju. Terry spoglądał za nią z otwartymi ustami.

- Papo... czy ona przypadkiem nie zwariowała? Przecież to nie może być prawda!

- Niestety! To zupełna prawda - ręka Gilberta machinalnie wygładzała poduszkę na oparciu wózka. - Przynajmniej jeżeli idzie o testament Drake'a.

- I ona ma prawo tak nas po prostu... wyrzucić? - spytała ze zdumieniem Elaine.

- No, nie tak dramatycznie, kochanie. Ona nie ma jeszcze legalnie prawa do własności tak długo, jak długo testament się nie uprawomocni. Ale jak tylko się uprawomocni... - Wzruszył ramionami.

Terry twarz miał bladą i przygnębioną.

- Czyli... innymi słowy... będziemy musieli wracać do Pittsburga, a ty...

- Terry, drogie dziecko! - powiedziała Maud. - Chyba nie spodziewałeś się, że zostaniemy tu po tym, co się stało! - W głosie jej czuć było lekką wymówkę, ale w spojrzeniu, skierowanym na męża, widać było troskę i niepokój.

- Gilberte, ona już drugi raz napomyka, że wie coś, co obciąża kogoś z nas.

Gilbert poprawił pled, okrywający jego sparaliżowane nogi, i rzekł:

- Moja droga! Jeżeli panna Lumsden coś wie, to niej omieszka donieść o tym majorowi Cliffordowi. A jeżeli nie wie, to nie będzie miała mu nic do powiedzenia. - Oczy Gilberta lekko się zwęziły w kącikach. - No, a ponieważ wszyscy przypuszczalnie mamy czyste sumienia, to nie powinniśmy się martwić! - Spojrzał wymownie na Kay i powiedział: - Kay, droga moja! Czuję się nieco zmęczony. A ponieważ, jak się zdaje, opieki panny Lumsden pozbawiony zostałem na zawsze, może ty zechciałabyś mi pomóc dostać się do mego pokoju? - Ależ, oczywiście, Gilberte!

Kay zrozumiała, że szwagier nie może się doczekać sprawozdania z ранnej wycieczki na wyspę, a dotąd nie było okazji porozmawiać. Podeszła więc do wózka, ale Maud, stojąca bliżej, uprzedziła ją.

- Ja cię zawiozę, Gilberte - powiedziała. - Kay musi być na rozprawie, a ma się jeszcze przebrać przed lunchem. - I nim Kay zdążyła zaprotestować, wytoczyła wózek z pokoju. Kay zobaczyła ich dopiero przy lunchu, który podano w patio. Nastrój przy stole i tak był mało przyjemny, ale znacznie się jeszcze pogorszył, kiedy w ostatniej chwili zjawiła się

Alicja Lumsden. Dawniej jadała w swoim pokoju - teraz jednak, czerwona na twarzy i wyzywająca, w brązowym kostiumie zamiast dotychczasowej bieli zasiadła na pierwszym miejscu, zaznaczając w ten sposób swą nową rolę pani domu.

Jej obecność pełna wrogiego nastroju mogła doprowadzić do rozpacz, ale było coś, co jeszcze bardziej gnębiło Kay. Głęboko osadzone oczy eks-pielęgniarki od czasu do czasu z wyrazem złości przenosiły się z jednej osoby na drugą. Był w tym wzroku wyraz triumfu, równocześnie niepewności, jak gdyby dla potwierdzenia jej teorii brakowało jej jeszcze jakiegoś małego fragmentu, jakiegoś szczegółu, który - jak się tego spodziewała - wpadnie w jej ręce, jeżeli będzie bacznie wszystko obserwowała.

Dopijali właśnie kawę, kiedy zjawił się sierżant o grubym, czerwonym karku, żeby zabrać Kay i Simone na rozprawę.

Udali się na mały posterunek policji - w podwójnym powozie z daszkiem, chroniącym „od słońca. Gdy jechali białą wijącą się drogą, spoza krzewów oleandrów przypatrywały im się małe, ciemnoskóre dzieci z otwartymi ustami.

Pod przewodnictwem imponującego majora Clifforda w roli sędziego, grono sztywnych, wyglądających na Anglików sędziów przysięgłych przypatrywało im się z nie ukrywaną niezyczliwością, spod której wyraźnie przebijała podejrzliwość. Podczas krótkiego, ściśle rzeczowego przesłuchania Kay, Simony i doktora, wrogość przysięgłych zdawała się wzmacniać. W końcu zapadło orzeczenie tymczasowe - do czasu wyników dalszego śledztwa.

Razem z Kay i Simona przyjechał do „Sztormu” major Clifford i zaraz udał się do pokoju Gilberta, z którym jako adwokatem Ivora, miał wiele do omówienia i do przejrzenia w papierach zmarłego. Kay znów nie znalazła okazji porozmawiania ze szwagrem, wobec czego poszła do siebie przebrać się, a następnie przyłączyła się do siedzących na tarasie Maud, Elaine i Dona. Cała trójka siedziała w milczeniu i wpatrywała się w morze.

Po południu pogoda zaczęła się psuć. Słońce przygasło na horyzoncie gromadziły się ciemne chmury. Powietrza stało się ciężkie i jeszcze bardziej upalne; wszystko zapowiadało burzę. Czas włókł się leniwie. Po chwili przyłączyli się do nich Simona i Terry - ale rozmowa jakoś się nie kleiła. To milczenie, wówczas kiedy było tyle do omówienia, wywierało przygnębiające wrażenie. Kay rozmyślała nad tym, co zaszło między Gilbertem a majorem, i marzyła żeby znowu zdarzyła się okazja wyprawy na wyspę po dokumenty znajdujące się w pokoju Ivora.

Z miejsca, gdzie siedzieli, mogli widzieć tylko przystań i uprzytomnić sobie od czasu do czasu, jak bardzo obecna sytuacja daleka była od pomyślnej - widzieli przeblyski białego

korkowego hełmu konstabla Mastersa, kiedy spacerował tam i z powrotem po pomoście. Dalej za nim jakiś człowiek wiosłował sobie w malej łódce koło przystani na wyspie.

Czy to był także policjant?

Chmury na horyzoncie stawały się coraz groźniejsze - przybrały kolor ciemnoślwiwkowy, a duszne, popołudniowe powietrze wisiało nieruchomo, bez najmniejszego nawet powiewu, budząc grozę i niepokój.

Nadciągała burza... i to nie była jaka...

Około godziny szóstej major Clifford wyszedł z biblioteki na taras, trzymając pod pachą okazałych rozmiarów teczkę. Po kilku krótkich słowach pożegnania znikł im z oczu za gęstymi krzakami hibiscusa. Wkrótce wytoczył się za nim na taras wózek Gilberta. Gilbert był bardzo blady i zmęczony.

- Wiele gadania o niczym - mruknął pod nosem, a później spojrzął z niepokojem na Kay i powiedział: - Partyjka backgammona dobrze by mi zrobiła i pomogła zapomnieć o szanownym majorze. Co powiesz na moją propozycję, Kay? - Kay szybko się zgodziła, wytoczyła wózek z dusznego tarasu, przez salon, a potem korytarzem do biblioteki. Drzwi biblioteki były uchylone. Gilbert pochylił się i pchnął je silnie, a Kay wtoczyła wózek do pokoju.

W bibliotece Kay zobaczyła kościstą postać Alicji Lumsden, pochyloną nad niską kanapką w rogu pokoju. Gdy weszli, szybko ukryła coś pod poduszkami i odwróciła się gwałtownie w ich stronę. Kay była zaskoczona jej wyrazem twarzy. Alicja była wyraźnie podniecona. Przez chwilę stała w miejscu, patrząc na nich wyzywająco i oddychając szybko, jak gdyby biegła. Potem bez słowa minęła ich i wyszła, zamykając starannie za sobą drzwi.

- Jak ci się zdaje, Gilberte... co ona mogła tu robić? - I spytała Kay.

Gilbert wzruszył ramionami.

- Hm... bo ja wiem. Wyglądało, jakby chciała coś schować pod poduszkę na kanapie.

Kay podeszła do kanapki zarzuconej cytrynowożółtymi poduszkami i odsunęła je na bok. - Na samym spodzie leżała jasnozielona poduszka w ciemniejsze zielone pasy; Kay podniosła ją, spodziewając się znaleźć coś pod spodem. Ale pod poduszką nic nie było. Odwróciła się znowu do Gilberta, trzymając poduszkę - w ręce - poduszka była wilgotna i trochę poplamiona.

- Nic tu nie widzę - powiedziała - zupełnie nie rozumiem, o co jej chodziło. Miała taką minę, jak gdyby wpadła na coś ważnego.

- I prawdopodobnie wpadła. - Uśmiech Gilberta był trochę zmęczony. - Ale co to nas w końcu obchodzi? Nic na to nie poradzimy! Zabierzmy się lepiej do gry.



Pokryty szarym suknem stół do kart stał pod niskim oknem, wychodzącym na podjazd i grupę ciemnych cedrów. Rozłożyli przed sobą w milczeniu drewniane pudło do gry i wyjęli błyszczące, dwukolorowe krążki. Nadciągająca burza pogrążyła bibliotekę w przedwczesny mrok,” tak że Kay musiała zapalić stojącą lampę.

- Zdaje się, iż zapowiada się nielecha burza - mruknął pod nosem Gilbert.

Następnie, kiedy rzucili kości o pierwszy ruch, spojrzął na szwagierkę, a jego szczupłą, arystokratyczną twarz okraślił trochę ironiczny uśmiech, jak gdyby kpił sam z siebie.

- Nareszcie sami, Kay! - powiedział. - Domyślam się, że nie udało ci się odszukać papierów.

Gilbertowi przypadł pierwszy ruch, tak że nie czekając na odpowiedź, zaczął posuwać krążki. Prowadzili grę dalej, usiłując zbagatelizować doniosłość całego zagadnienia z papierami, podczas gdy Kay, grając, opisywała mu dokładnie przebieg rannej wycieczki.

Sprawozdanie zakończyła słowami: - Strasznie cię przepraszam, Gilberte, ale wydaje mi się, że tak było najlepiej. Gdybym nie ukryła teczek pod materacem, major byłby mnie schwytał na gorącym uczynku z teczką w ręce. Zabrałby mi ją niewątpliwie.

- Doskonale cię rozumiem, moja droga - odpowiedział. - Az mojej dzisiejszej rozmowy z majorem wywnioskowałem niemal z całą pewnością, że nie znalazł tych papierów - przynajmniej jeszcze ich nie znalazł. A to już coś!

Głos jego brzmiał obojętnie, jak gdyby cała sprawa przestała go nagle interesować. Chwilę siedział pogrążony w milczeniu, patrząc w okno za podjazd, hen, ku kępie cedrów, coraz ciemniejszych w gęstniejącym mroku.

- To, co nam dzisiaj opowiedziała Elaine - odezwał się nagle - było dla mnie głębokim wstrząsem, Kay. Cały czas byłem przekonany, że jest szczerze zakochana w Ivorze. Nigdy mi nawet do głowy nie przyszło, że ponosi tę ciężką ofiarę dla mnie i mojego zdrowia. Jak mogłem być tak zaślepiony!

- W dzisiejszych czasach dzieci w ogóle niewiele mówią rodzicom - powiedziała filozoficznie Kay. - To już taka zwykła kolej rzeczy.

- Ładna kolej rzeczy! - Gilbert roześmiał się gorzko. - Nie bardzo przyjemna, skoro doprowadza do morderstwa!

- Morderstwa? Ależ dzisiaj rano sam mówiłeś, Gilberte, że najprawdopodobniej chodzi o tragiczny wypadek!

- Owszem, powiedziałem tak, bo rozpaczliwie czepiałem się tej możliwości. Teraz już nie mam żadnej nadziei bo wszyscy tak się straszliwie w to uwikłaliśmy!

Gilbert siedział pochylony nad stolikiem, zupełnie zapomniawszy o grze.

- Widzisz, Kay... - powiedział. - Kocham Elaine nad wszystko na świecie. Kochałem ją zawsze, jeszcze jak była maleńkim skrzatem ze sterczącymi warkoczycami i klamerką na ząbkach wyrównującą zgryz. Ty... ty więc rzysz w to, co Elaine powiedziała majorowi, prawda?

Kay przypomniała sobie kłamliwe wyjaśnienie Elaine o wyspie, rozdarty czepek kąpielowy i białe spodnie od męskiej piżamy. A jednak, patrząc teraz na Gilberta, nie była w stanie powiedzieć mu, jak bardzo wątpi w słowo jego córki. Powiedziała więc z wahaniem:

- Oczywiście, Gilbercie, wierzę Elaine. - Spodziewała się, że po tych słowach niepokój zniknie z twarzy Gilberta - stało się jednak inaczej.

- Jeżeli więc wierzysz Elaine, to musisz jednocześnie wierzyć w to, co powiedział major, a mianowicie, że Ivor został zabity na wyspie albo w drodze na wyspę..

- Chyba... chyba tak, Gilbercie.

Gilbert spojrział na Kay bez cienia ironii. Nigdy jeszcze nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Cichym, nagłym tonem powiedział:

- Kay, musisz za wszelką cenę wydostać tę teczkę z pawilonu.

- Oczywiście, że będę próbowała - powiedziała uspokajająco. - Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie ważne.

- Nie... Jeszcze nie wiesz wszystkiego, Kay! Dziś rano powiedziałem ci zaledwie połowę prawdy. Wszystko, co ci powiedziałem o akcjach, o gwarancji i mojej lekkomyślności, to oczywiście prawda. Ale jest jeszcze coś... coś znacznie gorszego.

W tym dziwnym oświetleniu - jasnym od zapalanej lampy a trochę przytłumionym z powodu grożącej burzy - jej szwagier, skurczony w swoim inwalidzkim wózku, wyglądał nierealnie, jak wychudzony, cierpiący Budda.

- Gilbercie! O czym ty mówisz!?

- Dziś rano nie powiedziałem ci całej prawdy... prawdy o Ivorze. Wszystko, co mówiłem o mojej dla niego wdzięczności, o tym, że go lubię i szanuję, to nieprawda! Dawniej, owszem, czułem to wszystko. Ale wczoraj rano, nim przyjechałaś, usłyszałem coś, co otworzyło mi oczy, zrozumiałem, jakim nikczemnym typem jest ten człowiek. To sprawiło, że zacząłem go nienawidzić tak, jak wszyscy inni go nienawidzili.

- Ależ, Gilbercie - wyjąkała Kay.

- Poczekaj, moja droga - znowu lekko się uśmiechnął. - Wszystko można zarzucić Chilternom, z wyjątkiem braku rodzinnej solidarności. Elaine gotowa była wyjść za Ivora, żeby tylko mnie było dobrze... Maud chciała wziąć na siebie podejrzenie, że to ona popełniła

zbrodnię... żeby kryć Elaine. Wreszcie teraz... mam nadzieję, że ty pomożesz mi osłonić kogoś, kto popełnił szaleństwo... może więcej nawet - przestępstwo kryminalne dla mnie!

- Gilbertcie... ja zupełnie nie rozumiem...

- Może nie zrozumiesz nawet po usłyszeniu całej historii - silne palce Gilberta oploty kurczowo kubek z kostkami do gry. - Otóż, widzisz... Działo się to dawno, dawno temu, jeszcze w Pittsburgu. Byłem chory. Leżałem w szpitalu i wyzbyliśmy się już na moje leczenie prawie całej gotówki. Był okres, że nie robiono najmniejszej nadziei na moje wyzdrowienie, aż pewien lekarz przepisał kurację, całą serię zastrzyków, które mogły uratować mi życie. - Zawahał się chwilę i dodał niepewnie: - Była to bardzo kosztowna kuracja - absolutnie przekraczająca nasze możliwości finansowe.

Cała wina leży wyłącznie po mojej stronie - ciągnął dalej z wielkim wysiłkiem. - Zamroziłem całą naszą gotówkę w transakcji, o której ci wspomniałem, nawet kapitałik Maud. Maud nie zdawała sobie, oczywiście, sprawy z naszej sytuacji materialnej, bo ona na ogół słabo orientuje się w kwestiach pieniężnych, ale dzieci wiedziały, że jesteśmy bez grosza, a ta kuracja jest jedyną szansą uratowania mi życia... - Znów zrobił krótką pauzę, nim podjął opowiadanie. - Ivor przebywał wówczas w swojej posiadłości pod miastem - bardzo często goi u siebie widywaliśmy. Mam wrażenie, że już wtedy zaczął interesować się Elaine, chociaż nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. W całej tej rozterce i rozpaczycy dzieci pomyślały o nim. Był bardzo bogaty, na pewno chętnie udzielić pożyczki. Terry więc udał się do niego, opowiedział mu wszystko i błagał o pożyczkę dla uratowania mi życia. Oczy Gilberta błyszczały teraz gorączkowo. Zawahali się, nim zaczął mówić dalej, gdyż wzburzenie niemal dławilo go za gardło.

- Ivor nie był w stanie oprzeć się swojej patologicznej żądzy zyskania nad kimś władzy. Terry zawsze nie znosił Ivora i gardził nim tak, jak każdy zdrowy, niezeepsuty chłopiec gardziłby człowiekiem, wiodącym taki tryb życia jak Ivor. Ivor doskonale to czuł i wściekał się w duchu na chłopca. Aż oto nagle Terry zjawia się u niego w roli petenta i błaga o pomoc dla mnie! Rozumiesz tę sytuację! Ivor mógł z łatwością wystawić czek nawet na znacznie wyższą kwotę, to jednak, co zrobił, było stokroć gorsze niż odmowa. Obudził w Terry nadzieję... obiecał dać mu czek. - Wypełnił w sąsiednim pokoju czek i przyniósł Terry'emu. Powiedział przy tym z uśmiechem: „Może to będzie dla ciebie dobrą nauką, żeby nie krytykować ludzi, wyzyskując ich równocześnie dla swoich potrzeb!” - Gilbert znowu zawahał się, nim dodał wolno: - Czek opiewał na... jednego dolara! - Głos Gilberta stał się cichy, lekko ochrypli. - To, co zrobił Terry, było po prostu szaleństwem! Głupotą! Jedyną

jego myślą byłem ja. Nie powiedział ani słowa, tylko... przerobił cyfrę, z jednego dolara zrobiło się... tysiąc. Jednym słowem, sfalszował czek Ivora, Kay!

Gilbert patrzył półprzymtomnie na Kay, która instynktownie pochylała się nad stolikiem i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jakim cudem czek został zdyskontowany w banku bez żadnych trudności, dotychczas nie mogę zrozumieć. Nikt z nas nie miał o tym wszystkim pojęcia, wiedzieliśmy tylko, że Ivor, ze zwykłą swoją szlachetnością i szczodrobliwością, przyszedł nam z pomocą w krytycznej chwili - roześmiał się gorzko. - Przeprowadziłem przepisaną kurację.. - wyzdrowiałem... co mi umożliwiło przyjazd tutaj. Terry w dalszym ciągu nic nam nie powiedział. Nikt z nas niczego się nawet nie domyślał. Rozpływaliśmy się w podziękowaniach wobec Ivora, co on przyjmował najnaturalniej w świecie.

On także ani słowem nie zdradził prawdy. Bo widzisz, pieniądze były dla niego niczym w - porównaniu z władzą, jaką zyskał teraz nad Terrym. Czek oczywiście wrócił z banku do Ivora. Wezwał on któregoś dnia do siebie Terry'ego i wymógł na nim pisemne przyznanie się do popełnionego fałszerstwa. Dokument ten przypiął do czeku i zatrzymał u siebie. Od tej pory Terry, chłopiec, który śmiali nim pogardzać, znalazł się całkowicie w jego mocy.

Kay rozumiała gniew Gilberta. Ze wszystkich subtelnych okrucieństw popełnionych przez Ivora - to było może najgorsze - gorsze nawet aniżeli to, co zrobił z Rosemary.

- Później - mówił dalej Gilbert - Ivor zaprosił nas wszystkich na Bermudy. Oczywiście, z wdzięczności przyjęliśmy zaproszenie, błogosławiąc go, jako naszego zacnego patrona i opiekuna. Mimo całej nienawiści dał Ivora, Terry musiał także przyjechać, bo wiedział, czym taki pobyt na Bermudach będzie dla mojego zdrowia. I cały czas znosił wszystko sam, w milczeniu. Aż do wczoraj rano, kiedy chłopak przyszedł do mnie i wszystko mi wyznał. Miał, oczywiście, nadzieję, że nigdy nie dowiem się prawdy. Ale Ivor nie zamierzał oszczędzić mi i tego ostatniego upokorzenia. Nim udał się w ostatnią podróż do Nowego Jorku, powiedział chłopcu, że jako wyraz pojednania postanowił zaraz po ślubie zwrócić rodzinie sfalszowany czek i podpisane wyznanie, ale nie do rąk Terry'ego, tylko moich! To miał być jego pierwszy występ w roli małżonka Elaine. Kiedy Terry mi to powiedział, nie byłem po prostu w stanie mu uwierzyć, tak diametralnie różniło się to od wszystkiego, co sądziłem o Ivorze. Ale wczoraj wieczorem przekonałem się, że Terry nie kłamał. Po tej przykrej, gwałtownej scenie przy obiedzie Ivor przyszedł do mnie. Był w bardzo niebezpiecznym nastroju. Oświadczył, że jeżeli jeszcze raz Terry zachowa się wobec niego tak bezczelnie, wpakuje go do więzienia... Opowiedział mi całą historię z czekiem - i w

tej krótkiej chwili ujrzałem go w prawdziwym świetle, nigdy nie wyobrażałem sobie, że może taki być. Byłem przekonany, że nie żartuje. Oświadczył, że zachował czek i wyznanie Terry'ego jako dowód rzeczowy, że nosi je zawsze ze sobą w teczce. Dlatego był taki wściekły, bo w gruncie rzeczy Terry zwyciężył, mimo wszystko zachował godność i nigdy nie płaścił się przed Ivorem. Pojąłem wówczas, że Ivor ani przez chwilę nie zawaha się przed nakazem aresztowania chłopca, że złamie mu życie jedynie po to, żeby ugiąć mu kark.

Przerwał na chwilę, a w niesamowitej ciszy, bardziej jeszcze podkreślonej tą ciszą przed burzą tam za oknem, Kay miała wrażenie, że nad nimi unosi się duch Ivora, złośliwy i przewrotny, obserwujący dramat rozgrywający się w duszach tych ludzi.

- Poczulem wtedy, że go nienawidzę - powiedział spokojnie Gilbert - że nienawidzę go tak głęboko, iż mógłbym go zabić... Ale nie to jest teraz ważne. Ważny jest tylko Terry. Z tego, co mówiła Elaine, wynikałoby, że Ivor został zabity na wyspie „albo w drodze na wyspę. Terry był na żaglówce sam. Nie może przedstawić żadnego świadka, nie ma żadnego alibi. Jeżeli ten sfalszowany czek i to pisemne wyznanie wpadną w ręce policji...

- I mówisz, że te papiery są w tamtej teczce? Razem z papierami wartościowymi?

- Tak przynajmniej wywnioskowałem z tego, co mi; mówił Ivor. Teraz rozumiesz, dlaczego mi tak zależy na odzyskaniu za wszelką cenę tych papierów?

- Oczywiście...

Kay wzdygnęła się na myśl, co mogłoby się stać z Terrym, gdyby dowód jego rozpaczliwego czynu wpadł w ręce majora Clifforda. Powzięła gorzkie postanowienie: musi odzyskać te dokumenty za wszelką cenę. Równocześnie jednak ogarnęło ją przygnębienie, gdy sobie przypominała konstabla Mastersa tkwiącego bez przerwy na przystani i tego drugiego policjanta na łódce.

- Wydostanę te papiery, Gilberte - powiedziała stanowczo. - Jak? Tego jeszcze nie wiem... ale znajdę sposób...

- Dziękuję ci, moja droga - uśmiechnął się blado Gilbert. - Może powinienem być z tobą trochę bardziej szczerzy dzisiaj rano, ale ze względu na chłopca nie chciałem żeby ktoś jeszcze poza mną dowiedział się o tymj chyba że zaszłaby konieczna potrzeba.

- Rozumiem... chciałabym tylko...

A później, zdławionym, nieswoim głosem, jak gdyby nie mogła powstrzymać wrywających się z gardła słów spytała:

- Gilberte, czy przypuszczasz, że... że to Terry?

- Nie powinniśmy tak myśleć, Kay. Nie możemy się zbyt nad wszystkim zastanawiać, bo w końcu zwariujemy! Bo my...

Urwał nagle, gdyż drzwi się otworzyły szeroko i wpadła Elaine. Jej oczy, zwrócone na ojca, wyrażały głęboki przestrah.

- Elaine! Co się stało?! - spytał ostro.

- To... Alicja! - Elaine podeszła do nich bliżej, a ręce jej wykonywały jakieś bezradne ruchy. - Trzeba ją jakoś powstrzymać. Przed chwilą oświadczyła nam wszystkim, że wie, kto zamordował Ivora. Twierdzi, że ma na to dowody i natychmiast udaje się do majora Clifforda.

## **Rozdział 16**

Dla Kay była to ostatnia kropla przepelniająca kielich goryczy. Gilbert wykręcił swój wózek tak, że miał teraz córkę przed sobą.

- Kogo Alicja oskarża? - spytała Kay.

- Nie wymieniła żadnego nazwiska.

- Ech, to na pewno jeszcze jedna z jej teatralnych scen - powiedział spokojnie Gilbert.

- Nie, nie! To prawda. Siedzieliśmy w salonie, a ona, wpadła i powiedziała o swoim zamiarze... Twierdziła, że ma w ręce dowód i chce go osobiście wręczyć majorowi. Musimy ją w jakiś sposób powstrzymać! - Może to dziwne, ale Kay ani przez chwilę nie pomyślała, że właściwie Alicja Lumsden, oddając dowody morderstwa policji, postąpi tak, jak każdy lojalny, szanujący prawo obywatel winien postąpić. - Ojczy! Kay! Chodźcie ze mną, błagam!

Elaine odwróciła się niecierpliwie do drzwi, a Kay pospieszyła za nią. Idąc słyszała turkot wózka, który Gilbert popychał w ślad za nimi przez długi korytarz wiodący do salonu.

I tu już także zapalono światła. Poza świetlanym kręgiem lampy pokój tonął w jakimś tajemniczym mroku. Drzwi od tarasu były zamknięte.

Maud odwróciła się od okna i podeszła do nich. Spojrzała na Gilberta i spytała:

- Elaine ci już powiedziała?

- Tak, Maud!

- Obawiam się, że to nie jest jednak z jej strony bluff. Alicja jest naprawdę przekonana, że wie, kto zabił Ivora, i chce natychmiast donieść o tym majorowi.

- Ależ, mam! Nie można do tego dopuścić! - zawołała Elaine.

Ręka Maud spoczęła na ramieniu córki bezwiednym, opiekuńczym gestem.

- Staralam się ją namówić, żeby przynajmniej poczekała, aż przejdzie burza - powiedziała - ale nie chciała nawet słuchać. Poszła na górę po płaszcz deszczowy i zaraz jedzie rowerem na posterunek policji.

Patrzyli na siebie w głębokiej rozterce, aż Elaine odezwała się pierwsza:

- Alicja Lumsden nienawidzi nas. Zrobi wszystko, co będzie mogła, żeby nas zgubić!

Blady cień uśmiechu pojawił się na ustach Gilberta.

- Nie możesz przecież mieć jej za złe, że chce oddać zbrodniarza w ręce sprawiedliwości! - powiedział spokojnie. - Postępuje raczej całkiem właściwie.

- Właściwie czy niewłaściwie, ale nie możemy dopuścić, żeby tak sobie, nic nam nie mówiąc, pojechała na policję - powiedziała Maud, jak gdyby stwierdzała prosty, niezaprzeczalny fakt. - Spróbuję pomówić z nią jeszcze raz. Odprawiłam resztę towarzystwa, bo ich obecność tylko ją utwierdzała w uporze. Gilbertcie, ty też jesteś tutaj zbyt cenny, wróć lepiej do biblioteki. A ty, Elaine, idź do swego pokoju. Alicja nienawidzi ciebie najbardziej z nas wszystkich. My obie z Kay zajmiemy się tą sprawą.

Maud znowu ujęła cugle w ręce i nikomu nie przyszło do głowy sprzeciwić się. Elaine wymknęła się na górę, a gdy Maud i Kay podeszły do drzwi balkonowych, Gilbert równocześnie odjechał do biblioteki.

Stały tak w milczeniu przy oknie, czekając na odgłos kroków na schodach, które zwiastowałyby nadejście Alicji. Było to przerażające uczucie wiedzieć, że ktoś w tym domu rozwikłał ponurą zagadkę morderstwa, i wiedzieć, że chociaż są tak samo zaskoczeni i niepewni jak przedtem, to jednak sprawa może być rozwikłana poza nimi, a oni nie mają i nie będą mieli na to żadnego wpływu. - Porównywała ich sytuację do gromadzących się na horyzoncie burzowych chmur. Śmierć Ivora to była właśnie taka groźna chmura... stale rosnąca i rosnąca, coraz ciemniejsza i ciemniejsza, aż nadejdzie moment, kiedy wyładuje się w gromach i błyskawicach.

A prawdziwa burza wybrała sobie tę właśnie chwilę, ażeby się rozpętać. Oślepiająca błyskawica rozdarła ciemnogrnatowe niebo od krańca do krańca i prawie natychmiast zabrzmiał ogłuszający huk piorunu. A po tym wybuchu wszystkie inne odgłosy ginęły w echu cichnącego w oddali gromu. Potem zaś ciszę wypełnił szum, ciągle rosnący, dochodzący aż do huku - to lunął deszcz tak gwałtowny i gęsty, jak fala przyływu na morzu.

- Nigdy jeszcze nie widziałam... - zaczęła Maud, ale nagle urwała, gdyż na szczycie schodów ukazała się Alicja Lumsden. Pielęgniarka zawsze wyglądała dziwnie, ale teraz, w tej melodramatycznej scenerii, było w jej kościstej postaci coś niemal złowieszczonego. Na głowę wcisnęła stary brązowy filcowy kapelusz, a na sobie miała szkarłatny płaszcz deszczowy. Pod pachą trzymała małą paczkę zawiniętą w szary papier i owiązaną sznurkiem.

Schodziła powoli ze schodów i zatrzymała się na ostatnim stopniu. Na jej twarzy wyraźnie widać było wrogość i urazę... wyglądała, okropnie. Rozległ się przeciągły huk piorunu. Maud podeszła bliżej i bardzo chłodno i sztywno powiedziała:

- Alicjo... nie ma sensu, żeby pani jechała w taką ulewę. Niech pani przynajmniej przeczeka, aż burza się trochę uspokoi.

- Po cóż mam czekać? - spytała Alicja lodowato.

- Ale przecież... pioruny. To nawet niebezpieczne...

- Niebezpieczne! Sądzi pani, że bezpieczniej jest w tym domu aniżeli na dworze? - spytała Alicja ukazując zęby w szyderczym uśmiechu. - Wiem, kto zabił Ivora - poklepała paczkę pod pachą. - A tu mam dowód rzeczowy!

Na dworze ulewa zdawała się osiągać punkt kulminacyjny. W głosie Maud brzmiała już rozpacz, gdy spytała:

- Czy pani nie mogłaby być trochę bardziej ludzka? Jeżeli pani wie coś konkretnego, to chyba i my mamy prawo wiedzieć, o co chodzi, nim pani pojedzie do majora.

Alicja Lumsden była jednak niewzruszona.

- A po co mam pani mówić, skoro pani i tak wszystko wie?

Z kolei wzrok jej spoczął na Kay:

- Proszę sobie nie wyobrażać, że dałam się oszukać! I niech pani nie sądzi, że uda się pani zniszczyć tamten dowód rzeczowy. Ostrzegam, to będzie jeszcze bardziej obciążające niż pozostawienie go na miejscu!

Zrobiła tę tajemniczą uwagę, jak gdyby była pewna, że Kay doskonale wie, o co chodzi.

- Naprawdę, proszę pani - Alicja zwróciła się znowu do stojącej obok Maud - tracimy tylko niepotrzebnie czas! Proszę mnie przepuścić!

Przez chwilę obie kobiety mierzyły się wzrokiem w niemej walce. Zwyciężyła Alicja. Nieporuszona na pozór i blada Maud odsunęła się na bok i powiedziała cicho:

- Zrobi pani, jak zechce. Oby pani tylko nie pożałowała swego kroku!

Z wysoko podniesioną głową Alicja Lumsden wyszła triumfalnie, ale przy drzwiach spojrzała jeszcze raz przez ramię na obie siostry i powiedziała z ironią:

- Niebawem wrócę tu, ale już z majorem Cliffordem! I... z nakazem aresztowania!

Z tymi słowy wyszła.

W pokoju nie było słycać nic poza pluskiem deszczu i odgłosem grzmotów.

- No, cóż!... To już koniec... - powiedziała cicho Kay.

Maud zdawała się jej nie słyszeć - stała i spoglądała w górę schodów.

- Muszę iść do Elaine - powiedziała. - Biedactwo, dla niej to będzie najciężej...

I nim młodsza siostra zdążyła coś powiedzieć, Maud zniknęła jej z oczu. Kay doszła do przekonania, że musi z kimś porozmawiać. Pospieszyła więc do biblioteki do Gilberta. Siedział przy kominku, a na widok wchodzącej Kay szybko podniósł na nią oczy:

- No i co? - spytał.



- Wszystko na próżno. Pojechała. A właściwie poszła teraz do szopy po rower - Kay wrzuciła ramionami. - I powiedziała jeszcze, że bym nie niszczyła dowodu rzeczowego, bo to będzie bardziej obciążające - tak jakbym o czymkolwiek wiedziała!... „Jak myślisz? Może jej chodziło o czek i o spowiedź Terry’ego?

- Nie mam pojęcia, moja droga.

- Ach, gdybym tylko mogła pojechać na wyspę! Alicja wkrótce zjawi się z majorem Cliffordem, a wtedy wszystko przepadnie. I co teraz będzie, Gilberte?

- No, cóż, tylko spokój może nas uratować... Spokój, moja droga! - Iz lekkim uśmiechem Gilbert wyjął rękę spod okrywającego go pledu i pchnął wózek bliżej szwagierki.

- Co byś powiedziała, Kay, żebyśmy skończyli naszą partyjkę? To takie odpowiednie zajęcie na czas burzy...

Skierował wózek bliżej okna. Kay także - tam poszła i dopiero wtedy zobaczyła, że przez otwarte okno deszcz przedostaje się do wnętrza i cały stolik karciany jest mokry.

- Spuść lepiej okno - powiedział Gilbert.

Kay precyzyjnie się obok stolika do okna - żaluzja była na zawiasach - odciągnęła ją do środka, wychyliła się, by schwycić górną część okna i opuścić ją. Deszcz nie był już tak gęsty, widziała więc podjazd i szopę na rowery.

Woda zrosiła jej twarz i włosy. Kay ciągnęła okno w dół, ale nie chciało się opuścić - zaczęła więc ciągnąć mocniej, z całej siły. Przy tej okazji zobaczyła z daleka wylaniającą się z szopy czerwoną postać w deszczowcu, wyprowadzającą rower.

- Alicja już wyprowadziła rower z szopy - zwróciła się do szwagra.

Później, ciągle jeszcze mocując się z oknem, powiedziała:- Nie dam rady, Gilberte... Nie mogę spuścić okna. Lepiej poproszę kogoś, żeby mi pomógł.

I odsunawszy z czoła mokre włosy, wybiegła z biblioteki. Kiedy wchodziła do salonu, ktoś równocześnie wkroczył szybko do środka przez tarasowe drzwi, jakiś mężczyzna, przemoczony do nitki. Odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi, i Kay dopiero teraz poznała doktora. Popatrzył na nią z uśmiechem, a deszcz spływał z jego płaszcza na dywan.

- Ależ mnie zaskoczyła ta burza! - powiedział. - Tak samo jak konstabla Mastersa. Biegł, jakby goniły go biesy.

Kay była tak przejęta myślą o tym, żeby zamknąć okno, że w pierwszej chwili nawet nie zastanowiła się, po co się tu zjawił doktor Thorne. Powiedziała więc tylko:

- Może pan pójdzie ze mną, panie doktorze, i pomoże mi zamknąć okno w bibliotece.

Weszli do biblioteki, deszcz dalej lał jak z cebra. Podbiegli do okna i wspólnymi siłami jakoś je zasunęli. Z kropelkami deszczu na rzęsach Kay spojrzała na ciemną twarz doktora, na jego rozbawione oczy i ironiczny uśmiech. Czuła się dziwnie podniecona.

- Dziękuję - powiedziała.

- Widzę, że zjawiłem się tu w odpowiednim momencie, inaczej państwo by się utopili - doktor Thorne zwrócił się do Gilberta i dodał: - Dobry wieczór panu. Przejeżdżałem tędy rowerem i miałem nadzieję, że zdążę, jeszcze skryć się przed burzą. Ale, jak pan widzi, nie udało mi się!

Teraz, kiedy okno już było zamknięte, myśli Kay znowu; wróciły do Alicji Lumsden w czerwonym deszczowcu, pedałującej teraz w strugach deszczu i zbliżającej się coraz bardziej i bardziej do majora Clifforda, a więc i do celu swej wyprawy. Ta uporczywa myśl mroziła atmosferę spokoju i ciepła, jaką wniósł ze sobą doktor Thorne.

Z zachowaniem całej zawodowej powagi, młody lekarz przemawiał teraz do Gilberta, radząc mu, żeby po tych wszystkich nerwowych przeżyciach położył się do łóżka i odpoczął.

Gilbert uśmiechnął się blado.

- Wiesz, Kay - powiedział - jestem rzeczywiście bardzo zmęczony. Może będziesz tak dobra i pomożesz mi położyć się do łóżka.

Doktor rozejrzał się po pokoju.

- O! A gdzie to nasza Alicja? - spytał.

- To pan nic nie wie? Alicja... - zaczęła Kay.

- Alicja wyszła - przerwał jej krótko Gilbert i Kay wyczuła, że nie chce nic mówić przy doktorze. - Ale pan, panie doktorze, jest zupełnie przemoczony, może pożyczymy panu coś suchego, to pan przeczeka tutaj, aż przejdzie burza?

Młody lekarz spojrzał na Gilberta nieco nerwowo i powiedział:

- Bardzo dziękuję, ale muszę zaraz jechać dalej, nie boję się burzy - potem spojrzał wymownie w oczy Kay i dodał: - W przeciwieństwie do konstabla Mastersa, który już po pierwszych kropkach deszczu schował się pod dach.

Uklonił się po tych słowach uroczyście i wyszedł.

Już drugi raz doktor Thorne wspomniał konstabla Mastersa. Ale dopiero teraz w nagłym podnieceniu Kay domyśliła się, jaki był cel nieoczekiwanych odwiedzin doktora.

- Jak ci się zdaje, czego on mógł chcieć? - spytał Gilbert.

- Mam wrażenie, że zgadłam, Gilberte. Dwukrotnie zaznaczył, że konstabl schował się przed burzą w domku Dona. Nie rozumiesz? Powiedział, że policjant zszedł z posterunku... wobec czego jest szansa bezpiecznego przedostania się na wyspę...

- Jak to? Pomocnik Clifforda? Urzędowy lekarz sądowy? Przecież taki człowiek nie może...

- O, tak! tak! Właśnie, że może! Nie potrafię ci tego na razie wytłumaczyć, ale doktor wiedział, że popłynęłam na wyspę po coś, w jakimś konkretnym celu i że nie udało mi się tego zdobyć. A teraz przyjechał, żeby mi dać do zrozumienia, że... droga wolna! Zaraz jadę! Jestem pewna, że uda mi się zniszczyć dowód obciążający Terry'ego, jeszcze zanim major go znajdzie.

- Ale ta burza, Kay! Deszcz leje jak z cebra! Zatoka niespokojna i te bezustanne błyskawice.

- To nieważne! Gdyby nie burza, nie miałabym żadnej możliwości. Przecież to nasza ostatnia szansa. Jeśli to Terry'ego Alicja chce oskarżyć, to bez tych dowodów...

- I rzeczywiście przypuszczasz, że ci się uda?

- Oczywiście! A przy tej okazji przywiozę ci także i wszystkie inne papiery wartościowe. Ruszam natychmiast! Tylko pożyczę sobie od ciebie płaszcz deszczowy. Wymknę się z łatwością, nikt mnie nie zobaczy. A jeżeli skręcę tuż za oleandrami na podjeździe, dostanę się na przystań bez przechodzenia koło kryjówki konstabla Mastersa.

Gilbert podniósł rękę niewyraźnym gestem.

- Kay... Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć...

- Ech, bzdura! Idziemy!

Kay położyła ręce na oparciu wózka i potoczyła go ku drzwiom biblioteki. Uchyliła je trochę i wyjrzała na korytarz, chcąc się upewnić, czy nikt ich nie będzie widział. Uspokojona, zawiozła Gilberta do jego pokoju. Burza przyspieszyła zapadnięcie zmroku, tak że w pokoju było zupełnie ciemno. Kay zapaliła światło.

- Znajdziesz mój płaszcz nieprzemakalny w szafie, Kay. Obawiam się, że będzie dla ciebie o wiele za duży!

- Tym lepiej!

Kay wyjęła z szafy błyszczący czarny deszczowiec, który sięgał jej prawie do stóp.

- To mnie świetnie zasłoni przed ulewą - powiedziała z uśmiechem i pochyliwszy się, impulsywnie pocałowała Gilberta w policzek. - Trzymaj za mnie palce, Gilbercie - rzuciła jeszcze. - Do widzenia!

Podeszła do drzwi od tarasu, ostrożnie je otworzyła, żeby nie wpuścić do pokoju wiatru i deszczu. Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie na Gilberta i wysunęła się na dwór, w burzę. W pierwszej chwili tropikalna ulewa kompletnie ją oślepiła i na policzkach czuła ostre ukłucia wody. Nagle błyskawica, która rozdarła ciemności, ukazała jej świat za kurtyną z

deszczu - z niewyraźnie zarysowującymi się kształtami. Polegając wyłącznie na intuicji, skierowała się w stronę przystani. Domek, gdzie, schronił się konstabl Masters, był przed nią, nieco na lewo - trzeba zatem skręcić w prawo, do podjazdu... pójść aż do szopy z rowerami, a dalej, za szopą, przez cedrowy gaj, do przystani. Potykając się w zupełnych ciemnościach, Kay dojrzała jakoś do podjazdu i poczuła miękki grunt pod nogami.

W jakiś dziwny sposób cały dramat tego domu i Chilternów skryształizował się teraz w wyścigu jej i Alicji Lumsden...

Gdy się tak posuwała ostrożnie drogą, myśli jej zaabsorbowane były wyłącznie osobą tej drugiej kobiety, która przedzierała się i walczyła z żywiołem zdążając do celu równie doniosłego jak jej własny.

Deszcz zatarł wszelkie proporcje - Kay nie widziała nic prócz szarawego pasa drogi pod stopami, a za nią majaczył niewyraźny w strugach deszczu kontur domu. To oświetlone okno - to musi być biblioteka. Jak to dobrze, że jej płaszcz jest czarny - czerwony widać byłoby wyraźnie nawet w tym deszczu.

Czerwony płaszcz... Serce Kay nagle przestało bić... Zrobiła krok naprzód i przystanęła jak wryta. Czerwony płaszcz... Myślała o czerwonym płaszczu, kiedy nagle - jak gdyby wyczarowała go myślą - miała go przed sobą! Niewyraźna czerwona plama na tle szarego piasku podjazdu. Czowała, że ręce ma lodowate.

A potem... jej stopa potknęła się o coś miękkiego, ustępującego pod nogą.

Całe ciało Kay przebiegł jak gdyby prąd elektryczny. Starając się za wszelką cenę opanować, opadła na kolana. Kiedy wysunęła przed siebie po omacku ręce, natknęła się na coś wilgotnego, o błyszczącej powierzchni. Przycupnęła na drodze niezdolna myśleć, ukrywając się przed wzrokiem innych. Aż nagle oślepiająca błyskawica rozdarła niebo. W tym krótkim, jasnym błysku Kay ujrzała na drodze czerwony przedmiot ze wszystkimi szczegółami - czerwoną lśniącą powierzchnię płaszcza i skurczone ciało, które nim było okryte. Tuż obok leżał na ziemi rower. Ale nic nie robiło takiego wrażenia jak biała, wykrzywiona, pod brązowym kapeluszem twarz.

Twarz Alicji Lumsden.

Ciągle jeszcze na klęczkach, Kay pochyliła się instynktownie i ujęła rękę leżącą. Drżąc, szukała pulsu. Nic. Żadnego znaku życia.

Pochyliła się jeszcze bardziej, chcąc przyjrzeć się twarzy. Niewyraźnie, jak przez mgłę, zobaczyła na skroni głęboką krwawą ranę. Deszcz nie ustawał ani na chwilę. Kay zrozumiała całą okropną prawdę... i ogarnęła ją straszliwa panika. Myśli kłębiły się jej w

głowie i mimo woli powtarzała półgłosem: „Nie żyje... nie żyje... nie żyje... I ona także została zamordowana”.

## **Rozdział 17**

Kay z wysiłkiem podniosła się z kłęczek. Rozległ się grzmot i ucichł. Ulewny deszcz izolował ją w jakiś sposób od tej okropnej rzeczy leżącej na dróżce, zamykał w małym świece, w którym była tylko woda spływająca z jej ramion, zalewająca włosy, twarz... Nawet nie próbowała się zastanawiać, kto zabił pielęgniarkę? Dlaczego?: W jaki sposób? Jedno tylko uparcie tkwiło w jej mózgu: Alicja Lumsden miała jechać na posterunek policji z dowodami czyjejś winy i została zamordowana... a jednak dziwną ironią losu, to właśnie ona, Alicja, wygrała wyścig.

Kay doskonale wiedziała, co powinna teraz robić. Musi wrócić do domu i zadzwonić do majora Clifforda. Po, śmierci Alicji policja jeszcze bardziej zaciśnie pierścień dokoła całego domu, jeszcze surowiej i dokładniej zacznie przeszukiwać. Nie nadarzy się już okazja przedostania się na wyspę, by zniszczyć dowody winy Terry'ego i odzyskać papiery wartościowe Maud i Gilberta.

Wśród szalejącej w dalszym ciągu burzy Kay zrobiła kilka kroków w stronę domu, lecz nagle zatrzymała się uderzona nową myślą. Czy koniecznie musi zaraz zatelefonować do majora Clifforda? Alicja przecież już nie żyje - nic nie jest w stanie jej pomóc i przywrócić do życia. Nikt nie widział Kay przy zwłokach. Przypuśćmy... przypuśćmy, że wmówi w siebie, że ta okropna rzecz wcale się nie zdarzyła. Wtedy będzie mogła zaraz pojechać na wyspę, póki jeszcze istnieje ta ostatnia szansa.

Nigdy, od kiedy sięga pamięcią, Kay nie uwierzyłaby, że może w ten sposób rozumować. Ale odkąd śmierć Ivora pograżyła ją i całą jej rodzinę w ten chaos, wszystkie jej zasady moralne legły w gruzach. Od pierwszej chwili, od początku, uważała majora Clifforda za wroga - czy wobec tego nie jest logiczne, że i teraz postąpi według swojej własnej, może sprzecznej z prawem etyki?

Poczula lekki zawrót głowy. Ale przecież nie dla siebie ma tak postąpić - ale dla Terry'ego, dla Terry'ego, który stał się przestępcą, by ratować życie ojcu... Gdyby prawda wyszła na jaw, Terry'ego natychmiast obciążą tą zbrodnią... A Terry przecież z pewnością jest niewinny...

Pod wpływem tych myśli Kay, nagle zdecydowana, zawróciła i pospieszyła ku przystani. Przebycie tej krótkiej odległości wydawało się koszmarem sennym. Chociaż wykluczone było, by ją ktoś widział, wołała ominąć domek Dona, gdzie znajdowało się stanowisko konstabla Mastersa, ruszyła więc ścieżką, wijącą się w cieniu oleandrów.

Przystanąła chwilę na mokrym pomoście przystani, żeby sobie uprzytomnić, gdzie leży wyspa, zupełnie niewidoczna za kurtyną deszczu - Czarny płaszcz zaczął przemakać, miała wrażenie, że cała jest nasiąknięta wodą. Nagle błyskawica oświetliła wyspę i jej białą przystań. Była to dzika, niesamowita scena. Wydawało się po prostu nie do uwierzenia, żeby spokojny, leniwy zwykle krajobraz Bermudów mógł się zmienić w ten niesamowity widok. Starając się zapamiętać położenie wyspy, Kay wskoczyła do kajaka, odwiązała drżącymi, zziębniętymi palcami linkę i odepchnęła się od brzegu.

Deszcz spłaszczył powierzchnię wody i aż zdumiewało, z jak biernym spokojem morze przyjmuje ataki burzy. Kajak był prawie w połowie napełniony wodą i zanurzał się głęboko - Kay posuwała się bardzo powoli, z wielkim trudem, a owo uczucie niesamowitości jeszcze się zwiększyło - widmo martwej kobiety w czerwonym deszczowcu, którą zostawiła za sobą, ustawicznie miała w oczach. Wiosłowała więc coraz szybciej i szybciej, jak gdyby rzeczywiście ktoś ją ścigał.

Wreszcie zaczęła odróżniać kontury wyspy, a potem ani się spostrzegła, jak kajak uderzył o nabrzeże. Przywiązała kajak do słupka i wdrapała się na brzeg. Gnana strachem, przebiegła w strugach deszczu krótką ścieżkę, dzielącą przystań od pawilonu Ivora. Zobaczyła jednak dom dopiero wtedy, gdy stanęła przed drzwiami. Z mocno bijącym sercem Kay pchnęła drzwi i wśliznęła się do środka. Chwilę stała nieruchomo, nie czując nic poza tym, że deszcz nareszcie nie pada, a ona jest pod dachem. Ale natychmiast przypomniała sobie Alicję Lumsden i w panice, zupełnie instynktownie, wymacała w ciemności palcami zasuwę i zaryglowała drzwi. Teraz dopiero poczuła się stosunkowo bezpiecznie. Nikt tu nie wejdzie.

Zrobiło się już zupełnie ciemno i Kay miała wrażenie, że znajduje się w łodzi podwodnej. Strumienie deszczu spływające po szybach - to morze, a pawilon - dziwny jakiś budynek na dnie oceanu. Ruszyła między niewyraźnie zarysowanymi się konturami stołów i krzeseł w kierunku sypialni. Pod jej nogami podłoga skrzypiała. Lekki skrzyp - a potem cisza. I znowu skrzyp - i cisza. Wszystkie jej nerwy skupiły się na tym następującym po sobie skrzypieniu, a potem - ciszy.

Nagle uczucie bezpieczeństwa gdzieś prysło - znów miała wrażenie, że nie jest sama. Każdy zrobiony przez nią krok wydawał się jej krokiem kogoś innego - kogoś, kto chociaż niewidzialny, był z nią tu w pokoju. Stanęła jak wryta, a równocześnie ustały wszelkie odgłosy. Serce w niej zamarło, bo teraz była zupełnie pewna. Ktoś był w pokoju!!!

Potrzebowała całej siły woli, żeby nie krzyknąć. W pokoju panowała kompletna cisza, poza szumem deszczu na dworze. Nic nie wskazywało, że ktoś prócz niej tu jest, poza tym dziwnym uczuciem, jakie ją całą przenikało.

Podeszła do drzwi sypialni i umyślnie otworzyła je, jak mogła najgłośniejszym. Tu było jakby trochę widniej - w każdym razie widziała wyraźnie przykryte kapą łóżko. Podeszła bliżej, odrzuciła narzutę i wsunęła rękę pod materac. Palce jej napotkały coś twardego... Chwała Bogu! Teczka jest na miejscu! Wyciągnęła ją i przycisnęła kurczowo do mokrego płaszcza. Odsunęła się od łóżka chcąc wyjść z sypialni. Lecz raptem - cała krew odpłynęła jej z serca. Obok w saloniku rozległ się odgłos kroków, odgłos z całą pewnością realny, nie wytwór jej rozgorączkowanej wyobraźni. Deski podłogi skrzypnęły. Kroki wyraźnie zmierzały, ku sypialni. Bezludnie powtarzała w duchu: „A więc miałam rację! Ktoś tu już był przede mną!”, a potem: „Przecież zaryglowałam drzwi - jesteśmy zaryglowani razem”. Stała ciągle bez ruchu, a krople deszczu kapały z jej płaszcza na podłogę.

Kroki były teraz tuż-tuż przy drzwiach. Jakaś postać nie do rozpoznania, ale przeraźliwie realna stanęła w progu. Nerwy Kay doszły do takiego stanu, że już jej było wszystko jedno, kto to jest - przyjaciel czy wróg, żywy czy upiór. Dla niej był dalszy ciąg tego koszmaru, jaki zaczął się, gdy zobaczyła leżącą Alicję Lumsden... Wysoka postać weszła do pokoju, a spokojny, trochę rozbawiony głos spytał cicho:

- To pani, panno Winyard? Domyślałem się, że tui panią zastanę!

Poznała głos doktora - poznała tylko mechanicznie, nie zastanawiając się, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy martwić - w każdym razie wiedziała jedno: że przestała się bać.

- Czy koniecznie musimy tak tkwić po ciemku? - spytał. - Okna tego pokoju wychodzą na morze, nie na ląd. Nikt nie dojrzy światła.

Wrócił do drzwi, przekręcił kontakt i po chwili światło zalało pokój.

- Pani jest zupełnie przemoczona - powiedział. Po chwili uśmiech, jaki bez przerwy igrał na jego ustach, zniknął. Spytał zaniepokojony: - Ależ pani ma taką minę, jak gdyby zobaczyła upióra! Przykro mi, jeżeli panią przestraszyłem, wcale nie miałem tego zamiaru!

Kay nie całkiem jeszcze przyszła do siebie. Zaciśnęła mocniej palce na teczce i z nowym uczuciem niepokoju spostrzegła, że oczy doktora skierowane są także na teczkę. Potem spojrział na łóżko i odrzuconą narzutę.

- Aha, więc pani ukryła teczkę pod materacem! Powinienem się być domyślić!

Słowa te przywróciły jej przytomność umysłu. Podejrzewała, o co mu chodzi, i z nagłym przyplływem gniewu powiedziała:

- To dlatego wstąpił pan do nas i dwukrotnie napomknął, że konstabl Masters zszedł z posterunku! Chciał mnie pan skłonić do przyjechania na wyspę i przyplłyną” tu za mną, żeby mnie schwytać na gorącym uczynku!

Na ustach Thorne’a znów ukazał się ten lekki uśmiech - dziwny uśmiech, jakby trochę sobie z Kay pokpiwał.

- No, mniej więcej - powiedział. - Wiedziałem, że pani schowała tu coś dzisiaj rano, i przypuszczam, że to właśnie to, czego i ja szukam. I nie omyliłem się.

Podszedł do niej blisko i nim się zorientowała, wziął z jej ręki teczkę... teczkę zawierającą tak wiele! Przyszłość Chilternów... los Terry’ego...

- Niech mi pan to natychmiast odda, doktorze! - zawołała półprzytomna z oburzenia.

- Chwileczkę, panno Winyard!

- Zaufałam panu! Myślałam, że pan...

Gniew opanował całkowicie Kay, każąc zapomnieć o Alicji, o wszystkim, co nie było teczką. Patrzyli sobie nawzajem w oczy, ale doktor ani na chwilę nie wypuszczał z rąk zdobyczy. Widziała jego twarz tak wyraźnie, jak gdyby znała te rysy od bardzo dawna - sposób, w jaki rozdymały się jego nozdrza, zarys szczęki, dziwny wyraz oczu - uparty i zagadkowy - wyraz, który czynił go obcym.

Czuła, że go nienawidzi.

- „Pan był cały czas po stronie majora! - powiedziała gwałtownie. - Pan mnie po prostu oszukał! Chciał się wkraść w moje zaufanie, a teraz major Clifford wysłał pana po tę teczkę.

Twarc doktora nie zmieniła się ani na jotę pod tymi oskarżeniami. Powiedział tylko spokojnie:

- Pani się myli. Major Clifford nie ma pojęcia o istnieniu teczki.

- A więc pan działa na własną rękę? Próbuje być wielkim detektywem, jest pan taki przebiegły i...

- Wcale nie próbuję być detektywem - odpowiedział spokojnie. - Miałem nadzieję, że da mi pani sposobność śledzenia jej aż tu, ponieważ chciałem się dowiedzieć, gdzie pani ukryła teczkę...

- Może ktoś naiwniejszy uwierzy w to, ale nie ja!

- Ale kiedy to prawda!

Podszedł bliżej i zrobił nieokreślony gest w jej kierunku. Dziwne, ale mimo iż jej nie dotknął czuła wyraźnie jego mocne, gorące palce - na ramieniu.



- A i to także jest prawdą, co pani opowiedziałem wczoraj o Rosemary - mówił dalej. - Niech mi pani wierzy! Czy myśli pani, że byłbym w stanie pracować ręką w rękę z majorem, czując taką nienawiść do Drake?

Kay ciągle jeszcze miała uczucie, jak gdyby rzeczywiście trzymał palce na jej ramieniu. Nie odczuwała czegoś podobnego w obecności mężczyzny od czasów Ivora. Nienawidziła doktora tym bardziej za to, że tak na nią działał. Nienawidziła - i trochę się go bała.

- Skąd mogę wiedzieć, jakie pan żywił naprawdę uczucia do Ivora i Rosemary! Jest pan sądownym lekarzem. To może być po prostu podstęp, żeby wydobyć ze mnie zwierzenia, które pan następnie przekaże majorowi Cliffordowi.

- Ależ z pani uparciuch! - doktor uśmiechnął się. - Czy wyglądałem na kłamcę, kiedy opowiadałem pani wczoraj o Rosemary?

- Nnno... nie. Wierzyłam panu.

- I w dalszym ciągu pani myśli, że zechcę wykorzystać pani zwierzenia dla majora Clifforda? - Twarz jego nagle jeszcze bardziej pociemniała, spoważniała. - Czy w całym tym szaleństwie, jakie przeżywamy wszyscy, nigdy nie zastanawiała się pani nad moją osobą? A powiadają, że kobiety mają intuicję! Myślałem, że pani wyczuła już, że uważam ją za najbardziej uroczą kobietę, jaką spotkałem od lat? A poza tym... jest pani piękna! - Uśmiech jego wrócił, czając się gdzieś w kąciakach oczu.

Nie! To wszystko nie miało najmniejszego sensu! Zabrał jej teczkę, usuwając grunt spod nóg, a teraz znowu coś podobnego! To oczywiste szaleństwo! Ale jeszcze większym szaleństwem było gwałtowne bicie jej serca w odpowiedzi na jego słowa.

- Pan... pan jest po prostu szalony!

- Oczywiście, że jestem szalony! Trudno być bardziej szalonym. - Położył teczkę na stole, ale Kay nie zrobiła żadnego ruchu, żeby ją odzyskać. Podeszedł do niej, ujął za ramiona i głęboko zajrzał w oczy.

- Ją sam nie mogę w to uwierzyć - powiedział cicho. - Ale jedną rzecz wiem na pewno... że się w pani zakochałem!

Zdawało się, iż oboje postępują wbrew własnej woli. Przyciągnął ją do siebie, aż poczuła na twarzy chłód jego przemoczonej tweedowej marynarki... a po chwili - jak gdyby wiedziała, że to musi się kiedyś stać -. poczuła na wargach jego ciepłe, mocne usta.

Jednakże nawet teraz, w czasie tego upojnego pocałunku, coś na dnie duszy Kay nie dawało jej spokoju. Powoli, stopniowo, kiedy jego usta ciągle jeszcze spoczywały na jej wargach, wyrastało przed jej oczami okropne, przerażające widziadło: Alicja Lumsden!

Alicja Lumsden w czerwonym płaszczu deszczowym, martwa w tym deszczu, w burzy; Kay drżąca wysunęła się z ramion doktora. Teraz, kiedy znów powrócił ten straszliwy, upiorny koszmar, opuściło ją nagle uczucie oszołomienia. Pozostało tylko podejrzenie, wstyd z powodu chwilowej słabości, resztki minionego gniewu.

- Kay... kochanie! Co ci się stało?

- Pan prowadzi ze mną jakąś grę - powiedziała patrząc na jego ciemną, zdziwioną twarz, jakby jej nie widząc. - Dlaczego nie powie pan wprost, czego ode mnie chce? Jeżeli teczki” to jej panu nie dam!

Skoczyła do stołu, chwyciła teczkę i patrzyła na niego wyzywająco, przekonana, że zechce jej wyrwać z rąk. On jednak nie ruszył się z miejsca.

Zęby Kay zaczęły szczerkać - zapewne dlatego, że było jej bardzo zimno, przemokła do suchej nitki. Szybko zaczęła przerzucać sztywnymi palcami zawartość teczki. Akcje... obligacje... Tak! A oto i czek... czek Ivora na tysiąc dolarów i przyczepiony do niego spinaczem jakiś papier. Rozwinęła go i zobaczyła żalostną spowiedź Terry'ego. Złożyła kartkę z powrotem, przyczepiła do czeku i wsunęła do teczki.

- Kay!

Głos doktora zmusił ją, by na niego spojrzała. Wyglądał przejęty, a równocześnie zdziwiony.

- Kay! Dlaczego postępujesz tak dziwnie? Czy mi nie wierzysz? Czy to, że cię kocham, wydaje ci się aż tak nieprawdopodobne?

- Mam wierzyć, że pan skłonił mnie do przyjechania tu, na wyspę, wyłącznie po to, by mi powiedzieć, że mnie kocha?! - Jej słowa ostre, gwałtowne, zaskoczyły nawet ją samą. Doktor zaś wyglądał, jak gdyby go uderzyła, w twarz.

- Kay...

- Jak pan chce, bym mu uwierzyła, skoro sam powiedział przed chwilą, że chciał tylko się przekonać, gdzie schowałam teczkę?

- Bo... bo ja musiałem znaleźć tę teczkę...

- Po co?

- Już pani powiedziałem. Zawiera coś, co muszę za wszelką cenę wydostać.

- W teczce... w teczce nie ma niczego, co by dotyczyło pana!

- Skąd ta pewność? Czy dokładnie przejrzała pani całą jej zawartość? - Wargi miał poblądłe i zaciśnięte. - A jeżeli pani powiem coś o tej teczce, to mi pani uwierzy?

Kay, patrząc na niego, usiłowała uporządkować jakoś swe uczucia, uciszyć mocne bicie serca.

- Niech mi pani pozwoli na chwilę zajrzeć do środka - poprosił.

Palce Kay instynktownie mocniej zacisnęły się na teczce.

- To tylko jakiś nowy trik z pana strony - powiedziała.

- Skoro pani tak uważa... - wzruszył bezradnie ramionami. Nagle, nie zastanawiając się, co robi, Kay wyciągnęła do niego teczkę. Wziął ją bez słowa. Otworzył i zaczął przerzucać zawartość. Szczęki miał zaciśnięte. Na samym dnie leżała koperta - była rozcięta, a przez szparę widać było, że wewnątrz znajduje się list. Odłożył teczkę na stół i wyjął list.

- Nikt o tym nie wie - powiedział, spojrzawszy na Kay. - I miałem nadzieję, że nikt nigdy nie dowie się, zwłaszcza pani... Ale skoro wątpi pani w moją szczerość... - Zamilkł na chwilę. - Pani mnie uważa za szpiega majora Clifforda. Zobaczymy, co pani o mnie pomyśli po przeczytaniu tego listu.

Kay z wahaniem wzięła list z jego rąk. Koperta, ze znaczkiem „Bermudy”, ostemplowana była datą sprzed osiemnastu miesięcy. Zaadresowana energicznym, męskim charakterem pisma, do:

*W Pani Rosemary Drake Hotel Mireille New Orleans, La.*

Wyjęła list z koperty i zaczęła czytać:

*Rosemary, kochanie moje!*

Kiedy przebiegła oczami wiersz po wierszu tego gorzkiego, wstrząsającego listu, poczuła głęboki wstyd - nie ma prawa czytać czegoś tak bardzo intymnego, przeznaczonego wyłącznie dla jednej osoby! Był to list kochającego mężczyzny, pozbawionego wszelkiej nadziei, wiedzącego, że kobieta, którą kocha, związana jest węzłem małżeńskim z człowiekiem podłym, torturującym i dręczącym ją konsekwentnie, aby doprowadzić ją do śmierci. List mężczyzny, zdającego sobie stokroć lepiej niż ta kobieta sprawę z tego, co się z nią dzieje. Wiedzionego myślą, jak uratować Rosemary Drake nie tylko od samego Ivora, ale przede wszystkim od tej ślepej miłości do niego.

Kay wpatrywała się w ostatni ustęp listu:

*Rosemary! Musisz go porzucić! To twoja jedyna szansa. Jeżeli tego nie zrobisz, to on cię zabije - subtelnie może nie wprost, ale równie pewnie, jak gdyby wbił ci nóż w plecy. Musisz to zrozumieć... I musisz być silna Wkrótce wróćcie na Bermudy. Czy myślisz, że potrafią stać na uboczu i przyglądać się, co on z tobą wyprawia?*

*Wolę śmierć! Nie, raczej niech on umrze! Rosemary, ja mówię poważnie. Jestem doktorem - lekarzem koronera na cały tutejszy okręg. Są różne sposoby. Nikt się niczego nie domyśli. Mogę podpisać świadectwo zgonu i... i podpis - Tim.*

Kay nie mogła się przemóc, ażeby przeczytać list do końca. Z nieprzytomnie bijącym sercem spojrzała mu prosto w oczy. On także na nią patrzył z wyrazem goryczy i niepokoju. Wzruszył lekko ramionami.

- No, i co? - spytał. - Rozumie pani teraz, że w teczce było coś, na czym mi zależało? A może w dalszym ciągu podejrzewa mnie pani, że ją szpieguję z polecenia majora Clifforda?

- Pan... pan napisał ten list do Rosemary?

- Musiałem chyba być szalony i rzeczywiście byłem! Rosemary pisywała do mnie krótkie, przejmujące listy. Och, nie opisywała mi wszystkiego, co przeżywała, ale czytałem między wierszami, jakie piekło stwarza jej Ivor. Nie mogłem tego dłużej znieść, bo ją znałem, wiedziałem, że jest zbyt dziecinna, zbyt zaślepiona i bezradna, żeby móc się ratować. To był mój ostatni list do niej. Byłem wówczas prawie nieprzytomny, gotów na wszystko.

Przerwał na chwilę i stał naprzeciwko niej z twarzą nagle poszarzałą - potem bezbarwnym, złamanym głosem dodał:

- Ten list nigdy nie dotarł do rąk Rosemary. Kiedy przyszedł, ona już nie żyła... wyskoczyła przez okno. List przyszedł do hotelu i oddano go Ivorowi po śmierci żony. A on, oczywiście, przeczytał go.

Kay patrzyła na jego udręczoną twarz, a serce topniało jej w piersi ze współczucia.

- Zachował ten list - ciągnął dalej swoje opowiadanie Tim. - Wrócił na Bermudy, bał się mnie. Mam wrażenie, że byłem może jedyną istotą ludzką, przed którą Ivor czuł strach. Wiedział, że orientuję się doskonale w tym, co zrobił z Rosemary, i że nigdy mu tego nie przebaczę. Ale koniec końców pokonał mnie. - Tim uśmiechnął się blado. - Bo, widzi pani, ten list gwarantował mu bezpieczeństwo. Jestem przekonany, że doskonale zdawał sobie sprawę, że zamordowałbym go bez najmniejszych skrupułów, ale wiedział, że jest bezpieczny, mając mój list, więc bawił się całą sytuacją. Po śmierci Rosemary, kiedy wrócił na Bermudy, wezwał mnie po tygodniowym pobycie do siebie i oświadczył, iż ma mój list, że w każdej chwili może go przekazać policji, która się dowie, że nie tylko zamierzałem go zamordować, ale w dodatku chciałem wykorzystać swoje oficjalne stanowisko w celu ukrycia zbrodni. Rozumie pani, że jednym palcem mógł zniszczyć całe moje życie. Od tej pory igrał ze mną jak kot z myszą. Bywały dni, iż budził we mnie nadzieję, że zwróci mi list, a inne, kiedy odprawiał mnie do domu w nastroju takim, że za lada dzwonkiem u drzwi - w dzień czy w nocy - oczekiwałem wkroczenia policji. Przez cały rok bawił się tak ze mną i dręczył, ot, po prostu dla sportu, dla upajającej rozkoszy torturowania kogoś, kto go nienawidzi.

Kay widziała, jak pięści Tima zacisnęły się tak mocno, że zbieleły mu kostki.

- Przechowywał ten list w podręcznej kasie pancерnej w Nowym Jorku, wiedząc, że go stamtąd nie wydobędę. Kiedyś nawet prowokował mnie, żebym go zabił, bo wiedział, że wtedy list wpadnie w ręce policji, a na mojej szyi zaciśnie się stryżek. Dopiero wczoraj, po przyjeździe, powiedział mi, że zabrał list ze sobą i ma go w teczce, w walizce. Dręczył mnie, dając do zrozumienia, że ma zamiar mi go zwrócić. Potem... potem roześmiał się i odszedł.

- Tim, gdybym była - wiedziała...

- ...nie podejrzewałaby mnie pani, że jestem po stronie policji, tak? - roześmiał się krótko. - Może pani sobie wyobrazić, co się ze mną działo na wieść o śmierci Ivora! Oblewałem się zimnym potem na myśl, że mój list zostanie znaleziony przez majora. Żyłem tylko jednym pragnieniem, żeby list odzyskać, ale okazja nadarzyła się dopiero dzisiaj po południu. Kiedy rano byliśmy tu z majorem, zastaliśmy panią i panią Chiltern. Byłem przekonany, że i pani tu czegoś szuka, a później, kiedy udało mi się tu dostać, przejrzałem zawartość walizki i stwierdziłem, że teczka zniknęła. Byłem pewien, że to pani ją zabrała i gdzieś ukryła. Wymyśliłem więc plan, żeby pani się tu znowu wybrała, i przyjechałem za panią. Teraz wszystko jasne, prawda?

- Oczywiście, wszystko teraz rozumiem!

- Może więc wobec tego uwierzy pani i w to drugie, że panią kocham? Stało się to tak niespodziewanie... i dziwnie. Ale to prawda... nie żadne złudzenie.

Kay poczuła nagle tak głęboką radość, że chciało jej się płakać. Tim podszedł i położył jej rękę na ramieniu. Wszystko było dobrze.

- Zdałem się całkowicie na twoją łaskę, Kay - powiedział po dłuższej chwili. - Wiesz o mnie najgorsze i masz w teczce mój list. Jeżeli zechcesz, możesz z nim pójść do majora Clifforda. W każdym razie, nic i nikt nie może cię powstrzymać, gdybyś zdecydowała tak postąpić...

Kay powzięła nagle silne postanowienie. Bez wahania wzięła ze stołu pudełko zapalek i zapaliła jedną. Tim Thorne widział, jak przytknęła płomień do rogu arkusika - twarz mu się wygładziła i straciła poprzedni wyraz udręki i naprężenia.

Płomień dotykał już niemal palców Kay i spopielił list, a oczy obojga ani na chwilę nie odrywały się od siebie. Kay wypuściła z rąk zetłaty arkusik i opuściła go na podłogę. Doktor Thorne nie ruszył się z miejsca... unióś tylko lekko ramiona i powiedział cicho:

- Dziękuję ci, Kay...

Teraz dopiero Kay poczuła, że wszystkie jej podejrzania nagle się rozwiały, że ma do niego najpełniejsze zaufanie. Z głębokim wzruszeniem pomyślała w duchu: „Teraz jest nas

już dwoje... nie jestem sama”. Przedtem musiała toczyć beznadziejną walkę o Chilternów zupełnie sama. Teraz mieli stoczyć bitwę o Tima - we dwoje.

- Dowiodłam ci, że możesz mi zaufać - powiedziała szybko - a teraz chcę ci dowieść, że i ja ci ufam. Ivor skrzywdził cię bardzo, ale zupełnie tak samo zrobił z Terryem. Miał przeciwko niemu dowody winy, trzymał je w tej teczce; po nie właśnie przyjechałam.

A po chwili, kiedy znów stanął jej przed oczami okropny obraz Alicji Lumsden, dodała:

- Ale to jeszcze nie wszystko, Tim. Mam ci jeszcze coś stokroć gorszego do powiedzenia.

- Nie! Nie mów nic! - przerwał jej raptownie. - Nie chcę wiedzieć o niczym, czemu nie mógłbym zaradzić... Dość i tak gnębi mnie myśl, że major Clifford uf mi ślepo, nie zdając sobie sprawy, że jestem takim samym podejrzanym osobnikiem, jak każdy inny.

- Podejrzanym! Przecież wcale nie jesteś podejrzanym! Chodziło jedynie o list, a list został zniszczony. A nawet... nawet gdyby major znalazł ten list, masz przecież niezbite alibi, jeżeli idzie o śmierć Ivora.

- Niezbite! - uśmiechnął się blado. - Tak samo niezbite jak alibi Dona, prawda?

- Jak to! Powiedziałeś przecież, że Don przyszedł do ciebie przed pół do dwunastą?

- Bo tak było rzeczywiście... Przynajmniej tak mi Don powiedział...

- Ależ... nie rozumiem...

- Dlaczego spodziewałaś się, że będę mówił prawdę majorowi Cliffordowi, skoro i wy także nie powiedzieliście mu prawdy? Don zeznał, że przyszedł do mnie o jedenastej trzydzięci - i prawdopodobnie tak było... Ja nie wiem... Nie wiem, bo mnie nie było w domu!

- Tim! Jak to? Nie było cię w domu? - Kay miała wrażenie, że znowu wpada w dawną rozterkę i niepewność.

- Wróciłem dopiero prawie o dwunastej i zastałem Dona czekającego na mnie w domu. Powiedziałem, że byłem na spacerze...

- Wobec tego i Don... Don mógł skłamać przed tobą. Mógł udać, że czeka na ciebie od dawna o... Tim! Don mógł zabić Ivora!

- Przypuszczalnie mógł.

- W czasie, kiedy ty byłeś na spacerze!

- Na spacerze! Ja tylko tak powiedziałem Donowi, ale to nie była prawda.

- Bo nie byłeś? - spytał bez tchu Kay.

- Nie.

- Więc gdzie... gdzie wtedy byłeś? Tim opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Na zatoce - odpowiedział cicho - wiosłowałem, płynąłem do was, do „Sztormu”.

- Jak to do „Sztormu”, Tim? Po co?

- Chciałem się zobaczyć z Ivorem... błagać go po raz ostatni o zwrócenie mi listu... - głos Tima był ledwie dosłyszalny. - Byłem już bliski lądu, kiedy usłyszałem odbijającą od przystani motorówkę Ivora i domyśliłem się że ma zamiar przenocować na wyspie. Wydało mi się to doskonałą okazją do rozmowy z Ivorem w cztery oczy. Zmieniłem więc kierunek i pojechałem na wyspę. Byłem już prawie przy brzegu, kiedy zobaczyłem Simone wysiadającą w stronę pawilonu Ivora. Cały mój plan spalił na panewce. Nie mogłem przecież rozmawiać z Ivorem w jej obecności. Wobec tego wróciłem do domu.

Kay słuchała jak urzeczona - i dopiero po dłuższej chwili zdołała odpowiedzieć:

- Czyli innymi słowy... w chwili, kiedy zostało popełnione morderstwo... byłeś w łódce... na zatoce...

- Właśnie. Na zatoce, w chwili kiedy popełniono morderstwo. - Tim udawał obojętność. - Teraz więc widzisz Kay, jakim jestem wspaniałym podejrzanym?!

## **Rozdział 18**

Kay była zbyt wstrząśnięta, żeby coś powiedzieć. Przez krótką, okropną chwilę, kiedy na niego patrzyła, myśli jej wróciły mimo woli do Alicji Lumsden... do jej zwłok na podjeździe - do opuszczonych, żalonych zwłok pod strugami deszczu. Tim Thorne był dziś po obiedzie w „Sztormie” - wszedł przez drzwi tarasowe tuż po rozpęтaniu się burzy. O tej samej więc porze, kiedy widziała Alicję Lumsden wyprowadzającą rower z szopy, Tim mógł ją także widzieć... domyślić się celu jej wycieczki...

Zmusiła się, żeby odpędzić natrętne myśli - zwłaszcza teraz nie mogła tak myśleć o Timie. A jednak wbrew woli czuła, jak jakaś zimna obręcz zaciska się jej dokoła serca. Kiedy patrzyła na jego ciemną, nieprzenikloną twarz, owo niejasne uczucie szczęścia i zaufania, przepelniające ją jeszcze tak niedawno, zaczęło ustępować miejsca trwodze i niepokojowi. Nie była w stanie wysłuchać tego, co miał jej jeszcze powiedzieć.

- No... mam wrażenie, że powinniśmy pomyśleć o odwrocie - powiedziała i wzięła ze stołu teczkę. On także widać nie czuł się tak dobrze z nią jak przedtem. Powiedział burkliwie:

- Mam ze sobą torbę lekarską, na wszelki wypadek, żeby wyglądać urzędowo, gdyby mnie ktoś tu przyłapał. Włożymy teczkę do torby... będzie bezpieczniejsza.

Kay zawahała się chwilę, czy może mu powierzyć coś tak drogiego, ale nie odważyła się zaprotestować. Wziął z jej rąk teczkę, a potem przepuścił Kay przed sobą i zgasił światło w sypialni. Wyszli.

W ciemnym saloniku posuwali się ostrożnie. Doktor znalazł na jednym z krzeseł swoją torbę lekarską - otworzył ją i wsunął teczkę. W milczeniu, które stawało się krępujące, ruszyli do drzwi.

Ciągle jeszcze padał rześisty deszcz, chociaż burza trochę osłabła na sile. Zrobiło się zupełnie ciemno, tak że w drodze do przystani Tim ujął Kay pod ramię. Rozpaczliwie pragnęła odwzajemnić uścisk jego ręki, ale nie mogła.

Dobrnęli wreszcie do przystani - za kurtyną deszczu migotały w dali światła w oknach „Sztormu”.

- Lepiej będzie, jeżeli każde z nas wróci swoim kajakiem - powiedziała Kay. - Byłoby niedobrze, gdyby jeden tu został.

- Masz słuszność. Idź za mną - powiedział i puścił jej rękę.

Tim zajął miejsce w swoim kajaku, zabierając ze sobą torbę, a Kay poszła do swojego. Przy lądowaniu na wyspie kajak Kay dostał się jakoś pod pomost, bo inaczej byłby zapewne pod ciężarem deszczu pogrążył się w wodę. Ale i tak był do połowy napełniony wodą - i kiedy Kay płynęła bezszelestnie w ślad za majaczącym przed nią kajakiem Tima, stopy jej tkwiły w wodzie. Zastanawiała się, czy tymczasem ktoś już znalazł zwłoki Alicji, i na tę myśl poczuła mdłości. W każdym razie, tak czy inaczej, czeka ją jeszcze ciężka próba. Nie czuła się na siłach stawie teraz czoła nowym przesłuchaniom i dochodzeniom majora Clifforda albo - co gorsze - wrócić do domu, gdzie tylko ona i sprawca morderstwa będą wiedzieli, że ciało Alicji Lumsden leży, przez nikogo jeszcze nie zauważone, pod strugami deszczu.

Oba kajaki sunęły cicho po wodzie. W świetle jednej z rzadszych już teraz i słabszych błyskawic Kay zobaczyła, że Tim nie kieruje się do przystani, lecz na plażę - prawdopodobnie dlatego, że istniała możliwość, że ich na przystani może ktoś zobaczyć.

Kajaki dobiły do brzegu i zaryły się ostrymi dziobami w piasek. Tim, trzymając w ręku torbę, wyskoczył na brzeg i podszedł do kajaka Kay, aby jej pomóc wysiąść.

- Odepchnijmy kajaki od brzegu - powiedział - to pomyślą, że burza zerwała cumy i porwała je na morze.

Odepchnięte od lądu kajaki zakołysały się lekko na fali odpływu i zniknęły im z oczu w ciemnościach. Kay zdała sobie z lekkim dreszczem sprawę, że stoją dokładnie w miejscu, gdzie zeszłej nocy major wykrył ślady na piasku. Ruszyli powoli pod górę obok krzaków jukki, schodzących aż do plaży. Znowu rozległ się grzmot.

- Kiedy podejmiemy do domu, będziesz się mogła wśliznąć przez pokój Chilterna - powiedział łagodnie Tim. - Na pewno czeka na ciebie niecierpliwie. Ja chwilę postoję na dworze, a później wejdem frontowymi drzwiami, jak gdybym dopiero co przyszedł.



Musieli obejść dużym łukiem, żeby ominąć światła z okien salonu. Okrążyli trawnik i weszli na podjazd. Kay ogarnął znowu przejmujący strach, kiedy poczuła pod stopami miękki grunt i przypomniała sobie Alicję Lumsden. Przed nimi, nieco na prawo, zarysował się niski, przysadzisty kształt budynku; niewątpliwie szopa rowerowa! Jeżeli Alicji dotychczas nie znaleziono, to jeszcze tam leży, po tamtej stronie szopy. Myśl o zwłokach stawała się po prostu obsesją. Po tamtej stronie szopy! Już same te słowa, brzęczące uparcie w jej mózgu, były jak gdyby otwartymi wrotami, przez które wdzierала się w jej duszę panika. Idący tuż przed nią Tim wskazywał drogę. Czy minie szopę? Potem zejdą na podjazd, po tamtej stronie i... potkną się o... Wysunęła instynktownie rękę, żeby się wesprzeć na ramieniu Tima. Aż nagle, z uczuciem ogromnej ulgi, zdała sobie sprawę, że drzwi tarasowe do pokoju Gilberta znajdują się tu - bliżej, na lewo - nie będą więc potrzebowali przechodzić na tamtą stronę szopy.

W tej samej chwili, idący przodem Tim - nagle przystanął.

- Tam... przed, nami - powiedział szeptem - widzisz? Coś się poruszyło.

Kay spojrzała we wskazanym kierunku, ale nie mogła nic dojrzeć wśród ciemności.

- Jestem przekonany, że kogoś widziałem - powiedział Tim, a nie usłyszawszy odpowiedzi, dodał: - A moi że mi się tylko zdawało... Chodźmy!

Skręcili w lewo i poszli prosto do miejsca, gdzie Timowi się zdawało, że kogoś zobaczył. Kiedy przemykali się drogą od szopy, w Kay drgał każdy nerw. W pewnej chwili Tim odezwał się znowu:

- Pójdę jeszcze z tobą parę kroków, potem możesz przejść na przełaj do pokoju pana Chilterna. Znasz drogę a ja będę udawał, że...

Urwał, bo nagle się potknął i mimo woli potrącił Kay Mruknął pod nosem, zdziwiony:

- Coś tu leży na ziemi... o mało się nie przewróciłem.. Poczekaj chwilę.

Kay stała nieruchoma. Tim wyjął z kieszeni latarkę i skierował jej promień na ziemię... Kay wydała stłumiony okrzyk. To niemożliwe! To, co zobaczyła, musiało być halucynacją, ujrzała bowiem na własne oczy to, co podświadomie cały czas tkwiło w jej wyobraźni. Patrzyła w dół, wiedząc, że się musi z tym pogodzić, że wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, to leży tu, u jej nóg - co najmniej o dwadzieścia kroków od miejsca, w którym zobaczyła zwłoki po raz pierwszy.

Skurzone ciało w czerwonym deszczowcu i biała twarz w świetle latarki - a za zwłokami, trochę dalej, błyszcząca rama roweru.

Głos Tima, lekko schrypnięty i pełen dziwnego napięcia, przywrócił ją do przytomności.

- To... Alicja Lumsden! - zawołał z niedowierzaniem i już klęczał przy zwłokach, a jego zwinne palce poruszały się zręcznie w świetle latarki, badając leżące nieruchomo ciało.

- To Alicja! - powiedział. - Ona nie żyje.

Z zaciśniętych warg Kay wyrwał się krótki szloch.

- Ależ... ależ to niemożliwe! - wyjąkała. - Przecież ona leżała tam, po drugiej stronie szopy. Ktoś ją tu przeniósł!

Tim Thorne wstał i podszedł do Kay. Nie gasząc latarki, schwycił ją za ramię i spytał gwałtownie:

- O czym ty mówisz, Kay? Co to znaczy, że ktoś ją przeniósł?

- Tim, ja, ja chyba oszalałam, sama nie wiem, co mówię, ja...

Nie mogła dokończyć, gdyż Tim zawołał nagle:

- Spójrz tam!

Światło latarki padło na dróżkę wiodącą do szopy. Kay spojrzała we wskazanym kierunku i w najdalszym zasięgu światła zobaczyła jakąś niewyraźną, ciemną postać, oddalającą się od nich w strumieniach deszczu.

- Miałem rację, ktoś tu przed chwilą był, tu, przy zwłokach.

Kay nawet nie spostrzegła, jak zaczęli biec razem ścigając oddalającą się postać. Chwilę Kay widziała ją wyraźnie, potem nagle postać skręciła i zniknęła w szopie. Dobiegli do szopy i wpadli razem do środka - Tim skierował promień światła prosto między rzędy rowerów.

- Kto tu jest? - spytał ostro.

Może najgwałtowniejszym ze wszystkich dzisiejszych przeżyć był dla Kay wstrząs, kiedy w postaci stojącej nieruchomo wśród rowerów poznała swoją siostrę Maud.

Maud Chiltern bynajmniej nie starała się ukryć. Miała na sobie granatowy płaszcz deszczowy z kapturem, na którym lśniły, krople deszczu. Jej twarz, osłonięta kapturem, była blada, ale absolutnie spokojna. W jednej ręce trzymała przemoczony brązowy papier - z drugiej zwieszała się para białych bawełnianych spodni od męskiej piżamy.

- Ach, to ty, Kay - powiedziała. - O, i doktor Thorne...

- Maud, czy to ty? - słowa wyrwały się z ust Kay pospiesznie, niewyraźnie. - Czy to ty przeniosłaś ciało w inne miejsce?

Rzęsy Maud zadrgały nad spokojnymi oczami. Starła się ukryć spojrzenie, jakie rzuciła na Tima. - Nie rozumiem, o czym mówisz, kochanie. Jakie ciało?

- Nie staraj się mnie oszukać, Maud. Widzieliśmy cię oboje tam, przy zwłokach! - zawołała Kay i dodała spieszenie: - Nic się nie bój, Tim jest po naszej stronie.

- Moja droga, gdybym ci miała coś do powiedzenia, to oczywiście zrobiłabym to i przy doktorze.

- Więc wolisz milczeć? Nic nie chcesz nam powiedzieć?

- Jeżeli tak chcesz to ująć, Kay.

Wzrok Kay zatrzymał się na ręce siostry, w której trzymała piżamę - zauważyła na jednej nogawce dużą brązową plamę od spalenia żelazkiem. Przypomniała sobie Elaine. Kiedyż to było? Całe wieki temu... Elaine w kuchni, prasująca białe spodnie od męskiej piżamy - zbyt długo przytrzymane żelazko wypaliło w materiale plamę... Przypomniała sobie też Alicję - Alicję z brązową paczką pod pachą, mówiącą z triumfalną miną: „Mam tutaj dowód”...

- Maud... te spodnie były w paczce, zawiniętej w brązowy papier, którą Alicja trzymała pod pachą, prawda? - spytała nieswoim, głuchym głosem.

Maud milczała. Ale kiedy oczy jej spotkały się ze wzrokiem siostry, można było w nich wyczytać przerażenie i rozpacz. Trwało to jednak nie dłużej niż ułamek sekundy. Po chwili twarz jej stała się znowu gładka i spokojna, Kay zdała sobie sprawę, że ten nadludzki spokój jest wynikiem równie nadludzkiej siły woli.

- Maud, czy nie zechcesz nam powiedzieć?

- Przepraszam cię - przerwała jej Maud łamiącym się głosem - ale jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym wrócić do domu.

I to wszystko.

Nim Kay i Tim zdążyli coś powiedzieć, przeszła obok nich i zniknęła w drzwiach szopy.

- Co to wszystko znaczy, Kay? Nic nie rozumiem! - powiedział Tim zdławionym głosem. - Czy wyście obie postradały zmysły? Co... co ty właściwie wiesz o Alicji, Kay?

- Maud nie powiedziała prawdy - wyszeptała Kay prawie bez tchu. - To ona przeniosła ciało Alicji, jestem tego pewna! Moja siostra musiała mieć po temu jakiś ważny powód...

Dopiero teraz opowiedziała szczegółowo doktorowi o tym, jak znalazła ciało i zostawiła je na drodze, chcąc za wszelką cenę dostać się na wyspę.

- Wiedziałam, że Alicja już nie żyje - tłumaczyła - i że nic” absolutnie nic nie mogę jej pomóc ani ja, ani nikt. A musiałam odzyskać teczkę, od której zależał los Terry’ego.

- I jesteś pewna, że ktoś przeniósł ciało - w inne miejsce?

- Absolutnie! Znalazłam je po drugiej stronie szopy - leżało w zupełnie innej pozycji i rower leżał zupełnie inaczej. Ktoś przeniósł ciało i rower i jestem pewna, że zrobiła to Maud, bo Alicja, wyjeżdżając, miała pod pachą paczkę zawiniętą w brązowy papier. Musiały w niej

być z pewnością te spodnie od piżamy. Alicja mówiła, że jest to „dowód rzeczowy” przeciwko temu, kto zamordował Ivora, i że wiezie to do majora Clifforda. I wiem jeszcze coś więcej o tych spodniach, Timie - mówiła Kay po krótkiej chwili wahania. - Wczoraj w nocy, bardzo późno, zastałam Elaine w kuchni, prasującą te spodnie. Jestem pewna, że to te same, bo przypaliła je żelazkiem. Miałam wrażenie, że je przeprała i miała zwrócić właścicielowi, tak żeby nikt się nie dowiedział.

Twarz Tima była dziwnie zamyślona, a w oczach znów pojawił się zagadkowy wyraz. - Co teraz zrobimy? - spytała bezradnie Kay.

- Zatelefonujemy po majora Clifforda - odpowiedział Tim bez wahania. - Śmierć musiała nastąpić co najmniej przed godziną. Nie możemy dłużej zwlekać.

Ruszyli razem w stronę domu, nie dbając już teraz, czy ich ktoś zobaczy. Weszli kuchennym wejściem, nie zważając, że kolorowa pokojówka i kucharka ze zdumieniem patrzą na ich mokre deszczowce. Kay zaprowadziła Tima korytarzem do małej niszy, w której stał telefon. Czekala sztywna i zlodowaciała, aż nakręcił numer, odbył, krótką rozmowę i odwiesił słuchawkę.

- Major zaraz tu będzie. - Tim spojrzał na nią z ledwie widocznym uśmiechem na ustach. - Przebierz się zaraz w coś suchego i ciepłego, a ja wracam do zwłok.

Odwrócił się, by odejść, ale raptem cofnął się i wpatrzył w nią przenikliwie.

- Kay, nim odejdę, czy mógłbym porozmawiać gdzieś z tobą sam na sam?

- Chyba w bibliotece.

W bibliotece nie było nikogo. Tim zamknął za sobą starannie drzwi i powiedział prędko:

- Kay, muszę się upewnić, czy powiedziałaś mi wszystko, co wiesz o Alicji.

Powtórzyła mu więc jeszcze raz wszystko od początku, tak jak to już zrobiła w szopie. Nagle przypomniała sobie jeszcze coś.

- I jeszcze jedno... dzisiaj wczesnym popołudniem, gdy zeszłam do biblioteki z Gilbertem, zastaliśmy Alicję schyloną nad tą niską kanapką w rogu. Kiedy nas zobaczyła, zmieszała się i schowała coś pod rozrzuconymi poduszkami - była tak podniecona, jak gdyby wykryła coś ważnego. Po jej wyjściu sprawdziłam, co to mogło być, ale niczego nie znalazłam pod poduszkami.

Instynktownie podeszli do niskiej kanapki zarzuconej cytrynowożółtymi poduszkami. Kay schyliła się i zaczęła je odrzucać na bok.

- Na samym spodzie leżała zielona poduszka - powiedziała. - Podniosłam ją i szukałam pod nią. Ale nie widzę teraz tej zielonej poduszki - zauważyła ostro i przerzuciła wszystkie poduszki jeszcze raz, żeby się upewnić.

- Jasnozielona poduszka w ciemniejsze pasy - wyjaśniała Timowi. - Pamiętam, że była wilgotna i trochę poplamiona.

- Zielona poduszka... - powtórzył za nią jak echo zamyślony Tim.

- Tak...

Spojrzała na niego, zaskoczona zmianą, jaka zaszła w jego twarzy. Był blady i głęboko poruszony.

- Jakiż głupiec ze mnie! - powiedział cicho jakby do siebie. - Zielona poduszka i te ślady na piasku.

- Tim! O czym ty mówisz? Co się stało? Doktor Thorne położył jej ręce na ramionach.

- Kiedy zabito Ivora, Kay, sumienie nie dręczyło cię, że pragniesz kryć sprawcę - powiedział poważnie. - Ale teraz zamordowano jeszcze kogoś. Kogoś, czyją jedyną winą było, że za wiele wiedział. Nie zechcesz chyba bez końca wybaczać i ukrywać mordercy, prawda?

- Nie rozumiem cię, Timie - powiedziała, poczuwszy nagle strach.

- Czyż nie widzisz, jak się teraz wszystko zmieniło? - mówił gwałtownie. - Alicja nie żyje. To było ohydne, popełnione z zimną krwią morderstwo, którego nic nie usprawiedliwia. Absolutnie nic. Nie możesz przecież wybaczyć mordercy? Jak myślisz?

- Tim, nie chcesz chyba powiedzieć, że wiesz, kto zabił Ivora i Alicję?

- Teraz nie możemy już nic na to poradzić, Kay. Śniliśmy, ale już czas na przebudzenie! Nie zapominaj o tym, cokolwiek miałoby się stać.

- Tim...

Ale on już nie słuchał - odwrócił się i ruszył do drzwi; ona zaś spoglądała za nim półprzyciemnie. Wszystkie jej obawy, niepokoje przekształciły się teraz w uczucie niezmiernego znużenia, nie czuła nic prócz tępego, strasznego wyczerpania. Dopiero gdy drzwi się zamknęły za doktorem, przypomniała sobie, że nie oddał jej teczki - teczki zawierającej nie tylko cały byt materialny Chilternów, ale i dowody obciążające Terry'ego.

## **Rozdział 19**

Wszystko, co się działo potem, wydało się Kay snem. Sama nie wiedziała, jak dostała się do swego pokoju. Zrzuciła przemoczone ubranie i zanurzyła się w gorącą wodę, chcąc rozgrzać zlodowaciałe ciało. Ale nawet po włożeniu wełnianego swetra i spódniczki, nie mogła się pozbyć uczucia przejmującego chłodu.

Kiedy znów weszła do salonu, była roztargniona i nieobecna duchem, jak gdyby to nie ona sama uczestniczyła w zebraniu, ale ktoś obcy, kto tam był, opowiadał jej o wszystkim. Pamiętała tylko oderwane obrazki i fragmenty: blade, niespokojne twarze Gilberta, Maud, Terry'ego, Elaine, Simony, Dona. Wszyscy tam byli. Siedzieli lub stali pośrodku pokoju, który niegdyś należał do Ivora, a później - nie dłużej niż przez godzinę - do Alicji Lumsden.

Tylko dwie twarze zatrzymały na dłużej wzrok i uwagę Kay: urzędowa, czujna twarz doktora, stojącego przy zamkniętych drzwiach balkonowych, i majora Clifforda, wykuta jak z granitu - surowa i nieustępliwa. Kay nie zdawała sobie sprawy, jak długo już major tutaj przebywa ani też, co się dzieje. W każdym razie burza, wywołana zjawieniem się majora Clifforda - o ile burza w ogóle miała miejsce - musiała już przycichnąć; obecni byli milczący i apatyczni.

Nad wszystkim dominował głos majora Clifforda. Powoli, stopniowo Kay zaczęła się przysłuchiwać, co mówił. Mówił w tej chwili o Timie.

- Doktor Thorne dokonał wstępnych oględzin zwłok. Panna Lumsden zginęła na skutek silnego uderzenia w skroń, zadanego prawdopodobnie w chwili, kiedy jechała na rowerze aleją podjazdową. Ponieważ ciało znaleziono w najbliższym sąsiedztwie domu, należy przypuszczać, że atak na nią miał miejsce bezpośrednio po wyprowadzeniu przez nią roweru z szopy, czyli innymi słowy, parę minut po rozpętanu się burzy.

Jeden z moich ludzi znalazł w krzakach przy szopie syfon pełen wody sodowej. Zarówno ja, jak i doktor Thorne przypuszczamy, że to właśnie było narzędziem, zbrodni - szkło syfonu jest bardzo grube i mocne, tak że należy wątpić, czy syfon by się rozbił po zadaniu nim śmiertelnego ciosu.

Pierwszą przytomniejszą myślą Kay było: czy major wie, że ciało zostało przeniesione w inne miejsce? Czy Tim mu powiedział? A następną: czy to rzeczywiście Maud je przeniosła - a jeżeli Maud, to jaki miała powód, żeby to zrobić?

Ale major najwidoczniej nie miał zamiaru wdawać się w podobne rozważania. Zaczął zadawać obecnym pytania w rodzaju: proszę mi wymienić miejsce swego pobytu od chwili rozpętanu się burzy? W chwili, gdy Alicja Lumsden poszła do szopy po rower? Wszyscy, jeden po drugim odpowiadali - nie wyłączając Kay, która także odpowiadała spokojnie i logicznie, nie zdając sobie zresztą zupełnie sprawy, co mówi. Stopniowo, w miarę przesłuchania, zaczęła przytomniej rejestrować fakty. Gilbert mógł dać jej alibi. Po rozstaniu się z Maud, była dłuższy czas sama z Gilbertem w bibliotece. Tak, przypomina sobie - a Maud i Elaine były na górze w pokoju Elaine, jak teraz twierdziły. Ale „aha” majora Clifforda brzmiało dziwnie sceptycznie. Don Baird, chociaż twarz miał dziwnie bladą nad zielonym

ciepłym golfem, twierdził ze zwykłą arogancją, że od początku, jak tylko zaczęło padać, siedział w domu. Jako świadka podawał konstabla Mastersa, który przyszedł do niego skryć się przed ulewą i cały czas przebywali razem. - Jeśli mi pan nie wierzy - zakończył - to proszę wezwać konstabla.

Major Clifford patrzył na młodego sternika trochę drwiąco, a trochę sceptycznie.

- No, no, no! Świetnie! Najpierw pańskim alibi był doktor Thorne teraz konstabl Masters. Widzę, że lubi pan wszystko w najlepszym gatunku.

Don nic nie odpowiedział, tylko spojrzał spode łba na majora, a Kay przypomniała sobie słowa doktora o wyda-: rzeniach ostatniej nocy i w duchu zapytała sama siebie z lekkim dreszczem, w jakim stopniu alibi Dona było prawdziwe na czas tej drugiej zbrodni... Bo jeżeli chodzi o czas zabójstwa Drake'a, to Don Baird nie posiadał właściwie żadnego.

Teraz major skoncentrował uwagę na Terry.

- Zatem pozostaje teraz tylko pan i panna Morley - sj powiedział. - Przypuszczam, że mi pan powie, iż cały czas przebywaliście razem?

Jego sarkazm był aż nadto wyraźny. Kay widziała, jakie wrażenie wywarły te słowa na chłopcu: pobladł i zacisnął wargi. Kay pierwszy raz znalazła się w towarzystwie siostrzeńca od chwili, kiedy Gilbert opowiedział jej historię jego żalosego fałszerstwa. Biedny dzieciak... musiał przez cały dzień przeżywać piekło niepokoju, że cała sprawa wyjdzie lada chwila na jaw, a on stanie przed nieobliczalnymi konsekwencjami. Z całą ostrością przypomniała sobie też, że dowody winy Terry'ego ciągle jeszcze są w posiadaniu doktora. Spojrzała porozumiewawczo na Tima, zaniepokojona tajemniczą uwagą, jaką wypowiedział w bibliotece. Czarna lekarska torba, równie niebezpieczna w oczach Kay jak bomba zegarowa, leżała na ziemi, u jego stóp.

Terry na razie nie odpowiedział na pytanie majora, tylko spojrzał na Simone siedzącą na kanapie obok Dona. Po dłuższej dopiero chwili powiedział:

- Tak. Słusznie się pan domyślił. Byliśmy z Simona razem przez całe popołudnie. Początkowo siedzieliśmy w salonie z mamą, Elaine i Donem, aż do chwili, kiedy Alicja Lumsden oświadczyła, że jedzie na policję. Potem mama wyprosiła nas z pokoju i została z Kay i Alicją. Simona i ja wyszliśmy razem do jadalni...

- Ooo? Do jadalni! I dlaczego to właśnie do jadalni?

- Bo Kay poszła przedtem z ojcem do biblioteki. Nie mieliśmy gdzie się podziać.

- A jeżeli pan jest ciekawy, co robiliśmy w jadalni - wtrąciła spokojnie Simona - to niech pan wie, że... graliśmy w chińczyka.

Major Clifford odwrócił się agresywnie w jej stronę i spytał:

- Czy z jadalni prowadzą jakieś drzwi na dwór?

- Owszem. Drzwi na taras - Simona zwróciła na niego swe nieprawdopodobnie niebieskie oczy, w których widać było rozbawienie. - Ale my nie wyskoczyliśmy, proszę pana, rączka w rączkę na deszcz, żeby zamordować Alicję Lumsden! I nie mieliśmy przy sobie syfonu.

Major, zły, milczał dłuższą chwilę, a kiedy znów się odezwał, w głosie jego dźwięczała w dalszym ciągu ironia i powątpiewanie:

- A więc wszyscy państwo macie murowane alibi na czas śmierci Alicji Lumsden! Muszę powiedzieć, że spodziewałem się tego! Teraz tylko czekam, aż ktoś z państwa wystąpi z oświadczeniem, że pewnie zabiła się przypadkowo, spadłszy z roweru uderzyła głową o kamień, prawda?

Nikt się nie odezwał - nie było to zresztą pytanie wymagające odpowiedzi. Kay znowu poczuła budzący się niepokój. Tak, wszyscy mieli alibi... Wszyscy prócz... Tima. Ale majorowi nawet nie przyszło do głowy przesłuchiwać go.

Spojrzała znowu na Tima zdumiona, że potrafi stać; tak spokojnie i obojętnie, jakby nie wiedział, że lada chwila może być zawikłany w niebezpieczną dyskusję.

Głos majora zagrzmiął znowu:

- No. Zostawmy to na chwilę! W każdym razie motyw, jakim się kierował zabójca Alicji Lumsden, jest całkiem jasny. Zginęła dlatego, że wiedziała, a przynajmniej przypuszczała, że wie, kto zabił Ivora Drake, i wiadomość tę miała zawieźć na posterunek policji. Te dwie zbrodnie są ze sobą jak najściślej związane - major pogładził przystrzyżone wąsy. - Wobec tego, pozwolą państwo, że wrócę jeszcze raz do wydarzeń ubiegłej nocy, które są, moim zdaniem, punktem wyjściowym tej sprawy...

Wzrok majora znowu spoczął na Terry'm.

- A więc, panie Chiltern! Zaraz po obiedzie wsiadł pan na żaglówkę i przesiedział na niej aż do... aż do momentu znalezienia ciała przez obie panie?

- Tak jest - Terry usiłował zachować spokój.

- Wczoraj w nocy stwierdził pan, że w krytycznej chwili była z panem na żaglówce pańska siostra... Ale dziś rano, kiedy zrewidowała gruntownie swoje pierwotne zeznania, panna Chiltern zaprzeczyła, jakoby w ogóle widziała pana po obiedzie. Jakże to więc było?

- A więc... tak! Elaine nie było ze mną. Skłamałem...

- Czyli, innymi słowy, pan był sam?

- Tak. Byłem zupełnie sam.



- Pańska siostra powiedziała nam dzisiaj rano jeszcze coś innego - ciągnął major przesadnie spokojnym i obojętnym głosem. - Twierdziła mianowicie, że widziała Ivora Drake, całego i zdrowego, jak odbijał samotnie od przystani. Gdyby wierzyć jej słowom, to Drake musiał zostać zamordowany albo na wyspie, albo w drodze na wyspę, prawda?

- Chyba tak...

- Hm, a gdzie była zakotwiczona żaglówka, kiedy pan na nią wczoraj wsiadał?

- Mniej więcej o pięćdziesiąt stóp od przystani lądowej - odpowiedział spokojnie Terry.

- A jak się pan do niej dostał?

- Dopłynąłem łódką z przystani.

- I przycumował pan łódkę do żaglówki?

- Tak.

- Aa... a czy miał pan jakieś trudności, wiosłując łódką do żaglówki?

- Trudności? Nie, nie miałem żadnych trudności.

- Tak sobie myślałem - major uśmiechnął się nieznacznie. - Oświadczył pan, że był pan przez cały wieczór sam na żaglówce. A gdzie był pan dokładnie w chwili przypuszczalnej śmierci Drake'a! A więc między jedenastą czterdzieści pięć a dwunastą?

Siedząca z boku Kay zauważyła, że czoło Terry'ego pokrywa się kropelkami potu.

- Początkowo byłem blisko plaży tu, przy domu - powiedział Terry - ale potem znowu skierowałem się na zatokę. Kiedy usłyszałem motorówkę Ivora, odbijającą od przystani, byłem daleko za wyspą, za cyplem. Daleko za domem państwa Morleyów.

- I wcale pan nie lądował na wyspie? O żadnej porze?

- Nie.

- I nie objechał pan cypla, usłyszawszy, że motorówka Drake'a ruszyła z przystani? Nie spotkał pan „przypadkowo” Drake'a... po drodze na wyspę?

- Nie! To kłamstwo! Ja nigdy...

- Spokojnie, spokojnie! Wcale nie powiedziałem, że pan go spotkał! Pozwoliłem sobie tylko spytać panami

- A więc nie! Nie spotkałem!

- Ale przyznaje pan, że to było możliwe?

- Nie. Byłem za daleko. Gdybym nawet chciał go spotkać, tobym nie zdążył na czas, bo miałem przeciwny wiatr w żaglach.

- Ależ ja nie o tym mówię! Mówię tylko, że nikt pana nie widział. Był pan sam... Mógł pan natknąć się na motorówkę Drake'a jeszcze przed wyspą. Jak pa może dowieść, że tak nie było?

Simona siedziała cały czas na sofce uważna, czujna - i w pewnej chwili ręka jej wysunęła się instynktownie, jak gdyby chciała dotknąć Terry'ego. Dopiero w tej chwili Kay zauważyła, że Simona nie nosi już ciężkiej bransolety, tak ściśle związanej z osobą Ivora. Terry zaś mówił niepewnym głosem:

- Pan ma słuszność, panie majorze. Nie mogę dowieść, gdzie byłem, nie mogę ustalić tego dokładnie.

- Natomiast pan jest dokładny co do jednego punktu - kontynuował niemiłosiernie major - mianowicie, że nie miał pan żadnych trudności z wiosłowaniem, płynąc łódką do żaglówki. To jest pana zdaniem fakt niezbity, a dla mnie to fakt bardzo interesujący. Zaraz wyjaśnię dlaczego. Otóż dzisiaj po obiedzie, nim jeszcze rozpętała się burza, poleciłem jednemu z moich ludzi, by dokładnie obejrzał łódkę, którą pan podpłynął do żaglówki, a która zresztą nadal przycumowana jest do niej. Otóż stwierdził on pewien szczególny fakt... mianowicie, że w łódce jest tylko jedna żelazna dulka, zamiast dwóch. - Tu major zawiesił na chwilę głos. - Gdyby jej już nie było wtedy, kiedy pan wiosłował, to trudno byłoby panu płynąć, prawda? A tymczasem usłyszeliśmy od pana, że nie miał pan najmniejszych trudności z wiosłowaniem. Stąd wniosek, że dulki były na miejscu, prawda?

- Ale co to wszystko ma do rzeczy? - wtrącił się Don.

- Bardzo wiele. Kiedy się dowiedziałem, że brakuje jednej dulki, dało mi to dużo do myślenia. Kazałem dzisiaj memu człowiekowi krążyć bez przerwy łódką między wyspą a lądem i szukać dulki. Otóż... znalazł ją wreszcie dzięki temu, że ocean na Bermudach jest wyjątkowo przejrzysty. Dulka leżała na piasku na dnie w odległości około pięćdziesięciu stóp od przystani na wysepce.

Nagle z przerażającą jasnością Kay zrozumiała, dokąd major zmierza.

- Gdy dostarczono nam tę dulkę, obaj z doktorem dokładnie i starannie ją obejrzelśmy - następnie doktor porównał ją z raną na skroni Drake'a. Kształt i dziwna, krzywa linia rany na skroni doskonale odpowiada kształtem dulce. - Major Clifford zwrócił się do doktora. - Nie omylę się chyba, Thorne, jeżeli powiem, iż pańskim zdaniem ta dulka właśnie była narzędziem użytym dziś w nocy do pozbawienia Drake'a przytomności, nim jeszcze utonął?

Tim skinął głową w milczeniu.

Palce Kay zacisnęły się w pięści. Dlaczego Tim nic jej o tym nie powiedział na wyspie?

Major tymczasem nie przestał wpatrywać się w bladą, znękaną twarz chłopca.

- No, panie Chiltern? Co pan na to odpowie?

Terry robił wrażenie kompletnie wykończonego. Po dłuższej chwili dopiero zdobył się na słowa:

- A więc pan przypuszcza, że Ivor został zamordowany koło wyspy? Tam gdzie znaleziono dulkę?

- To by tylko potwierdzało słowa pańskiej siostry, że Drake odpłynął z przystani żywy. A chyba wierzy pan własnej siostrze, prawda?

- No oczywiście, wierzę.

- I to byłaby o wiele prawdopodobniejsza teoria od tej pierwszej, że Drake został pozbawiony przytomności na ładzie, a potem wleczony plażą do - motorówki. Może spróbujemy sobie zrekonstruować, jak to się odbyło - mówił major po pełnej napięcia krótkiej przerwie. - Ktoś, siedzący prawdopodobnie w łódce, woła Drake'a po imieniu w momencie, kiedy motorówka ma przybić do nabrzeża. Drake zwalnia tempo... może nawet zatrzymuje motorówkę. Osoba, która na niego wołała, wchodzi do motorówki, przedtem już zaopatrzywszy się w dulkę, tak iż jest w posiadaniu doskonałego narzędzia zbrodni. Drake niczego, nie podejrzewa. Jakże łatwo napastnikowi zadać cios, wyrzucić ciało za burtę, pozbyć się dulki i wrócić do własnej łódki. Tymczasem noga Drake'a wplątuje się w linki akwaplanu, motorówka dryfuje z przyływem po zatoce aż do plaży na wyspie, ciągnąc za sobą zwłoki Drake.

Uwaga. Kay skupiła się teraz na Gilbertcie i Maud. Gilbert zmęczony, mocno pochylony naprzód w swoim inwalidzkim wózku, i Maud, której rysy wyrażały taki sam martwy spokój, jak wówczas, kiedy oboje z Timem zaskoczyli ją w szopie. Pod czaszką Kay kołatała myśl, którą starała się zdusić: jeżeli Ivor zginął w ten sposób, jak to opisał major, to przecież Terry nie był jedyną osobą, przebywającą o tej porze na zatoce. Tim był tam także!

Ostry jak sztylet wzrok majora wbity był w dalszym ciągu w Terry'ego.

- Jak pan sądzi, panie Chiltern? Czyż to nie mogło się odbyć w taki sposób?

Opalenizna chłopca przybrała teraz żółty odcień.

- Oczywiście, że chyba tak. Przypuszczam...

- Czy na pewno jest to tylko pańskie przypuszczenie?

- Jak to? Nie rozumiem?

- Czy koniecznie muszę stawiać kropkę nad „i”? Cała pana prawdopodobna rodzina utrzymuje, że wszyscy, bez wyjątku, przebywali w chwili śmierci Drake'a na ładzie, ale pan był na zatoce sam, w żagłowce. Pan jeden posługiwał się łódką. Miał pan doskonałą okazję

zabrania z niej jednej żelaznej dulki. Nie ma żadnego świadka, który mógłby potwierdzić, gdzie znajdowała się pana żaglówka lub gdzie pan przebywał i co pan robił tuż przed albo bezpośrednio po dokonaniu morderstwa... - Tu major prychnął prowokująco. - Rozumie pan teraz, o co mi chodzi?

Kay nigdy nie spodziewała się, że atak na Terry'ego może nastąpić od tej strony - na podstawie nadarzającej się okazji i rozporządzenia narzędziem zbrodni - a nie od strony motywu. Z głębokim smutkiem zdała sobie sprawę, jak wszystko sprzysięga się przeciwko chłopcu - nawet pomijając fałszerstwo czeku, lekkomyślnie dotychczas przez nią nie zniszczonego. Spojrzała odruchowo na doktora, w którego torbie, leżącej ciągle u jego nóg, znajdował się dowód winy Terry'ego. Ale ku jej zdziwieniu, które po chwili przerodziło się w głęboki niepokój, zobaczyła, że oczy Tima błyszczą w porywie jakiegoś niezłomnego postanowienia.

- No, Chiltern? Czekam na pańską odpowiedź - powiedział burkliwie major.

Kay zaniepokoiła się bardziej jeszcze widokiem Elaine aniżeli jej brata. Twarz dziewczyny wydawała się bielszą od firanki za jej plecami.

- To zbyt fantastyczny pomysł, panie majorze - powiedziała Elaine. - Nie myśli pan chyba, żeby Terry... żeby Terry mógł zabić Ivora? Zabić dulką, od łódki! Powtarzam jeszcze raz, że to pomysł co najmniej fantastyczny!

Major spojrzał na nią zimno i odparł:

- Pomysł taki, panno Chiltern, nigdy by mi nie przyszedł do głowy bez pani cennej pomocy.

- A więc niech pan go sobie czym prędzej wybije z głowy - odezwała się całkiem niespodziewanie Simona, uśmiechając się szyderczo. - Powiedział pan przed chwilą, że wszyscy, prócz Terry'ego znajdowali się na łądzie w chwili śmierci Ivora. Jest to nieporozumienie, gdyż ja także byłam wtedy na zatoce!

Major spojrzał na nią zdumiony i zaskoczony.

- Ależ pani powiedziała mi, że była na łądzie, na przystani, i że później wypłynęły panie z panną Winyard kajakami, żeby...

- Żeby rozkoszować się światłem księżyca na zatoce - dokończyła za niego Simona. - Przecież pan doszedł już do przekonania, że wszyscy jesteśmy bandą łgarzy, więc nie powinien pan być taki łatwowierny, panie majorze! To była po prostu bajeczka, zmyślona przez pannę Winyard, żeby mnie ukryć pod swoimi opiekuńczymi skrzydłami!

Wszyscy wpatrywali się w Simone, jak grupa teatralnych widzów, zafascynowanych grą znanej aktorki.

- Skonstruował pan wspaniały akt oskarżenia przeciwko Terry'emu opierając się wyłącznie na przypuszczeniu, że żaglówka mogła okrążyć wyspę w odpowiednim czasie, by natknąć się na Ivora przy przystani. Twierdzi pan, że Terry nie może przedstawić żadnego świadka, mogącego określić położenie żaglówki w chwili śmierci Ivora. Na pana nieszczęście świadek taki istnieje... Ja jestem tym świadkiem!

Major znieruchomiał i wpatrywał się w nią, niechętny, ale zciekawiony.

- Nie odzywałam się dotychczas - mówiła dalej Simona - bo jestem tylko człowiekiem i nie bardzo chciałam przysparzać sobie kłopotu. Ale sprawa posunęła się już trochę za daleko. Otóż, wczoraj późnym wieczorem, z powodu, który wolę zachować dla siebie, popłynęłam łódką na wyspę z przystani naszej willi. Byłam już w połowie drogi do wyspy, kiedy usłyszałam motorówkę Ivora, odbijającą od przystani „Sztormu”. Księżyc świecił jasno i biały żagiel Terry'ego widać było bardzo wyraźnie. A więc w czasie, który - zdaniem pana - poprzedzał śmierć Ivora zaledwie o parę minut, widziałam wyraźnie żagiel Terry'ego daleko za wyspą, właśnie tam, gdzie pan sam powiedział. Fizyczną niemożliwością było, aby przy przeciwnym wietrze mógł przebyć tę przestrzeń w określonym czasie i zabić Ivora.

Kay wiedziała oczywiście o wycieczce Simony na wyspę, ale nie o tym, że dziewczyna widziała żaglówkę. Nie spodziewała się też, że Simona wystąpi z taką gorącą obroną Terry'ego, ryzykując nawet własne bezpieczeństwo - a przynajmniej - opinię. Terry, wpatrzony w Simone, uspokajał się... twarz jego nie była już tak tragicznie naprężona, a w oczach ukazał się wyraz wdzięczności i szczerego uwielbienia. Równocześnie jednak był najwidoczniej zaniepokojony.

- Simono, naprawdę mnie widziałaś? A może mówisz tak tylko, żeby mnie - kryć?

Simona uśmiechnęła się do niego z trochę drwiącą? czułością.

- Chyba zdołałeś poznać mnie na tyle, że wiesz, jak, nie nadaję się na cierpiętnicę - powiedziała i znów zwróciła się do majora:

- Dlaczego nie chciał pan poświęcić trochę więcej uwagi mnie, zamiast wytaczać cały czas najcięższe działa przeciwko Chilternom? Dość już mam roli zapomnianej kobietki! Wczoraj w nocy, w czasie kiedy został zabity Ivor, znajdowałam się sama jedna w kajaku i płynęłam z naszego domu na wyspę. Przepływałam obok łódki, doskonale mogłam zdjąć dulkę i...

Po drganiu jej długich rzęs Kay poznała, jak trudno jest ich właścicielce utrzymać się w roli zblazowanej dziewczyny.

- A jeżeli już mam iść na całego - mówiła dalej Simona - to muszę panu powiedzieć... że ja miałam coś, o co pan nawet nie podejrzewał Terry'ego. Miałam motyw. Szczerze

powiedziawszy, wcale się nie zmartwiłam śmiercią Ivora! - Nie do uwierzenia było, do jakich granic szczerości posunęła się dla ratowania Terry'ego. Kay przypomniała ją sobie taką, jaką była poprzedniego wieczora - rozplamioną i wściekłą, gwałtownie oplakująca śmierć Ivora, oskarżająca Chilternów, szydząca z miłości Terry'ego do niej. A przypomniawszy to sobie, Kay zrozumiała, że dziewczyna chce naprawić tamto postępowanie.

Po tym dramatycznym wystąpieniu Simony w pokoju zapanowała głęboka cisza. Dopiero po dłuższej chwili przerwała ją Elaine.

- Teraz już nie może pan podejrzewać Terry'ego, panie majorze - powiedziała. - Terry nie miał żadnego powodu, a Simona poświadcza jego alibi.

Major wyprostował się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle wmieszał się do rozmowy doktor Thorne.

- Nie dałbym dwu groszy za alibi, jakie mu daje panna Morley, panie majorze - powiedział - starała się przecież stworzyć mu alibi także z okazji zamordowania Alicji Lumsden! Dla mnie jasne, że kłamie, by go kryć...

Słowa te, wypowiedziane chłodno i rzeczowo, ugodziły Kay jak sztyletem. Nie dowierając własnym uszom, odwróciła się gwałtownie w stronę doktora. Ale kiedy na niego spojrzała, przestała także wierzyć własnym oczom. Twarz jego była tak samo chłodna i niewzruszona jak głos.

A kiedy na niego spoglądała, szarpana niedowierzaniem i gorzkim uczuciem zawodu, bo tak ją haniebnie oszukał, zobaczyła, że doktor schyla się i bierze do ręki swą torbę.

- Mam wrażenie, iż najwyższy czas, żebym i ja przemówił, panie majorze - powiedział. - Możemy kategorycznie odrzucić świadectwo panny Morley, a wtedy oskarżenie nabiera wagi. Panna Morley usiłowała w nas wmówić, że w oskarżeniu tym brak motywu. A ja jestem, w stanie dowieść, że wprost przeciwnie, motyw taki istnieje i to bardzo poważny!

Kay patrzyła z rosnącą grozą, jak doktor Thorne otwiera podręczną torbę, wyjmując z niej teczkę, zaczyna ją przerzucać, aż wreszcie wydostaje sfalszowany czek Ivora z przyczepionym wyznaniem Terry'ego. Trzymając teł papiery podszedł do majora i powiedział: - Jak pan to przeczyta, panie majorze, to fakty przemówią same za siebie.

Kay straciła zupełnie poczucie rzeczywistości. Czuła tylko wstyd i gniew, że jej romans okazał się tak kruchy. Nie dość, że pozwoliła, by doktor Thorne zdradził Terry'ego, ale także straciła sama dla siebie szacunek. Dobrowolnie, bez chwili wahania, zniszczyła własnoręcznie dowód przeciwko doktorowi, ocaliła go przed więzieniem - a on jej w ten sposób odplaca. I to musiało spotkać właśnie Terry'ego! A wszystkiemu winna, jest ona

sama, bo usta Tima potrafiły się tak uśmiechać, bel już drugi raz w życiu tak straszliwie zawiodła się na mężczyźnie.

Kay widziała Tima jak przez mgłę... stał opanowany, niewzruszony, trzymając ciągle w ręce wyznanie Terry'ego. Ale Tim jeszcze papierów majorowi nie wręczył - odwrócił się nawet do niego plecami i spojrzał po pokoju. Twarz miał dziwnie zdeterminowaną.

- Przykro mi - powiedział - że muszę wystąpić przeciwko Terry'emu. Ale zbrodnia pozostaje zawsze zbrodnią, a w dodatku zbrodnia popełniona dwukrotnie! Jeżeli ktoś z państwa nie zechce mi przeszkodzić, będę zmuszony wręczyć te papiery majorowi.

Urwał na chwilę i spojrzał na swe ręce, po czym ciągnął dalej:

- Oczywiście, pozostaje jeszcze wiele punktów do przedyskutowania - spojrzał na Maud. - Na przykład fakt, że przesunięto zwłoki Alicji Lumsden, no i cały szereg innych spraw, takich jak spodnie od piżamy, ślady na piasku i jasnozielona poduszka w ciemniejsze pasy.

Wszystko to nic nie mówiło Kay - absolutnie nic z tego nie rozumiała. Ale, choć półprzytomna z oburzenia, widziała twarze innych. Błyszczące gorączkowo oczy Gilberta... lekko rozchylone wargi Maud, jakby nie mogła chwycić powietrza - Terry patrzący nieprzytomnie. Ale dopiero na Elaine wzrok jej zatrzymał się dłużej.

Elaine wstała... i jak gdyby to, co powiedział Tim Thorne, było jakimś czarodziejskim zaklęciem, zaczęła się powoli do niego zbliżać: jej twarz, biała pod gęstwiną ciemnych włosów, była twarzą lunatyczki.

Potem, przez krótką chwilę, oczy jej skierowane na Dona, wyrażały przejmującą, nie do zniesienia udrękę. Padła bezsilna na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach i wśród łkań, wstrząsających całym jej ciałem, powiedziała niemal niedosłyszalnie:

- Nie mogę! Nie mogę już tego dłużej znieść! Nie mogę dopuścić, żeby on to zrobił Terry'emu... Dość mam tego piekła! Muszę... muszę powiedzieć prawdę!

## **Rozdział 20**

W niesamowitej ciszy, jaka zaległa po wybuchu Elaine, Thorne podeszedł do Terry'ego i bez słowa podał mu sfalszowany czek i wyznanie. Tylko to jedno zapamiętała Kay. Cudem jakimś, z nie znanych jej zupełnie powodów, Tim zwracał papiery obciążające chłopca, nie pokazawszy ich majorowi. Ciągle jeszcze tkwiące w niej oburzenie mąciło zdolności jasnego rozumowania. Wiedziała tylko jedno: że zaszło coś okropnego i że sprawił to Tim Thorne.

Cały pokój wydał się jej teraz szeregiem oderwanych obrazów: major Clifford ze zdumioną i zaskoczoną miną;, Terry, zaciskający odzyskane papiery tak mocno, aż mul

zbielały kostki; Elaine, zagubiona i półprzytomna, ciągle jeszcze z twarzą ukrytą w dłoniach i ciałem wstrząsanym; łkaniem.

Tim Thorne podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu, po czym spojrzał na majora.

- Mam wrażenie, że Elaine wolałaby pomówić ze mną w cztery oczy... Czy państwo nie zechcieliby zostawić nas samych?

- Ależ, Thorne - prychnął major.

- Bardzo proszę... Wkrótce zrozumie pan wszystko, panie majorze. Po prostu niech pan nas zostawi samych... niech pan odejdzie i... wróci za godzinę.

- Ale przecież to jest śledztwo! - próbował tłumaczyć major, ale nie dokończył. Obrzucił wszystkich znękanym spojrzeniem, wzruszył ramionami i mruknął pod wąsem:

- Jak uważasz, Thorne... Idę! Ale wrócę tu punktualnie za godzinę - i rzeczywiście, ku ogólnemu zdziwieniu, wyszedł z pokoju.

Doktor Thorne, bardzo teraz zmęczony, rozejrzał się po pozostałych.

- Może i państwo wyjdą... Wszyscy.

Elaine przestała płakać i wyprostowała się na krześle. Twarz miała bladą, zupełnie bez wyrazu, jak twarz lalki.

Don podszedł do niej, odsuwając gwałtownie doktora. Patrzył na nią z wyrazem opiekuńczym, a równocześnie pełnym troski i niepokoju.

- Co się tu dzieje, Elaine? Czego on od ciebie chce? Jeżeli wolisz, żebym...

Elaine drgnęła lekko.

- Odejdź, Donie - powiedziała prosząco. - Nie mów teraz nic do mnie, błagam.

Don odszedł, jak skarcony pies. Simona podeszła do Terry'ego i wsunęła mu rękę pod ramię, po czym wszyscy troje opuścili pokój.

Kay spojrzała na Maud i Gilberta. Byli bardzo blisko siebie. Maud stała tuż przy wózku, z ręką na ramieniu męża. Gilbert podniósł oczy na nią, a potem na Tima. Po chwili powiedział spokojnie:

- Jako ojciec Elaine, a równocześnie jej doradca prawny, sędzę, że powinienem zostać i wysłuchać, co pan ma jej do powiedzenia.

- I ja zostanę - powiedziała zdecydowanym, nie znoszącym sprzeciwu głosem Maud.

Tim popatrzył na nich długo, zwilżył wyschnięte wargi i rzekł:

- Jeżeli państwo tak uważacie, to sędzę, że macie prawo zostać.



Następnie doktor spojrział na Kay. Nie była na to przygotowana. Stała nieruchomo, jakby półprzytomna, patrząc na wszystko, jak postronny widz. Nagłe zetknięcie się z jego wzrokiem było nad jej siły. Odwróciła się raptownie i wybiegła z salonu.

Wszedłszy do swego pokoju, nie zapaliła światła i czując w głowie straszliwy zamęt, rzuciła się w ubraniu na łóżko. „Więcej chyba nie można już znieść” - myślała rozżalona sama nad sobą. Po długiej chwili dopiero zaczęła trochę logiczniej myśleć. Wiedziała, co się teraz dzieje na dole. Tim jakimś cudownym sposobem dowiedział się prawdy i posłużył się dowodem przeciwko Terry’emu, aby zmusić Elaine do wyjścia z labiryntu kłamstw i półprawd... Zrozumiała także, że Tim ani na chwilę nie miał zamiaru pokazać majorowi dokumentów, i pierwsza fala jej oburzenia i nienawiści nieco opadła. Gdyby była zdolna do spokojnego rozumowania, byłaby sobie przypomniwała, że Tim od razu podkreślił swoje stanowisko, już tam, w bibliotece: „Nie masz chyba zamiaru wечно wybaczać komuś morderstwa?” I oczywiście, miał słuszość. To drugie morderstwo... te zwłoki skurczone na dróźce w strugach deszczu - zupełnie zmieniały sytuację. Przywołało to ich wszystkich do rzeczywistości... rozwiało złudzenie, że żyją w dziwnym, innym świecie, gdzie dobro jest złem, policja wrogiem, a jedynym obowiązkiem - chronić i osłaniać bliskich - bez względu na to, czy są mordercami, czy nie. Tak, żyli w świecie ułudy, która teraz się rozwiała. Może być nawet w ich interesie, że Ivor nie żyje, ale póki ten cały koszmar nie wyjaśni się, nie potrafią żyć normalnie.

Tak... już czas się zbudzić. Ale jeszcze jest tak mało na to przebudzenie przygotowana! Usiłowała nie myśleć o tym. Nie myśleć o Timie, o człowieku, którego poznała w tamtym świecie ułudy, a który stał się właśnie tym, co tę ułudę rozwiął. A jednak przeżyte oburzenie i upokorzenie tkwiły w niej głębiej, niż sięgała logika. Przecież on tak samo pragnął zachować dowód winy Terry’ego, jak widzieć dowód swojej - zniszczony. Oba cele osiągnął za pośrednictwem Kay, a zmierzając do nich uwikłał ją podstępnie w uczucie, jakiego po doświadczeniu z Ivorem nie chciała już żywić do żadnego mężczyzny. I to jest właśnie sedno sprawy - zrozumiała to w chwili jasnowidzenia. Nie wybaczy mu tego nigdy! Nie dlatego, iż udawał, że ją kocha, ale dlatego, że i jej się wydawało, że kocha go także...

Leżała dość długo, rozmyślając. Przez nie zasłonięte okno wdzierało się do pokoju światło księżyca.

Wstała z wysiłkiem i podeszła do okna. Burza minęła bez śladu. Ogromny, błądy księżyc, zawieszony na bezchmurnym niebie, zalewał srebrzystym światłem trawniki i gęste krzewy hibiscusa, drewnianą przystań, a jeszcze dalej - lśniący bezmiar zatoki.

Patrząc na ten spokojny, srebrzysty krajobraz, ledwie mogła uwierzyć, że tyle się zmieniło od chwili, kiedy ostatni raz wyglądała tym oknem. Ivor i Alicja nie żyją, a dla każdej z pozostałych osób życie radykalnie się zmieniło, bo to, co było, już nigdy nie wróci. Tak, radykalna zmiana dla nich wszystkich - a dla jednej z tych osób.

Z lekkim dreszczem przypomniała sobie zasłyszane szczegóły - jej osobiście nic nie mówiące, ale dla kogoś innego przerażające, groźne. Biała, piżama, znaki na piasku, jasnozielona poduszka w ciemniejsze pasy, a wreszcie - zupełnie o tym zapomniała - rozdarty czepek Elaine, zaciśnięty w martwej dłoni Ivora.

Tam na dole ta zagadka z pewnością jest już wyjaśniona. Komu nałożą kajdanki? Przed oczami jej, jak zjawy, przesunęły się twarze: Elaine, która tak głęboko związana była z Ivozem żywym - i Ivozem martwym. Don - również wplątany był w zaciskającą się sieć. Gilbert, tak nienawidzący człowieka, który torturował jego syna, nienawidzący go bezsilnie ze swojego inwalidzkiego wózka - Terry zraniony sprawą sfalszowanego czeku i uczuciem zemsty za Simone. Simona, której miłość została oszukana. No i Maud.

Maud, która kochała swe dzieci bardziej niż samą siebie, która tak bez wahania kłamała, żeby je ocalić - Maud, która przeniosła zwłoki Alicji.

Kay nie przypuszczała nawet, jak ciężkie do zniesienia będą dla niej te chwile oczekiwania. Spoglądała w dal, usiłując nie myśleć o niczym - poza czarem tej księżycowej nocy.

Nareszcie... pukanie do drzwi! Otworzyła je i wpuściła do pokoju Elaine. Kay spoglądała z lekkim zawrotem głowy na stojącą w świetle księżyca siostrzenicę i mimo woli przypomniała sobie inny moment, kiedy ta dawna Elaine stała dokładnie w tym samym miejscu w białej koronkowej sukni „ślubnej”.

- Elaine! Czy już po wszystkim?

- Tak - Elaine podeszła bliżej i położyła ciotce rękę na ramieniu. - Już po wszystkim... Doktor Thorne chce z tobą mówić. Czeka na ciebie w domku Dona.

- Doktor Thorne? Chce się ze mną widzieć?

- Tak. I to zaraz - palce dziewczyny wpiły się głębiej w jej ramię.

- Wiesz, Kay... Ja nie znałam prawdy - mówiła prawie niedosłyszalnie. - Musisz mi uwierzyć, absolutnie nie znałam całej prawdy... Cokolwiek się stanie, błagam cię, nie potępij mnie! To było okropne, a ja przez cały czas zawsze starałam się robić, jak mi się zdawało, najlepiej.

Kay nic nie rozumiała, poza błagalnym tonem głosu siostrzenicy. Nie mogąc znieść widoku jej cierpienia, pochyliła się i impulsywnie pocałowała Elaine w policzek.

- Kay... proszę cię... Idź zaraz do doktora. Może później będziemy mogli porozmawiać.

Elaine wysunęła się z pokoju, a Kay usłyszała zamykające się za nią drzwi w końcu korytarza.

Nie zastanawiała się zbyt długo, dlaczego Tim chce, z nią mówić. Sam fakt, że go zaraz zobaczy, usunął w cień wszystko inne. Resztki opanowania gdzieś przysły - ręce jej drżały, mimo iż starała się to drżenie opanować. Wyszła jak automat z pokoju i za chwilę już była na dole. W salonie nie było nikogo, a przez szeroko otwarte okna wlewał się do pokoju słodki zapach kwitnących kamelii. Kay zeszła po schodkach na zalany blaskiem księżycy trawnik, który w tym oświetleniu wyglądał jak ilustracja do bajki.

Przed nią wznosił się domek Dona, ukryty w cieniu wysokich cedrów. W oknach paliło się światło. Sama nie wiedziała, jak znalazła się przy drzwiach i z mocno bijącym sercem pchnęła drzwi.

Tim Thorne stał przy prostym drewnianym stole, nadal zawałonym prawniczymi książkami Dona. Był odwrócony plecami do drzwi, a pierwsze, co Kay zauważyła, to to, że miał na sobie tweedową kurtkę Terry'ego. No tak, oczywiście, przecież jego własne ubranie przemoczone było do nitki. Może miał tę kurtkę już i w salonie, ale Kay dopiero teraz to zauważyła.

Dziwnie rozbroiła i wzruszyła ją ta trochę na niego przydługa, sportowa kurtka Terry'ego.

- Jestem - powiedziała cicho od drzwi.

Tim odwrócił się gwałtownie, jak gdyby zbudzony ze snu.

- Kay...

Podszedł do niej bez uśmiechu, z oczami zmatowiałymi od zmęczenia. Widać było, że czuje się nieswojo, a ten wyraz niepewności podkreślała jeszcze bardziej młodzieżowa kurtka, jaką miał na sobie. Kay czuła gwałtowne pragnienie pocieszenia go, uspokojenia. Broniła się całą siłą przeciwko temu uczuciu, starając się znowu wzbudzić oburzenie i gniew.

- Wiem, że jesteś na mnie zła, Kay - powiedział cicho. - Zła za to, że wykorzystałem te dowody przeciwko Terry'emu, zamiast je zniszczyć, tak jak ty zniszczyłaś bez wahania mój list. Ale nie powinnaś się gniewać na mnie, Kay... musiałem to zrobić! To był jedyny sposób sprowokowania prawdy.

Zwróciłem państwu Chiltern ich papiery wartościowe - mówił dalej - obligacje pani Chiltern i różne akcje jej męża. Mam wrażenie, że robił jakieś transakcje, nie powiedział mi

dokładnie, o co chodziło, ale oświadczył, że wszystkie papiery są w porządku. Nie potrzebujesz się martwić, Kay, o ich sytuację materialną. Wystarczy im do końca życia.

Kay pomyślała, że jednak lekkomyślność Gilberta wyszła tym razem na dobre i że los przynajmniej pod tym względem okazał się łaskawy dla rodziny Chilternów.

- Kay - mówił dalej Tim - poprosiłem cię, bo chciałem, abyś dowiedziała się ode mnie prawdy, nim się zjawi major.

Major! To słowo wyrwało ją z tego dziwnego odrętwienia. Miała się dowiedzieć, kto zabił Ivora Drake i Alicję Lumsden. Przypomniała sobie bladą i otępiałą twarz Elaine w chwili, kiedy powiedziała „Już po wszystkim”...

- Tim, ty już wiesz?

- Tak - chwilę się zawahał, a później dodał: - Mam w kieszeni podpisane zeznanie, przeznaczone dla majora.

Zeznanie! To słowo zadźwięczało dziwnie, nieodwołalnie, ostatecznie. Czowała szaleńczy impuls, żeby zawołać „Nie! Nic nie mów! Nie chcę nic wiedzieć!” Zamiast tego jednak spytała drżącym głosem:

- Jak na to wpadłeś?

- Właściwie domyśliłem się już w momencie, kiedy się dowiedziałem, co znalazła Alicja, a gdy usłyszałem o dulce, nie miałem już najmniejszej wątpliwości. Wiedziałem, że prawda musi wyjść na jaw, a najskuteczniejszym, aczkolwiek najboleśniejszym sposobem jej ujawnienia będzie wykorzystanie papierów kompromitujących Terry’ego, żeby skłonić Elaine do mówienia.

Elaine...

- A więc to prawda, że Ivor został ogłuszony tą żelazną dulką? - powiedziała, czepiając się szczegółów.

- Tak. A rekonstrukcja całego przebiegu morderstwa, tak jak ją przedstawił major, była niemal dokładna. Major omylił się tylko co do jednego - ktoś zawołał do Ivora nie z drugiej łódki, tylko z wody.

Z wody! Kay przypomniała sobie słowa Terry’ego, że widział tuż przed śmiercią Ivora kogoś pływającego przy plaży, kogoś, kogo Terry wziął za Elaine z powodu srebrnego czepka, widocznego, wyraźnie w blasku księżyca.

- ...a morderca płynął w kąpielowym czepku Elaine - zdołała wypowiedzieć szeptem.

Tim zaś mówił spokojnie dalej:

- W gruncie rzeczy wszystko odbyło się bardzo prosto. Podczas rozmowy Ivora z Elaine na przystani morderca był już w wodzie, płynął w kierunku wyspy. Ivor pożegnał

Elaine i ruszył motorówką także ku wyspie. Morderca czekał w wodzie przy samej przystani - zawołał Ivora po imieniu. Słyszając niespodziewanie swoje imię, Ivor, oczywiście, zatrzymał się, ale nie zgasił motoru. Podszedł do burty i zobaczył kogoś w wodzie. Nie podejrzewając niczego, pochylił się, ażeby pomóc tamtemu dostać się, do motorówki. Wówczas ten człowiek jedną ręką schwycił go za ramię, a drugą zadał mu mocny cios żelazną dulką w skroń... Ivor stracił przytomność i wpadł do wody... Utonął. Morderca wrzucił dulkę do wody, a sam odpłynął.

- Rozumiem - powiedziała cicho Kay, czując przeszywający ją dreszcz - a noga Ivora zaplątała się w linę akwaplanu i dryfująca motorówka przyniosła ciało aż do brzegu wyspy... tak jak to powiedział major.

Tim skinął potakująco głową. Wyglądał na człowieka chorego.

W wyobraźni Kay zarysował się koszmarny obraz.

- I... i w czasie tego krótkiego szamotania - zaczęła mówić - Ivor zdarł z głowy mordercy czepek. Tak... tak to się musiało odbyć. Na pewno. A Elaine na wyspie szukała właśnie swojego czepek! - Kay na chwilę przestała mówić i dopiero po chwili dodała: - Bo Elaine wiedziała, prawda? Powinam się była tego od razu domyślić, że Elaine wiedziała, kim jest morderca. Chciała mu pomóc... kryć go... dlatego nie mogła przez cały czas powiedzieć prawdy.

- Tak, Kay - powiedział bardzo cicho Tim. - Elaine była na plaży szukając w krzakach jukki pamiętnika Rosemary - była tam w chwili, kiedy morderca wrócił na plażę ze swojej morderczej wycieczki. Powiedział jej tylko część prawdy. Powiedział, że Ivor nie żyje, ale że to był tragiczny wypadek... że usiłując wciągnąć go do motorówki, pośliznął się, uderzył głową w burtę i stracił przytomność, wpadł do wody, nie można go było uratować - i utonął. Elaine nie miała pojęcia, że chodziło o zbrodnię... aż do chwili, kiedy została zamordowana Alicja Lumsden, a major pokazał narzędzie zbrodni... żelazną dulkę. Biedactwo, cóż to był dla niej za koszmarny. Początkowo, myśląc, że to był wypadek, nie odważała się powiedzieć prawdy ze względu na kogoś, kogo kochała, a potem patrzyła, jak wszystkich kolejno podejrzewają o morderstwo, i nie mogła ruszyć palcem, by pomóc. Aż wreszcie... dziś wieczorem... jeszcze coś stokroć gorszego! Zrozumiała wreszcie, że ten, którego osłaniała, jako niewinnego sprawcę tragicznego wypadku, jest w rzeczywistości mordercą nie tylko Ivora, ale i Alicji Lumsden!

Kay doskonale rozumiała tragiczną rozterkę Elaine - czyż można się dziwić, że jej zeznania były gmatwaniną pół prawdy i pół kłamstwa! Miała przed sobą ściągniętą bólem i

niepokojem twarz Tima i zdawało się jej, że oto są przeciwnikami w pojedynku. Zwyciężyć miał Tim, ale nie mógł zdobyć się na zadanie ostatecznego ciosu.

- Elaine osłaniała mordercę, bo go kochała - mówił dalej głęboko poruszony. - Ale jej uczucia były jeszcze bardziej skomplikowane. Bo, widzisz, Elaine pośrednio ponosiła odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Gdyby nie ona... To Elaine pokazała mordercy pamiętnik Rosemary i powiedziała, że zerwie z Ivorem. Ten człowiek dobrze znał Ivora i zdawał sobie jasno sprawę, co się stanie po zerwaniu. Będą musieli natychmiast opuścić jego dom i Bermudy, wrócić do skromnych warunków Pittsburga - niemal do biedy. Stracą wszystko, co się z ich pobytem tutaj wiązało...

Ale było jeszcze i coś znacznie gorszego... Morderca wiedział aż nadto dobrze, że z chwilą zerwania zaręczyn, los Terry'ego będzie przesądzony. Ivor niewątpliwie odparuje otrzymany cios w taki sposób, że odda Terry'ego w ręce policji i wtrąci go do więzienia.

Tim mówił dalej trochę schrypniętym głosem:

- To dlatego właśnie została popełniona zbrodnia, z powodu Terry'ego. Była to rozpaczliwa próba uratowania mu życia kosztem odebrania go Ivorowi.

Kay ciągle jeszcze nie dopytywała się więcej, wiedząc, iż i tak za chwilę dowie się prawdy.

- Morderca nie miał możliwości przebrać się w kostium kąpielowy, popłynął więc w spodniach od piżamy. Po nieudanej próbie odzyskania czepka Elaine uprała i odprasowała piżamę tak, żeby nikt nie zauważył, że piżama była w słonej wodzie... To była ta wzruszająca próba zachowania tajemnicy. Może by się udała, gdyby nie Alicja Lumsden. Za dużo wiedziała... a może tylko się domyślała. Kiedy już wyszło na jaw, że ślady na plaży nie są śladami wleczenia Ivora po dokonaniu morderstwa, reszta była łatwa. Nie oszukała jej też odprasowana piżama, gdyż przypalenie zdradziło Elaine. A kiedy w dodatku znalazła zieloną poduszkę w ciemniejsze pasy, poplamioną i wilgotną, pod stosem innych poduszek na sofie w bibliotece...

Tim urwał i zrobił bezradny gest ręką.

- Domyśliłem się prawdy, kiedy mi o tej poduszce powiedziałaś i przekonaliśmy się, że zniknęła. Poduszkę tę znałem równie dobrze, jak Alicja, i kojarzyłem ją tylko z jedną osobą w tym domu. Nie potrzebuję ci chyba mówić więcej?... Nie potrzebuję wymieniać nazwiska?

Kay patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i bała się, że zemdleje. A więc... to ktoś, kto wiedział wszystko o fałszerstwie Terry'ego... Ktoś, z kim Elaine była razem tego wieczora i przeczytała mu pamiętnik Rosemary... Powiedziała mu, że zerwie z Ivorem. Uparta

myśl wwierała się w mózg Kay - niewyraźna, ale groźna jak pierwsza burzowa chmura na bezchmurnym niebie. Myśl ta związana była z owym tragicznym wieczorem przy stoliku brydżowym, kiedy podeszła do nich pokojówka i powiedziała Alicji Lumsden „Pani nie będzie już dzisiaj potrzebna panu Chilternowi. Panna Elaine pomoże mu położyć się do łóżka”. Twarz Tima majaczyła przed jej oczami coraz mniej wyraźnie, w miarę jak uświadamiała sobie straszliwą prawdę.

- Elaine była z nim ostatniego wieczora - Kay zaczęła mówić, jak w hipnozie. - Oczywiście, że nie powiedziała o tym majorowi... Ale to musiała być pierwsza osoba, do której się zwróciła po przeczytaniu pamiętnika. Opowiedziała mu wszystko... wszystko... Tim, prawda, że tak było, jak mówię?

Umilkła na chwilę, a później drżącym, słabym głosem powiedziała:

- To... Gilbert...

## **Rozdział 21**

Tim patrzył na nią chwilę w milczeniu, a później spuścił głowę.

- Jako lekarz powinienem być się tego domyślić - powiedział - tak samo, jak się domyśliła Alicja Lumsden, ponieważ była pielęgniarką. Pan Chiltern udał się wczoraj rano do szpitala na swój tygodniowy przegląd zdrowotny. Poprzedniego dnia w rozmowie z doktorem Barnesem doszliśmy do wniosku, że chociaż nasz pacjent nigdy nie będzie mógł chodzić, stan jego zdrowia poprawił się na tyle, że będzie mógł ćwiczyć się w pływaniu. W tego rodzaju przypadkach, kiedy tylko nogi są sparaliżowane, zwykle zachęca się i zaleca pacjentom pływanie.

Kay znowu sobie przypomniała - swoje pierwsze zetknięcie się z Alicją Lumsden, kiedy pielęgniarka po powrocie ze szpitala wtoczyła inwalidzki wózek Gilberta do salonu i powiedziała Maud: „W szpitalu orzekli, że zdolności ruchowe pana Chilterna nie uległy poprawie, ale że wkrótce będzie mógł się ćwiczyć w pływaniu”.

Tim zaś mówił dalej:

- Jasne, że po przeczytaniu pamiętnika Rosemary, pierwszą myślą Elaine było pójść z tym do ojca. W gruncie rzeczy to on przecież był główną przyczyną, że zgodziła się wyjść za Ivora - jemu więc pierwszemu musiała powiedzieć o zmianie decyzji. Ojciec po przeczytaniu pamiętnika był bardzo wzburzony, ale nie tak zdziwiony, jak by się tego można było spodziewać. Rozwiały się już jego złudzenia co do Ivora. Rozwiął je sam Ivor kilkanaście minut przedtem, kiedy go odwiedził, wściekły na Terry'ego.

Kay wtedy sobie przypomniała. Sam Gilbert opowiadał jej o tej scenie po obiedzie, kiedy Ivor odgrażał się, iż oskarży Terry'ego. Wtedy widocznie Gilbertowi otworzyły się

oczy. Z dziwną wyrazistością przypomniła sobie wyraz twarzy szwagra, kiedy jej to opowiadał, blady i ponury - przypomniła sobie jego głos i słowa: „Znienawidziłem go tak, iż zdolny byłbym go zabić”.

Doskonale zdawał sobie sprawę, co będzie, jak Elaine zerwie zaręczyny - ciągnął Thorne. - Oczywiście, że postąpił jak szaleniec, ale uważał, że to jedyny sposób spłacenia długu. Terry umożliwił mu tę kosztowną kurację, ryzykując własną przyszłość dla uratowania ojca, a teraz Terry’emu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - a więc musi go ocalić, a jedyną drogą jest zamordowanie Ivora. Powiedział mi, że pomysł powstał w nim natychmiast, jak jeszcze Elaine była u niego w pokoju - i wierzę mu. Wiedział, że Ivor zamierza przenocować na wyspie. Trawnik schodzi spadzisto sprzed samych drzwi jego pokoju do plaży. Doktorzy zalecili mu pływanie, a więc popłynię. Kiedy się kładł do łóżka, Elaine pomogła mu włożyć piżamę. Po jej wyjściu Gilbert potoczył wózek po spadzistym trawniku na plażę i ukrył go w cieniu oleandrów. Zdjął górną część piżamy, żeby zamoczyć możliwie jak najmniej ubrania, zsunął się z wózka i czołgał plażą do wody.

- Znaki na piasku - przerwała mu cicho Kay. - Mogliśmy się byli domyślić! Siad jego bezwładnych nóg i wbijających się w piasek palców, kiedy się czołgał...

- Resztę powiedziałem ci już przedtem, Kay - mówił dalej Tim. - Wiesz dobrze, że w młodości Gilbert był znakomitym lekkoatletą - teraz nawet ma jeszcze atletyczny tors i niezwykłą wytrzymałość fizyczną. Podpłynął do przystani i ściągnął z kołka kąpielowy czepek Elaine, żeby nie zamoczyć włosów. Przeplłynął obok łódki, zdjął żelazną dulkę, a potem czekał w wodzie przy przystani na Ivora. No i wszystko odbyło się tak, jak sobie zaplanował.

Tu zrobił krótką pauzę. - Cały ten plan był niesamowicie, można powiedzieć, genialny. Jednym ramieniem wciągał Ivora, drugim zadał cios dulką. To chyba jedyny sposób, w jaki człowiek sparaliżowany może popełnić morderstwo - i to w wodzie, jedynym elemencie, gdzie jego siła fizyczna równa się sile człowieka normalnego.

Kay zdawała sobie jasno sprawę, że wszystko, co mówi Tim, doskonale może być zastosowane do Gilberta i że takie tylko mogło być rozwiązanie. Czowała, że nadciąga straszliwa tragedia. Ten Gilbert, który przechodził przez życie, twierdząc, że żadna odpowiedzialność praktycznie nie istnieje, wziął w końcu na swe barki tak straszliwą odpowiedzialność, żeby tylko uratować syna!

Tim zaś kończył swoją relację:

- Podczas krótkiego szamotania Ivor ściągnął mu z głowy czepek, ale potem wszystko poszło już gładko. Skoro już plan został wykonany, nie pozostawało nic innego, jak wrócić do



domu. Zrobiło się późno. Miał wszelkie szanse, że nikt go nie zobaczy i wróci nie spostrzeżony.

Tymczasem zastaje na plaży Elaine! Możesz sobie wyobrazić, co czuła na widok ojca, którego uważała za skazanego do końca życia na fotel inwalidzki, wylaniającego się półnago z wody! Opowiedział jej bajeczkę o tragicznym wypadku z Ivozem. Pomogła mu zacząłgać się po tych samych śladach, wsadziła na wózek i zawiozła do domu.

Chociaż Elaine uwierzyła, że to był wypadek - mówił dalej już spokojnie Tim - zdawała sobie jednak sprawę, że gdy śmierć Ivora się wyda, podejrzenie padnie na ojca. Dlatego właśnie popłynęła na wyspę po czepek, który ty, Kay, znalazłaś i schowałaś. I dlatego uprała i wyprasowała piżamę. Miała nadzieję, że woda przyływu zetrze ślady na piasku... ale major zauważył je wcześniej. Istniała jeszcze jedna rzecz, o wiele niebezpieczniejsza. - Zrobił małą pauzę. - Wiesz, jakie słone jest morze na Bermudach. Otóż później zauważyli oboje, że zielona poduszka nasiąknięta jest morską wodą. Każdy po zobaczeniu jej domyśliłby się, że pan Chiltern pływał. Elaine nie mogła uprać poduszki tak łatwo, jak uprała piżamę. Zrobiła więc to, co się jej w danej chwili wydało najprostsze, wsunęła mokrą poduszkę pod stos innych na kanapie w bibliotece, a na wózku położyła żółtą.

Kay zacisnęła mocno pięści. Ach, więc to o to chodziło i tego też mogła się była przecież domyślić - wczoraj zauważyła, że poduszka pod plecami Gilberta na wózku była zielona - dzisiaj żółta. Nie przywiązywała jednak do tego wagi.

- Wszystkie pociągnięcia Elaine były bardzo nie przemyślane i Alicja stopniowo zaczęła odgadywać prawdę. Wiedziała tak samo jak i ja, że pan Chiltern może pływać. Skoro tylko major oznajmił nam, że ślady na piasku nie są siadami wleczenia zwłok Ivora, pomyślała o sparalizowanych, bezwładnych nogach swego pacjenta. Jako jego pielęgniarka, miała pod swoją opieką także i bieliznę pana Chilterna. Wczoraj wieczorem włożyła mu do spania białą, bawełnianą piżamę, a potem, tego samego wieczora, po morderstwie i zjawieniu się majora Clifforda, pan Chiltern miał na sobie piżamę niebieską.

To musiało obudzić jej podejrzenia. Później, kiedy przejrzała szuflady z bielizną, znalazła starannie odprasowaną białą piżamę ze śladami spalenizny na jednej nogawce. Wobec tego w momencie, kiedy zobaczyła żółtą poduszkę na wózku, nie pozostało jej nic innego, jak odnaleźć poduszkę zieloną. Dzisiaj po obiedzie znalazła ją w bibliotece - wilgotną i poplamioną. Teraz miała aż nadto poszlak, aby pan Chiltern został aresztowany.

Dla Kay dalszy ciąg łatwy już był do odgadnięcia. Po chwili zapytała wahająco:

- Ale jak Gilbert mógł popełnić ten drugi czyn? Przecież byłem z nim przez cały czas razem w bibliotece?

Tim przyglądał niesforne ciemne włosy.

- Zabił ją niemal na twoich oczach, Kay - powiedział. - Nie planował niczego, nie miał zamiaru wykorzystywać twojej obecności dla stwarzania sobie alibi - i to jest właśnie takie zdumiewające. Wiedział, oczywiście, że Alicja go oskarży, ale nie zamierzał nawet ruszyć palcem, żeby temu zapobiec. Bo widzisz - on w swoich własnych oczach nie uważał się za mordercę. W jakiś dziwny sposób sądził, iż uczynił zadość sprawiedliwości zabijając Ivora, a ponieważ to zrobił, gotów był wziąć na siebie odpowiedzialność. Ale tu... „ty sama, nie zdając sobie z tego sprawy, wystawiłaś go na wielką pokusę. Po rozpętaniu się burzy byliście razem w bibliotece. Deszcz przedostawał się do pokoju przez okno. Chciałaś je zamknąć, i kiedy byłaś przy oknie, wyjrzałaś i powiedziałaś, że Alicja właśnie wyprowadza z szopy rower. Zostawiłaś go samego i poszłaś szukać kogoś, kto by ci pomógł zasunąć okno. Obok Gilberta na stoliku stała taca z drinkami i syfon wody sodowej. Nie potrzebował robić nic więcej, tylko potoczyć wózek do okna, trochę poczekać, aż Alicja będzie przejeżdżała pod oknem i rzucić syfon. Oczywiście, że musiał odmierzyć dokładnie czas i rzucić bardzo mocno. Ale to właśnie było jego specjalnością, takie rzuty. Doskonale wiesz, że był znakomitym baseballistą i celował w rzutach piłką.

Po paru minutach wróciłaś do biblioteki ze mną - deszcz zalewający nam twarze, kiedy byliśmy przy oknie, uniemożliwił nam dostrzeżenie czegokolwiek. Zamknęliśmy tylko okno, a równocześnie stworzyliśmy mu żelazne alibi! Wszystko odbyło się tak szybko, tak składnie. Przed chwilą jeszcze gotów był pozwolić jej jechać na policję z donosem, a w następnej - zanim się spostrzegł - zabił ją, a sam zyskał tak znakomite alibi.

- I to ja! Właśnie ja mu to umożliwiłam! - wykrzyknęła z goryczą Kay, a cały pokój, w którym się znajdowali, wydał się jej ponury i beznadziejny. - Biedna Alicja! A potem, kiedy ją znalazłam... zostawiłam ją i odeszłam!

- Nawet gdybyś przy niej została, nic byś jej już nie mogła pomóc. Sama wiesz, Kay. Bardzo niedługo po tobie pani Chiltern znalazła zwłoki - powiedział stanowczym tonem, jak gdyby chciał dodać jej otuchy.

- Maud! - przypomniała sobie nagle Kay. - A więc to naprawdę ona” przeniosła ją w inne miejsce!

Tim skinął potakująco głową.

- Pani Chiitern aż do dzisiejszego dnia nie wiedziała, że to jej mąż jest mordercą - mówił dalej. - Kiedy burza ucichła, wyjrzała przez okno i zobaczyła Alicję. Wybiegła na dwór i przekonała się, że zwłoki leżą niedaleko okna biblioteki, a w bibliotece jest jej mąż. Obok ciała leżała paczka owinięta w brązowy papier. Odwinęła ją i zobaczyła białe spodnie

od piżamy pana Chilterna. Znalazła także w pobliżu syfon i domyśliła się wszystkiego. Wyobrażam sobie, że musiał to być dla niej nie byle jaki wstrząs. Pomyślała, że jeżeli przesunie ciało w inne miejsce, major Clifford nigdy nie będzie podejrzewał jej męża. Wszystko musi wyglądać na tragiczny wypadek. Odrzuciła syfon w krzaki, zabrała piżamę i przeciągnęła ciało i rower na drugą stronę szopy. Właśnie skończyła to robić, kiedy ją zaskoczyliśmy.

Kay przeniosła się myślami do szopy rowerowej i ujrzała znowu siostrę, która tam stała blada, wyzywająca, trzymając w rękach - piżamę. Przypomniała sobie błysk jej oczu, który zdradził na chwilę to, co czuła w głębi duszy - rozpacz i przerażenie. Aż do gorzkiego, jakże gorzkiego końca Maud walczyła o swe dzieci!

O swe dzieci! Ależ tak, to dotyczyło także Gilberta!

Kay poczuła się niewypowiedzianie zmęczona. Nie zdobyła się na nic więcej tylko szepnęła ledwie dosłyszalnie:

- Więc to już koniec... Tim.

Ręka Tima dotknęła mimo woli kieszeni marynarki - tweedowej marynarki Terry'ego.

- Gdy tylko Elaine tak się kompletnie załamała - powiedział - twój szwagier gotów był wyznać wszystko. Już wiesz, że mam w kieszeni podpisane przez niego zeznanie. Oddam je majorowi i zrobię wszystko, żeby było jak najmniej rozgłosu.

Teraz, kiedy Tim już wszystko powiedział, twarz jego straciła wszelki wyraz niepewności. Czuła go blisko siebie, wszystkie bariery, tak starannie przez nią wznoszone, żeby nie poddać się uczuciu, nagle rozpadły się w gruzy. Jej poprzedni strach przed nim i tym, co może z nią zrobić, były teraz zupełnie nieważne, odwróciła się od niego i podeszła z wolna do okna. Nigdy dotychczas nie wyglądała przez okno w domu Dona.

Tuż przed jej oczami leżała czarownie piękna zatoka, która jednak teraz wydała się jej jakimś bezlitosnym żywiołem. Spojrzała na ciemną, wyraźną sylwetkę wyspy, do której prowadziła przez wodę szeroka, srebrna smuga - światło księżyca. Jak droga we śnie. Smutna... pusta droga, prowadząca donikąd.

Pusta...? Kay nagle zeszywniała. Co to za mały czarny punkcik porusza się w księżycowej smudze?

- Spójrz, Timie! - zawołała, a po chwili, skoro się już upewniła, dorzuciła: - Prędko! Chodź tu i spójrz! Ktoś jest na zatoce... płynie.

W jednej chwili Tim znalazł się przy niej. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, ta ciemna poruszająca się w” wodzie głowa w jakiś niesamowity sposób cofnęła zegary

dokładnie o dobę... Wczoraj o tej porze także ktoś płynął w świetle księżyca - płynął w kierunku wyspy z zamiarem zbrodni w sercu. Dokładnie o tej porze Gilbert...

I teraz także ktoś płynie... tyle tylko, że nie ku wyspie, a w kierunku pełnego morza.

- Tim! - zawołała półprzytomnie. - To Gilbert! To na pewno Gilbert! On... och, prędko!

Wybiegła jak szalona z domu, a Tim tuż za nią. Biegła gładkim trawnikiem ku miejscu, gdzie nieznacznie schodził na plażę. Tim dopędził ją przy samym skraju plaży. Dotknął jej ramienia i wskazał w milczeniu na kępę oleandrów. W ich cieniu - zapewne tak samo musiało być wczoraj - stał inwalidzki wózek Gilberta. Kay zrozpaczona pobiegła plażą do wody i wpatrywała się w zatokę. Daleko przed nimi poruszała się ciemna głowa na księżycowej ścieżce.

- Tim, musimy za nim popłynąć - powiedziała bez tchu. - On chce się utopić! Musimy go za wszelką cenę dopędzić. Musimy...

Nagle odwróciła się gwałtownie, czując, że oprócz nich na plaży jest jeszcze ktoś, kto wyszedł teraz z cienia tamaryszków.

- Maud!

Kay stanęła jak wryta i czekała, aż siostra zbliży się do niej. W świetle księżyca jej klasyczna twarz podobna była do twarzy greckiego posągu.

- Kay, droga moja - powiedziała spokojnie. - Nie staraj się go zatrzymać. Tak jest lepiej, znacznie lepiej, niż czekać na majora Clifforda.

Kay czuła, że zasycha jej w gardle. Wyobraziła sobie stojącą w cieniu tamaryszków Maud, przypatrującą się, jak jej ukochany mąż wypływa w morze - bez powrotu. Tego było już dla Kay za wiele. Z piersi jej wyrwał się krótki szloch.

- O, Maud... Maud! - jęczała.

I wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, to Maud zaczęła ją pocieszać. Objęła siostrę ramieniem i zaczęła głaskać po włosach.

- Nie martw się o mnie, Kay. Gilbert postąpił, jak uważał za słuszne. Nie nam sądzić, czy to dobrze, czy źle... Ale to jedyne wyjście z tej matni. - Po chwili dodała ciszej: - Gilbert i tak nigdy nie byłby szczęśliwy jako kaleka, przykuty do końca życia do wózka!

Pod wpływem słów siostry Kay przestała płakać i wyprostowała się. Tak jak Maud i Tim - wpatrzyła się w zatokę. Na księżycowej smudze nie było już teraz nikogo - nic nie mąciło jej gładkiej powierzchni. W przejmującej ciszy głos. Maud zabrzmiał pewnie i spokojnie:

- Musimy myśleć o dzieciach, Kay. To, co Gilbert zrobił, było okropne, to była zbrodnia, ale przynajmniej uratował dzieci. Mogą zacząć życie na nowo. Elaine i Don, Terry i Simona.

Słowa jej ucichły. Palce Maud dotknęły na chwilę ramienia siostry, potem oddaliła się bezszelestnie i zniknęła w cieniu drzew. Kay i Tim zostali sami. Powoli Kay odwróciła się ku niemu.

- Maud ma słuszość, Kay - powiedział. - Tak jest lepiej.

Musiła zrobić ogromny wysiłek, żeby zrozumieć, co mówi.

Odpowiedziała niedosłyszalnie:

- Tak... Timie.

Przez chwilę cała zatoka, księżyc, łagodna tropikalna noc wydały się im czymś nierealnym, jakimś wytworem wyobraźni. Potem poczuła otaczające ją ramiona Tima i jego usta na swoich.

- To jest rzeczywistość - szeptał. - To nie sen.

A gdy tak stała w jego objęciach, a on okrywał jej twarz pocałunkami, przypomniały się jej nagle słowa piosenki skomponowanej dla niej w dniu przyjazdu przez Terry'ego:

O, wróć na Bermudy!

Powróć na wyspy!

Miłości, szczęścia czas

Tu czeka nas.

Złamane serce me

Zapomnieć chce...